



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(36) 2016

Rok X

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Muzeum Państwowe w Amsterdamie (Rijksmuseum)

fot. Paweł Litwiński



Oudekerk (stary kościół)



Rowery w okolicy De 9 Straatjes (9 uliczek)



Zabudowa nad kanałem



Wieża kościoła Westerkerk



W sklepie z serami



Pola kwiatowe w okolicy Lisse

Zabytki Amsterdamu



Niedawno ktoś mi powiedział, że Amsterdam jest miastem szczęśliwych ludzi. Nie wiedziałem o tym, jadąc do Amsterdamu i nie wiem tego z pewnością i teraz, po powrocie, ale przyznaję: Amsterdam stwarza swoim mieszkańcom niesamowite możliwości. Miasto jest relatywnie niewielkie, w ogóle nie powstaje więc wrażenie przytłoczenia metropolią. Można też odnieść wrażenie, że hierarchia wartości w Amsterdamie jest następująca: na pierwszym miejscu ludzie - mieszkańcy i turyści, a wszystko inne ma im dobrze służyć. Rowery są więc wszędzie i wszystko jest do nich dostosowane. Świetnie działa komunikacja miejska, a kierowcy samochodów osobowych w ogóle nie sprawiają wrażenia, że uczestniczą w ciągłej walce o swoje miejsce na drodze. Życie toczy się jakby wolniej, w tempie statków, łodzi i różnorakich łódek sunących kanałami. Gdy dodamy do tego mnóstwo genialnych muzeów (polecam nie przytłaczające Rijksmuseum, ale mniejsze Muzeum van Gogha, które oferuje unikatową kolekcję dzieł tego malarza). Amsterdam jawi się rzeczywiście jako materiał na miasto szczęśliwych ludzi. Miasto z unikatowym klimatem.

Wystarczy kilkanaście minut jazdy, a z Amsterdamu trafiamy na holenderską wieś, która wiosną oznacza jedno: kwiaty. Pola kwiatowe, pocięte na barwne pasy przez różnokolorowe tulipany, żonkile, czy hiacynty, ciągną się po horyzont. Ale największe wrażenie i tak robi park Keukenhof - zajmujący 32 ha ogród kwiatowy, wiosną rozkwitający ponad 7 milionami kwiatów. Warto wybrać się tam na całodniową wycieczkę z Amsterdamu - najlepiej w kwietniu.

*tekst i fotografie
dr Paweł Litwiński*

Słowo redaktora



Zespół redakcyjny Czasopisma Artystycznego „Nestor” przed kilkoma laty ogłosił **Herbarzowy Rok Kaspra Niesieckiego**. Wydarzenie zapoczątkowało następne jubileusze:

**Teraz Bojarczuk. 2013 - Rok Poety,
2014 Rok ks. Zygmunta Pisarskiego,
2015 Rok Anny Kamieńskiej.**

Krasnostawski parnas regularnie zapelniają wybitne osobowości. Niekiedy mamy wrażenie, że nie znajdziemy następnego kandydata, chociaż wśród propozycji zwykle znajdują się ciekawe i uznane nazwiska. W naszej ocenie na ogół biorą jednak górę wielcy-nieznani. Tak jest i tym razem:

**Zespół redakcyjny
Czasopisma Artystycznego „Nestor” ogłasza
rok 2016 - Kresowym Rokiem Stanisława Piłata.**

Dokładna data urodzin Stanisława Piłata nie jest znana. Wiadomo natomiast, że ochrzczony został 7 września 1802 roku w Krasnymstawie. Jego ojcem, jak zapisano w księgach parafialnych był Józef Piłat, a matką Wiktoria z Wesołowskich. Studiował we Lwowie, angażując się w zajęcia uniwersyteckich kół zainteresowań i przejawiały przy tym zdolności literackie.

Jako uczestnik powstania listopadowego, dostał się do niewoli (1832-1835), którą spędził, służąc w rosyjskiej armii. Po wcześniejszym zwolnieniu został domowym nauczycielem. Był także społecznikiem, radnym Rady Narodowej we Lwowie i założycielem prywatnego zakładu wychowawczego. W 1849 roku uzyskał stopień doktora filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Organizował sobotnie wieczorki literackie i przyjaźnił się z Wincentym Polem.

Stanisław Piłat był tłumaczem, autorem dramatów historycznych, rozpraw literackich i recenzji. Miał czterech synów, z których trzech było rektorami lwowskich uczelni i profesorami, podobnie jak wnuk - także Stanisław.

Krasnostawianin Stanisław Piłat zmarł 13 sierpnia 1866 roku w Niemirowie. Przyjaciele i rodacy ufundowali mu pamiątkową tablicę w kościele oo. Bernardynów we Lwowie.

Andrzej David Misiura

Spis treści

Zabytki Amsterdamu	1
<i>Paweł Litwiński</i>	
Słowo redaktora	1
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Leksykon zamków, pałaców i dworów powiatu krasnostawskiego. Cz. VIII. XX wiek	3
<i>Agnieszka Szykuła-Zygawska</i>	
Poezja - Mirosław Iwańczyk	5
Ks. Leopold Zgodziński - nasz wspaniały kapłan	6
<i>Henryk Kapica</i>	
Jan Zaprawa Ostromiecki - wojenne i emigracyjne losy oficera z Rońska	21
<i>Artur Borzęcki</i>	
Żołnierz niezłomny - Andrzej Stachyra „Saturnin”	25
<i>Zbigniew Lupina</i>	
Księgi urodzonych i małżeństw parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie 1704-1809. Materiały do dziejów miasta w XVIII wieku	29
<i>Agnieszka Szykuła-Zygawska</i>	
Powiat krasnostawski na łamach „Kurjera Warszawskiego” w latach 1897-1898	35
<i>Kazimierz Stolecki</i>	
Dzieje zapomnianego dworku w Baranicy	46
<i>Józef Stepien</i>	
Meryty, demeryty i ośła korona księdza Wężyka. 220 lat szkolnictwa w Gorzkowie	47
<i>Lech Dziedzic</i>	
Sonety - Stanisław Bojarczuk	51
Poezja - Anna Kamińska	52
Paweł Śpiewak w Muzeum Literackim im. J. Czechowicza w Lublinie	54
<i>Marzena Mariola Podkościelna</i>	
Spotkanie z Jarosławem Trześniewskim-Kwietniem w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie ..	55
<i>Konrad Grochecki</i>	
Protokół z posiedzenia jury XXII Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamińskiej	57
Poezja - Marian Janusz Kawałko	60
Biały kruś współczesności	63
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Ujrzyć Białego Kruka	64
<i>Andrzej David Misiura</i>	

Spis treści

Moje pięć spotkań z Bojarczukiem	65
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
O sybarycie w drewniakach i długich butach z mocnymi cholewami	67
<i>Zuzanna Guty</i>	
In memoriam	68
<i>Monika Nagowska</i>	
Mędrca szkiełko i serce poety	69
<i>Monika Nagowska</i>	
Poezja - Józef Banaszak	71
„Przeżyłem wiele lat, tak prędko zleciało...”	72
<i>Ewa Dobrzańska-Mochniej</i>	
Poezja - Stanisław Chmielewski	74
Prace z XIII powiatowego konkursu „Legendsy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie	75
Matka	87
<i>Irena Iwańczyk</i>	
Sara	89
<i>Irena Iwańczyk</i>	
Kim byli nasi prarodzice?	91
<i>Jurata Bogna Serafińska</i>	
Moje młodzieńcze spotkania z Krasnymstawem	95
<i>Ryszard Lewczuk</i>	
Ostatni autobus	96
<i>Jacenty Jarocki</i>	
Hanna Cygler gościem DKK	99
<i>DKK Krasnostaw</i>	
Szlachcic zagrodowy	99
<i>Lucjan Cimek</i>	
Akcent krasnostawski w Toruniu	100
<i>Leszek Janeczek</i>	
Gwara wsi krasnostawskiej. Cz. II	101
<i>Leszek Janeczek</i>	
Anegdota krasnostawska	102
<i>Leszek Janeczek</i>	
Sukcesy filmowe II LO w Krasnymstawie. „Pewność” - piąta premiera w ramach projektu „Kręcmy film!”	104
<i>Ewa Magdziarz</i>	
Kłopoty ze sztuką	107
<i>Wiesław Krajewski</i>	



NR 2 (36) 2016 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnostaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Ofcyna Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Piłat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Nakład sponsorowany przez:
Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw
Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Krasnymstawie
prof. J. J. Sadiak-Nowicka

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)
Zbigniew Atras

Stale współpracują:

Artur Borzęcki (Krasnostaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnostaw)
Lucjan Cimek (Krasnostaw)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Ewa Magdziarz (Krasnostaw)
Ryszard Maleszyk (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chelm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Leksykon zamków, pałaców i dworów powiatu krasnostawskiego. Cz. VIII. XX wiek



Na przełomie XIX i XX stulecia ukształtował się w architekturze, pozostającej jeszcze wówczas pod zaborami Polski, styl dworowy. Wzorem dla architektów tego nurtu był szlachecki dwór polski, jako symbol okresu świetności kultury Rzeczypospolitej. Powtarzając lub swobodnie interpretując owy styl, architekci wykorzystywali jego charakterystyczne elementy: ganek z kolumnowym portykiem wspartym na dwóch lub czterech kolumnach, łamany dach polski, alkierze. Całości dopełniały białe, tynkowane ściany i pokrycie dachowe z gontu albo dachówki. Starano się uzyskać malowniczą, wpisaną w kontekst otoczenia bryłę. Styl uznawano za najlepiej dostosowany do budowy wiejskich rezydencji. Właścicielami owych wiejskich rezydencji byli zazwyczaj ziemianie, a ich domy pełniły zarazem funkcję miejsca zarządu nad pobliskim folwarkiem.

Prezentowane dwory powstały na początku XX wieku, w ostatnich latach aktywności ziemiaństwa, przed pierwszymi parcelacjami gruntów.

W latach 1912-1925 został wzniesiony murowany **dwór w Chorupniku** (gmina Gorzków). Na przełomie XIX i XX stulecia powstał **zespół dworsko-parkowy w Dworzyskach** (gmina Izbica). Z zespołu zachowały się: dwór - obecnie



Chorupnik, dwór.

opuszczony, z oficyną pozostającą w ruinie, spichlerz zaadaptowany na remizę strażacką oraz park. Dwór w Dworzyskach jest wpisany do rejestru zabytków.

Jednym z XX-wiecznych dworów, który doczekał się należytego remontu jest obiekt w Łopienniku Podlesnym. Historia wzniesienia



Łopiennik Podlesny, dwór.

tego skromnego, klasycznego w swej formie dworu rozpoczyna się przed 1920 rokiem. Wówczas to w miejscowości często bywał doktor Michał Okoński, w młodości tutaj zamieszkały. Kiedy wykształcił się w akademiach medycznych w Krakowie i Zurychu, już jako doświadczony lekarz zapragnął i mógł sobie pozwolić na to, by w rodzinnej miejscowości zorganizować sobie rezydencję wypoczynkową. Zaplanował wzniesienie prostego, drewnianego dworu, z dachem mansardowym, portykiem pośrodku, parą okien po bokach. Pozostający w rękach prywatnych dwór jest obecnie po remoncie, pełni funkcję domu mieszkalnego.

Maszów Górny w gminie Rudnik to miejscowość o XVI-wiecznym rodowodzie. Po 1920 roku powstał tu dwór w otoczeniu parku, będący siedzibą rządcy pobliskiego folwarku. Z budynków folwarcznych zachowały się suszarnia, magazyn i dwie chlewnie. Powstał murowany, piętrowy dwór z wydatnym portykiem pośrodku, balustradą na wysokości parteru i piętra. W trójkątnym zwieńczeniu portyku widnieje data 1931 - rok ukończenia budowy dworu. Inicjatorem budowy pałacu był właściciel miejscowości i folwarku Tadeusz Felszyński.

W latach 20. XX wieku właściciele Wierchowiny w gminie Żółkiewka, Chruściechowsy



Maszów Górny, dwór.

wzniesli w swych dobrach zespół dworsko-folwarczny. Składał się na niego dwór, zabudowania gospodarcze, m.in. stajnia, czworaki i dwa młyny. W pobliżu znajdowały się dwa stawy rybne. Dwór, który przetrwał II wojnę światową, został w latach 60. rozebrany.

Niestety, niszczycielsko reprezentatywny w swej bryle **dwór w Wierchowinach** w gminie Siennica Różana. Inicjatorem budowy dworu był pochodzący ze znamienitego rodu Smorczewskich - Robert.



Wierchowiny, dwór.

Przeniósł się do miejscowości na początku lat 20. XX wieku i tutaj zamieszkał. Zdecydował się na rozbudowę rządówki. Powstała okazała reprezentatywna, z racji usytuowania na wzniesieniu pośrodku parku, rezydencja. Dwór jest murowany, piętrowy, kryty dachem dwuspadowym. Do dworu wiodą dwa szpalery grabów. Smorczewski rozbudował także budynki gospodarcze, m.in. kuźnię i stajnię (zachowane) dla potrzeb dobrze prosperu-

jącego majątku. Do niedawna we dworze mieściła się szkoła. Obecnie pozostaje opuszczony.

Ponad 700-letnią tradycję ma miejscowość **Wilkowice** w gminie Izbica. Odnotowuje się tutaj dwór już w połowie XVII wieku. Pozostałością po XX-wiecznym zespole dworsko-pałacowym jest obecnie tylko park z 1934 roku.

Po 1930 roku powstał dworek „**Wronówka**” w **Zaburzu** w gminie Żółkiewka. Otaczał go okazały ogród z 1931 roku. Niewielki, drewniany dworek, który pełnił przez pewien czas funkcję leśniczówki, pozostaje obecnie opuszczony.



Zaburze, dwór.

Wydarzenia II wojny światowej, a następnie ustawa o przejęciu majątków ziemskich przez Skarb Państwa w 1944 roku przyczyniły się do zakończenia racji bytu dworów. W powojennej rzeczywistości dążono do zlikwidowania jakichkolwiek przejawów istnienia ziemiaństwa jako grupy społecznej. Dopiero w II Rzeczypospolitej potomkowie rodów starali się i starają nadal przywrócić pamięć o przodkach i kulturowości polskiego ziemiaństwa.

W architekturze powracają inspiracje dworiskiem polskim. Bywają to wyważone projekty, ale, niestety, także posiadające zbyt uproszczoną i zwulgaryzowaną formę (domy jednorodzinne z lat 90. XX i początków XXI wieku).

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Prezentowane ilustracje pochodzą ze strony internetowej <http://www.dwory.cal.pl/> tworzonej przez Biuro Turystyki Szkolnej w Dęblinie.

Mirosław Iwańczyk



Dytyramb dla poległych

Już warczą złowieszczo
silniki tupolewa.
Już lecą Wielcy Polacy,
Jak Ikar hymnem niesieni,
tam, gdzie Golgota Wschodu,
gdzie krzyże
polskich męczenników.
Lecą, by zniczyć pamięci rozniecić,
by głosić prawdy dytyramb,
by na sztandarach martyrologii
nieść pieśń o sowieckich zbrodniach,
o niemym krzyku,
o kaźni bezbronnych ofiar,
zglądzonych za polskość w Katyniu.
Już wiedzą, że blisko jest Smoleńsk,
że złożą hołd męczennikom.
Wtem mgła rozpostarła
skrzydła złowrogie,
tragicznym mrokiem
osaczyła samolot
i wybuch targnął maszyną.
Jęki i rozpacz w modlitwy przechodzą,
i wszystko ucichło.
Ciemność okryła herosów poległych.
Zapadła kurtyna milczenia.

Chrzest Polski

W dawnych, zamierzchłych czasach,
w potężnych borach, lasach,
nad Wartą i Notecią
narodził się książę Polan.
Wywodził się z zachodnich Słowian.
Mieszkciem go wszyscy nazywali
i na władcę sobie obrali.
Gdy w skłócone plemiona
zbrojnie wkroczył,
wówczas przejrzał na oczy,
że tylko chrześcijaństwo
Słowian zjednoczy,
przeciwko najazdom germańskim,
okrutnym grafiom saskim,
którzy wtargnęli
na piastowskie ziemie,
niby w dobrej wierze,

głosząc, że Polanie to poganie
i powinni im ulec jak inni Słowianie.
Ogniem i mieczem
szerzyli Niemcy chrześcijańską wiarę,
paląc i grabiąc,
przemocą zdobywali władzę.
Wkrótce Mieszko
wielkiego dzieła dokonał,
jednocząc polskie plemiona.
Zbudował też silną pancerną drużynę,
licząc, że teraz oprze się germańskiej machinie.
Niestety, jego poddani nadal nie byli bezpieczni,
wciąż zagrażali im podstępni Niemcy.
Podbili już Połabian i Stodoran,
wymordowali wielu Słowian.
Wściekle atakowały Polan saskie marchie,
mając pretekst, że tkwią w pogaństwie.
Niemcy byli lepiej uzbrojeni
i znakomicie w boju wyszkoleni.
Mieszko zaczął się teraz głowić,
jak tu się oprzeć germańskiemu żywiołowi.
Stwierdził, że jedyny ratunek, to przyjąć chrzest
z rąk duchowieństwa Czech.
„Będę się starał o rękę
czeskiej księżniczki Dobrawy,
zawrę z jej ojcem Bolesławem
sojusznicze układy.
Nie będę już więcej zwlekał,
wyślę do Czech zaufanego człowieka”.
Bolesław zgodził się na propozycję Mieszka,
tym bardziej, że potęga Niemiec
była coraz większa.
Już czas był na sojusz
w imię słowiańskiego braterstwa.
Gdy Dobrawa do Gniezna już dojechała,
swoją dwór w siedzibie księcia zainstalowała.
Nazajutrz odbył się Mieszka chrzest.
Od biskupa Czech
otrzymał w darze poświęcony miecz.
A później wieczorem w księżęcej kaplicy
odbył się ślub księcia i jego oblubienicy.
Księżniczka Dobrawa była bardzo mądra
i zaczęła wspierać Mieszka w jego rządach.
Sprowadziła z Pragi zakonników i biskupa Jordana,
aby księciu we wszystkim pomagał.
Zdolny to był człowiek i światłobliwy,
choć uparty i trochę zręczliwy.
Ale szybko zorganizował księżęcą kancelarię
i dość sprawnie utworzył państwową administrację.
Zaś Mieszko rozkazał budować klasztory,
a przy nich zakładać zakonne szkoły,

bo chciał mieć w państwie ludzi uczonych.
 W Poznaniu i Ostrowie Lednickim
 założył biskupstwa misyjne.
 Stopniowo chrystianizował swoją ojczyznę.
 Decyzja Mieszka była genialna,
 dzięki niemu Polska
 w kręgu chrześcijaństwa się znalazła.
 Uchronił ją od mroku nieistnienia,
 od całkowitego zapomnienia.
 Wprowadził polskie plemię
 na historyczną scenę.
 Z wiary w chrześcijaństwo
 utworzył polskie państwo.
 Chrystusa zespolił z narodem,
 wytyczył Polakom dziejową drogę.
 Mieszko, przyjmując
 z ufnością chrzest
 ukochał Jezusa.
 Wiarą wszczepił Polakom
 tożsamości gen.
 Wskazał szlak
 do dziedzictwa
 kultury Europy.
 Zaprowadził rodaków
 na mesjańskie pola.
 Zapalił w Polakach
 Chrystusową wiarę
 na wieki.
 Ta wiara
 z narodem zespolona
 polskość zachowała
 w tajgach Syberii.
 I tli się i odradza
 w przyszłych pokoleniach,
 wskazując Polsce
 dziejową misję
 w dzisiejszej Europie.



rys. Robert Znajomski

Henryk Kapica

Ks. Leopold Zgodziński - nasz wspaniały kapłan



Ks. Leopold Zgodziński urodził się w Markuszowie 5 listopada 1829 roku, o godzinie 9 z południa. Jego rodzicami byli mieszczenie markuszwscy Szymon i Elżbieta z Czerwickich. Rodzice pobrali się w roku 1810. Elżbieta miała wówczas 17 lat, a Szymon 21. Mieli ośmiu synów i córkę Mariannę. Najstarszy syn Marcin urodził się dopiero 6 lat po ślubie, w 1816 roku. Rodzice nie cieszyli się długo pierwotnym, bo już następnego roku dokonał żywota. Za dwa lata, czyli w 1818 roku, urodził się Mikołaj. Ożenił się z Karoliną z Gutowskich w roku 1838 w Karczmiskach. Zamieszkali w Lublinie. Pracował jako kancelista obwodu lubelskiego. Rodziły się im dzieci, ale, niestety, większość poumieraa. Przy życiu pozostali tylko Aleksander i Feliks, którego chrzestnym był ks. Leopold. W 1821 roku Elżbiecie i Szymonowi urodził się Franciszek. Zmarł następnego roku. Wreszcie urodziła się córka Marianna, a był to rok 1823. Wyszła za mąż za Józefa Jakubowskiego, ślusarza, w roku 1842 w katedrze lubelskiej. Zmarła w 1889 w Markuszowie. Czwartemu synowi, który urodził się w 1826 roku, na chrzcie świętym nadano imiona Stanisław Jan. O nim brak jest wiadomości. Wreszcie narodził się nasz bohater, wspaniały kapłan, powstaniec, Leopold. Jak wspomniano na początku, urodził się 5 listopada 1829 roku, natomiast metryka chrzcielna spisana jest 6 listopada. Najprawdopodobniej jest to dzień chrztu. Wówczas, z powodu częstych zgonów niemowląt, chrzczono je zaraz po urodzeniu. Chrzestnymi byli ks. Seweryn Wedykowski scholastyk katedry lubelskiej i Aniela Więckowska. Ojciec miał wówczas czterdzieści lat, a matka trzydzieści sześć (nr metryki 78 - księgi akt stanu cywilnego parafii w Markuszowie). Chrzest zgłosił ojciec dziecka Szymon w obecności Feliksa Buczkowskiego i Szczepana Izdebskiego. Akt podpisał ks. Józef Wólczyński. Po Leopoldzie urodzili się dalsi synowie: Jan (1832-1910), Józef Wincenty (1835-1836) i Szczepan (1837-1908). Szczepan zawarł ślub w katedrze

lubelskiej w 1861 roku z Honoratą Żyszkiewicz. Mieli czworo dzieci: Marię Natalię, Władysława Antoniego, Jana Ignacego i Zofię Karolinę. Szymon i Elżbieta nie żyli zbyt długo, zresztą cała rodzina była niezbyt żywotna. Szymon zmarł w 1847 roku, mając 58 lat, natomiast matka Elżbieta zmarła w roku 1849, przeżywszy 56 lat¹.

Leopold szkołę parafialną ukończył w Markuszowie, a w Lublinie uczęszczał do gimnazjum w latach 1841-1847. Następnie, tego samego roku wstąpił do Seminarium Duchownego w Lublinie. Po sześciu latach studiów został wyświęcony na kapłana w katedrze lubelskiej w marcu 1853 roku. I w tymże roku otrzymał nominację do parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie w charakterze wikariusza².

Pracował tutaj bardzo gorliwie. „Kurier Warszawski” nr 170 z 22 czerwca/4 lipca 1854 r. opisuje wspaniałą uroczystość Bożego Ciała, której organizatorem był proboszcz krasnostawski ks. Andrzej Bojarski, ale wspomagają go *w gustownym urządzeniu Kościoła w ozdoby, i w zaprowadzaniu śpiewów Religijnych przez uczniów miejscowej Szkoły, wybornie wykonywanych, XX. Wikariusze tutejsi Pestrakiewicz i Zgodziński, którzy z gorliwością i zamiłowaniem temu się poświęcają*.

Minęło prawie trzydzieści lat od ostatniego zrywu narodowego, a więc wyrosło nowe pokolenie, które nie chciało pogodzić się z niewolą. Wśród społeczeństwa, zwłaszcza ziemian, mieszczan, inteligencji, także kapłanów, a więc warstw bardziej uświadomionych patriotycznie, budził się duch walki o wyzwolenie spod ucisku carskiego. W latach 1859-1860 zaczęto organizować manifestacyjne nabożeństwa, podczas których śpiewano „Boże, coś Polskę” i „Jeszcze Polska nie zginęła”, ale też nastąpiły mocne nastroje antyrosyjskie, niszczone szyldy w języku rosyjskim, naigrawano się z urzędników carskich, stawiano krzyże ze znakami patriotycznymi. W takiej atmosferze doszło do tragicznych wydarzeń w Warszawie 27 lutego 1861 roku. W warszawskiej demonstracji padło pięciu zabitych. Ich pogrzeb stał się olbrzymią

manifestacją. Na ulice wyległo niemal całe miasto pod przywództwem biskupów, kapłanów, zakonników, ale też rabinów i duchownych innych wyznań. Obwołano żałobę narodową. W kościołach odbywały się nabożeństwa za pomordowanych, pomimo zakazu, jaki został wydany przez władze. Nabożeństwo w kościele św. Franciszka Ksawerego ks. dziekan Bojarski odprawił 8 marca. On także wystosował pismo do kondekanalnych księży, a także augustianów, datowane na 10 marca 1861 r., w którym zobowiązywał duchownych do odprawienia 13 marca żałobnego nabożeństwa za pomordowanych w Warszawie. Zachęcał, aby kapłani *jak najsołenniejszemu nabożeństwu odprawili [...] jeden Nocturn cum Laudibus, Mszę Konduktu przy Katafalku najokazalej oraz pieśń Salve Regina*. Mszę św. żałobną za pomordowanych odprawiono w naszym kościele św. Franciszka, ale też u augustianów 11 marca. Ks. Bojarski zachęcał, aby kapłani uprzednio powiadomili i niejako zaprosili na uroczystości żałobne *Czcigodnych naszych Obywateli odznaczających się uczuciem prawdziwego poświęcenia dla Kraju*³.



Ksiądz Bojarski zaangażował się bardzo mocno w działalność patriotyczną: uczestniczył w święceniu patriotycznych krzyży, przemawiał na procesjach religijnych, w których znajdowały się akcenty patriotyczne, ale największe zaangażowanie na rzecz przygotowań do powstania wykazał

¹ Księgi stanu cywilnego w Markuszowie, Lublinie i Klementowicach.

² E. Niebelski, *Słownik lubelskich i podlaskich księży uczestników powstania 1863 roku*, Lublin 2011, s. 162.

³ Archiwum parafialne. Dokumenty 1859-1867. Zbiór V1.

w czas 448. rocznicy unii horodelskiej, 10 października 1861 roku. Był on jednym z najbardziej aktywnych uczestników manifestacji, która zgromadziła się na polach Horodła.

Zaangażowanie patriotyczne księdza Bojarskiego miało wielki wpływ na postawy i ducha kapłanów dekanatu, a zwłaszcza naszego miasta. Tutejsi wikariusze ks. Leopold Zgodziński i ks. Jan Rostkowski, ks. Kazimierz Wójcicki, ks. Leonard Paweł Kłopotowski, a także augustianin Gabriel (Paweł) Zimny poszli w ślady księdza Bojarskiego, cieszącego się wielkim autorytetem wśród kapłanów, wiernych, a zwłaszcza wśród ludzi z „warstw oświeconych”. 10 października 1861 roku, kiedy ks. Bojarski z innymi kapłanami przewodniczył wielkiemu zgromadzeniu na polach Horodła, w naszym miejscowym kościele miało miejsce nabożeństwo, w którym wzięli udział „wszyscy parafianie”, jak donosił naczelnik powiatu do gubernatora, zaś wieczorem miasto było pięknie iluminowane. Należy przypuszczać, że organizatorem owego nabożeństwa byli miejscowi wikariusze, a więc głównie ks. Zgodziński. Wydarzenia spod Horodła z pewnością były bezpośrednią przyczyną wprowadzenia przez cara 14 października 1861 r. stanu wojennego w Królestwie Polskim⁴.

Niepokoje społeczne miał wywołać w Krasnymstawie 7 kwietnia 1861 roku wikariusz ks. Leopold Zgodziński swoim kazaniem podczas sumy „wygłoszonym w duchu podburzającym”. Doniesiono o tym do dyrektora Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Aleksandra Wielopolskiego. Ten z kolei monitował władze diecezjalne. Niebezpieczeństwo tego wystąpienia było tym większe, że ksiądz zwracał się do spolsztwa, które dystansowało się od działań patriotycznych warstw bardziej oświeconych. Było to kazanie zagrażające łądowi społecznemu i publicznemu. Ksiądz Leopold został wezwany do konsystorza (kurii biskupiej) i musiał się tłumaczyć, dowodząc, że nawoływał tylko do jedności szlachty i chłopów na skutek reformy agrarnej, polegającej na oczynszowaniu chłopów. Tłumaczył chłopom na kazaniu dlaczego zostali zabici ludzie w Warszawie, a mianowicie wskutek fałszywych pogłosek, że rząd chciał uwolnić chłopów od pod-

daństwa, a panowie się temu sprzeciwiali i stąd wywołali zamieszki w Warszawie, które doprowadziły do tragedii. Na usprawiedliwienie ks. Zgodziński przyniósł swoje kilkustronicowe kazanie jako dowód, że nie ma w nim antypaństwowych akcentów. Można przypuszczać, że kazanie doręczone do konsystorza ksiądz nieco zmodyfikował. Śledztwo kurialne prowadził kanclerz ksiądz Koziejowski, przyjaciel księdza Zgodzińskiego, który napisał „odpowiedni protokół dla władz carskich”. Kazanie zachowało się w Archiwum Kurii Lubelskiej i jest cennym świadectwem o jego autorze i historii naszej parafii. Zostało zamieszczone jako aneks w książce „Nieprzejednani wrogowie Rosji” wydanej przez profesora KUL-u, specjalistę od powstania styczniowego, Eugeniusza Niebelskiego⁵. Okazją do uświadamiania chłopów i wyrabiania w nich postaw patriotyczno-obywatelskich stała się prośba Towarzystwa Rolniczego do biskupów, by kapłani podjęli akcję uświadamiania chłopów o planach ich oczynszowania, oferując zniesienie poddaństwa.



Podobna sytuacja zdarzyła się 14 kwietnia, gdy drugi z wikariuszy krasnostawskich ks. Kazimierz Wójcicki wygłosił patriotyczne kazanie w naszym kościele. Wezwany do konsystorza tłumaczył się, że oparł swoje kazanie na ewangelii

⁴ Archiwum parafialne. Dokumenty 1859-1867. Zbiór V1.

⁵ E. Niebelski, *Nieprzejednani wrogowie Polski*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2008, ss. 459-464.

z drugiej niedzieli po Zmartwychwstaniu nawołującej do jedności, aby nastąpiła „jedna owczarnia i jeden pasterz”⁶. Biskup Kubicki w książce „Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny” dotarł do pisma Wielopolskiego, w którym donosił biskupowi lubelskiemu, że ks. Kazimierz Wójcicki mówił wprost o „wskrzeszeniu Polski i wolności Narodowej”. Ks. Wójcicki został przeniesiony karnie do Zamościa i poddany pod dozór policyjny. Znalaziono u niego podczas rewizji zakazane obrazki, prawdopodobnie zabitych w Warszawie, i musiał zapłacić karę 25 rubli⁷.

Władze były bardzo czułe na punkcie kazań kapłanów i wychwytywały nawet podteksty polityczne, a samo wspomnienie o zabitych w Warszawie uznawane było za podburzanie wiernych do działań rewolucyjnych, także nawoływanie do jedności uznawano za podburzanie do buntu czy rewolucji. 26 lipca 1861 roku 22 księża dekanatu Krasnystaw podpisało i wysłało do biskupa lubelskiego raport o utracie swobód religijnych. Wśród nich byli: księża Bojarski, Zgodziński, Wójcicki, augustianin Gabriel Zimny, ks. Szydoczyński z Częstoborowic i inni⁸.

W 1861 roku ks. Zgodziński zostaje naczelnikiem Organizacji Narodowej - spiskowej organizacji z Komitetem Centralnym w Warszawie, na czele którego stał gen. Jarosław Dąbrowski, a która miała przygotować powstanie. Należało do niej ponad 20 tysięcy Polaków. Ksiądz Leopold miał wówczas 32 lata. Jego współpracownikami byli ks. Jan Rostkowski, o. Gabriel Zimny - augustianin, Ludwik i Antoni Krajewscy oraz Jan Lickendorf, a też Leon Niemirowski z Nowosiółek, z ramienia Komitetu czuwał Jan Bogdanowicz zarządzający organizacyjnie na Lubelszczyźnie, Podlasiu i Rusi. Jan Lickendorf urodzony w 1830 roku ożenił się z Wiktorią Kaleniak w 1855 roku, był właścicielem fabryki powozów w Krasnymstawie. Jego ojciec Karol ożeniony z Konstancją Sobiepan był także stelmachem. Jan z rodziną jako „wichrzyciel i rewolucjonista” został wywieziony do Rosji (Tomsk)

bez prawa powrotu. Tam także pracował przez 6 lat jako kołodziej. Po 6 latach zsyłki zbiegł do Lwowa⁹. Brat Jana Ignacy (imię zakonne - Florentyn) był dominikaninem. Na nabożeństwie u dominikanów w Lublinie przygrywał na organach do pieśni zakazanych i został skazany na sześć miesięcy więzienia, które odsiedział w kazamatach zamojskich. Brał udział w walkach powstańczych u Lelewela pod Tomaszowem. Zbiegł do Galicji. Zasłynął jako genialny kaznodzieja. Pogrzebany na Cmentarzu Łyczakowskim¹⁰.

Organizacja Narodowa rozwijała się na terenie ziemi lubelskiej dość pomyślnie, ale do czasu. Wstępowali do niej ziemianie, mieszczenie, inteligencja, rzemieślnicy, a też bardziej światli chłopi. W każdym powiecie na czele organizacji obierano naczelnika. Zazwyczaj byli to ludzie świeccy, światli, kochający Ojczyznę, miłujący wolność, cieszący się zaufaniem. W powiecie krasnostawskim wybrano na naczelnika osobą duchowną, właśnie księdza Leopolda Zgodzińskiego, który pełnił od kilku lat posługę wikariusza w parafii św. Franciszka Ksawerego, a po aresztowaniu księdza proboszcza Andrzeja Bojarskiego - funkcję administratora parafii (od stycznia do grudnia 1862 r.). Musiał zatem ks. Leopold cieszyć się uznaniem w konsystorzu, a też wielkim autorytetem wśród społeczności ziemi krasnostawskiej.

Pomimo bardzo pięknie rozwijającej się Organizacji Narodowej w powiecie krasnostawskim, chełmskim i lubelskim, która miała przygotować powstanie, nie dochowano staranności w przyjmowaniu nowych spiskowców. Otóż, w Chełmie, niezbyt rozważnie do Organizacji Narodowej przyjęto Aleksandra Andrzeja Starczewskiego, człowieka zdemoralizowanego, podłego, nadużywającego alkoholu, który wkrótce stał się agentem policji. Tenże wysłał donos na ręce namiestnika Królestwa Polskiego, powiadamiając jakie osoby należą do organizacji lubelskiej. Między innymi zdradził ks. Ludwika Marczewskiego, który odbierał od niego przysięgę, dwóch braci Niemirowskich - ziemian, malarza Smolińskiego i piekarza Szulakowskie-

⁶ E. Niebelski, *Słownik lubelskich i podlaskich księży uczestników powstania 1863 roku*, Lublin 2011, s. 157.

⁷ Bp P. Kubicki, *Bojownicy kapłani za wolność Kościoła i Ojczyzny*, cz. 1, t. 2, ss. 462-463.

⁸ Dokumenty Archiwum parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie 1859-1867. Zbiór V1.

⁹ J. Białynia Chołodecki, *Cmentarzyska i groby naszych bohaterów z lat 1794-1864 na terenie Wschodniej Małopolski*, Lwów 1928.

¹⁰ Bp. P. Kubicki, *Bojownicy kapłani...*, cz. 1, t. 3, s. 654. Jego grób znajduje się w kwaterze powstańczej nr 40.

go. List ten nie dotarł do namiestnika, ponieważ agent organizacji powstańczej pracujący w urzędzie warszawskim, przechwycił go. Komitet Centralny w Warszawie nakazał Starczewskiego zlikwidować, aby ochronić całą organizację lubelską przed dekonspiracją. Do tego zadania wyznaczono zdradzonego przez Starczewskiego naczelnika powiatowego Organizacji Narodowej w Chełmie, właściciela wsi Stółpie Leona Niemirowskiego. Posłał on grupę operacyjną jedenastu ludzi, którzy wracającego z chrzcin w Okszwie agenta zlikwidowali 2 listopada 1862 r., a wraz z nim jego towarzyszkę Konstancję Czerniak, która stała w obronie kochanka. Niemirowski kazał ciała zabitych ukryć w kamieniołomach wsi Nowosiółki, które należały do Niemirowskich. Brak donosów od Starczewskiego zaniepokoił władze carskie. Szybko odkryto zniknięcie agenta i jego kochanki. Wszczęto śledztwo, które prowadził pułkownik Kalikst Witkowski, szef sztabu wojsk stacjonujących w Lublinie. Witkowski był Polakiem, który zrazu sprzyjał powstańcom, ale potem odznaczał się wyjątkową gorliwością w ich tropieniu.

Wyniki śledztwa opisał na podstawie świadka tych wydarzeń Henryk Ostoja Samborski, powstaniec i sybirak¹¹. Z początku śledztwo stało w martwym punkcie. Jednakże pewne poszlaki wskazywały Witkowskiemu, że wiedzę o zniknięciu Starczewskiego może mieć kowal Andrzej Komorowski, który jak podpowiadano śledczemu, kuł kosy dla powstańców. Otóż Witkowski, kręcąc się koło posesji kowala i zobaczywszy go, wdał się w pogawędkę, oznajmiając mu, że nic nie wykrył i że będzie odjeżdżał. W końcu zaprosił kowala do siebie „na kieliszek”. *Zaledwie Komorowski przystąpił próg mieszkania, zręczny pułkownik bierze go za rękę ze słowami: - Zacny setniku! [taką rolę pełnił w Organizacji kowal] pozwól, abym na odjeźdźnym uścisnął twą szlachetną dłoń. Ty więcej znacysz ode mnie. Tyś szczęśliwy, że możesz śmiało i otwarcie pracować dla sprawy narodowej!.* Potem zerwał swój mundur, rzucił na ziemię i zaczął go deptać, mówiąc: *Matko Boska Częstochowska, pozwól mi co prędzej zrzucić nienawistny mundur, jaki muszę nosić.* Po czym podstępnie

chwalił się, że jest dobrym Polakiem i chwala Bogu, że nie udało mu się niczego wyśledzić. Potem była uczta „braterska” przy kieliszku i tak rozwiązał się język kowalowi. Witkowski wypytywał także o niepewnych spiskowców, których należy usunąć z Organizacji i za to dostał 100 rubli. Kowal dość późno wrócił do domu i ledwo zasnął, a już rozległo się łomotanie do drzwi. Witkowski przysłał policję, która aresztowała kowala i teraz oficjalnie musiał wobec śledczego złożyć zeznania. Oczywiście 100 rubli pułkownik kazał mu oddać.

Inny z autorów wspomnień Walery Przyborski¹², jakby w uzupełnieniu dodaje, że początkowo kowal nie zdradzał wszystkich spiskowców, ale został namówiony przez młodą żonę, która zabiegała o zwolnienie swojego męża z aresztu. Witkowski zapewniał ją, że jeśli on zacznie współpracować to zostanie zwolniony. Za namową żony Komorowski zadenuncjował wiele osób należących do Organizacji Narodowej. 44 przyszłych powstańców zostało skazanych, kilku na karę śmierci, którą później zamieniono na katorgę, pozostali - na osiedlenie w głębi Rosji. Wśród skazanych było dziesięciu kapłanów, a wśród nich ks. Leopold Zgodziński, ksiądz Jan Rostkowski, drugi wikariusz krasnostawski, dopiero co wyświęcony na kapłana, oraz augustianin Gabriel Paweł Zimny z klasztoru krasnostawskiego posługujący w Gorzkowie. Ks. Leopold Zgodziński został aresztowany 26 listopada 1862 r. i osadzony w kazamatach zamojskich.

Kwerendę dokumentacji związanej z pobytem w zamojskich kazamatach księdza Leopolda Zgodzińskiego przeprowadził ks. bp Paweł Kubicki i zamieścił w wielotomowej pozycji „Kapłani bojownicy za wolność Kościoła i Ojczyzny”¹³. Zawiera ona wyciąg z dokumentów władz carskich w związku z aresztowaniem ks. Leopolda Zgodzińskiego i innych kapłanów, którzy trafili do kazamatów zamojskich. Otóż *Naczelnik lubelskiego wojskowego oddziału generał Chruszczow 27 grudnia 1862/8 stycznia 1863, Nr 5187 przesyła do Specjalnej Kancelarii dla spraw czasu wojennego, za pierw-*

¹¹ H. Ostoja Samborski, *Wspomnienia z Powstania 1863 r. i pobytu na Syberii*, ss. 98-99.

¹² W. Przyborski, *Historia sześciu miesięcy*, ss. 220-224.

¹³ Ks. bp P. Kubicki, *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 2, ss. 321-324.

szą połowę grudnia 1862 roku, wykaz więźniów politycznych, oddział lubelski, a w nim pod numerem 15 wymienia Leopolda Zgodzińskiego, wikariusza z Krasnegostawu guberni lubelskiej, który siedzi w fortecy Zamość od 26 list[opada] 1862 roku za czynny udział w tajnym rewolucyjnym stowarzyszeniu. Taki raport, o takiej samej lub podobnej treści, wysyła co miesiąc. W raporcie za marzec 1863 roku ks. Zgodziński widnieje pod numerem 30, a siedzi w Zamościu i jest pod śledztwem za udział w tajnym stowarzyszeniu pod nazwą Organizacja Narodowa i w zabójstwie w Chełmie Starczewskiego oraz niewiasty Czerniak¹⁴.



Komendant fortecy Zamość 31 lipca (12 sierpnia) 1863 Nr 3079 wysyła do nmka [namiestnika] Królestwa Polskiego sprawozdanie o więźniach politycznych za miesiąc lipiec 1863 roku tejże fortecy i w nim pod Nr 3 o księdzu L. Z. [Leopoldzie Zgodzińskim] mówi, że aresztowany był 26 listopada 1862 roku, a obecnie, na skutek decyzji

wojennego nlka oddziału lubelskiego z 13/25 lipca 1863 r. Nr 7047 ma być zesłany do cesarstwa.

W spisie wojennego ekspedytora wysyłającego skazanych na mieszkanie do cesarstwa, wymieniony jest ksiądz Leopold Zgodziński, względem którego wydał confirmację [zatwierdzenie] namiestnik Królestwa 10 czerwca 1863 r. Nr 3991. Wysłany był z Warszawy do dyspozycji ministra spraw wewnętrznych 1 października 1863 r. w trzeciej partii. Winą jego było to, że należał do rewolucyjnej organizacji.

Akta Polowego Audytoriatu z 1863 roku Nr 263 zawierają spis uczestników powstania z 1863 r., a w nich widnieje ks. Leopold Zgodziński będący pod zarzutem 1) że należał do rewolucyjnej organizacji, w której był powiatowym naczelnikiem w Krasnymstawie i 2) że przyjął ustny raport od okręgowego Leona Niemirowskiego o straceniu Starczewskiego. Namiestnik Królestwa Polskiego na wniosek wojennego naczelnika oddziału zamojskiego z 13 (25) lipca 1863 r. Nr 7047, zesłał go na mieszkanie do cesarstwa. Wyrok zapadł 10 czerwca 1863 r., zatwierdzony przez namiestnika Królestwa Polskiego i wydany ostatecznie przez naczelnika 13 lipca 1863 r. skazujący ks. Leopolda Zgodzińskiego na osiedlenie w Rosji w guberni kostromskiej na pograniczu guberni wiatskiej i wołogodzkiej. 1/13 października 1863 r. wysłany zostaje z innymi więźniami, także z ks. Franciszkiem Wiśniewskim z Sawina do guberni kostromskiej w partii zesłańczej nr 3.

Tak więc w ponurych podziemiach fortecy zamojskiej, a pod koniec więzienia w cytadeli warszawskiej, nękany nieustannym śledztwem, ks. Leopold przesiedział prawie rok, od 8 grudnia 1862 do 1 października 1863 roku. Nie wiemy jak wyglądało to śledztwo. Z pewnością stosowano nie tylko metody oddziaływania na psychikę osadzonego, ale i siłowe. Niektórzy więźniowie nie wytrzymywali psychicznie. Kapelan lubelskiej organizacji ks. Paśnikowski popełnił samobójstwo, a naczelnik organizacji lubelskiej znalazł się wśród obłąkanych.

Z Zamościa ksiądz Leopold został odprawiony do cytadeli w Warszawie, a następnie, prawdopodobnie koleją do Pskowa. Dalej pieszo do Moskwy, a z Moskwy do Kostromy - też prawdopodobnie pieszo. Miejscem docelowym było mia-

¹⁴ Także: bp P. Kubicki, *Bojownicy kapłani...*, cz. 1, t. 2, s. 467. „295. Ks. Leopold Zgodziński urodzony w 1829 r. Podług odezwy Specjalnej Komisji naczelnika Królestwa Polskiego z dnia 20 lutego/ 3 marca 1863 Nr 2460 [...] ksiądz Leopold Zgodziński wikariusz parafii Krasnystaw, guberni lubelskiej, należał do organizacji „rewolucyjnej” i był w niej naczelnikiem powiatowym na powiat Krasnystaw, a gdy padł dowódca Starczewski, przyjmował o tem ustny raport od naczelnika okręgowego Leona Niemirowskiego”.

steczko powiatowe Kołogryw. Ks. Tomicki pisze w liście do hrabiny Sobańskiej¹⁵, że wszyscy jego towarzysze, a było ich 14, przebyli trasę „eta-pem”¹⁶, czyli pieszo, pokonując codziennie około 30-40 kilometrów. Odległość między Pskowem a Kołogrywem wynosi około 1300 kilometrów. W Kołogrywie byli już na pewno 18 listopada. Świadczy o tym list współtowarzysza niedoli ks. Aleksego Tomickiego z Ładożyna¹⁷, dekanatu raclawskiego, diecezji kamienieckiej do hrabiny Róży Sobańskiej: *Kołogryw, 18 listopada 1863 r. [...] Droga do was tylko jedna z guberni, więcej nie masz tylko lasy. [...] Mieszkańcy tu niby są dobrzy, bo na nas nie pluja, nie łaja, jak to się w drodze zdarzało, ale w gruncie rzeczy są dzicy. Często się tu zabójstwa zdarzają. [...] do dnia dzisiejszego jest nas 12, a mianowicie Kazimierz Skirmunt obywatel guberni mińskiej nadzwyczaj poczytywy człowiek [...] On tu, a żona w Tambowie, syn marszałka pińskiego oboje gorliwi patrioci, czynni na polu pracy społecznej i obywatelskiej, byli jasnym ogniskiem polskiej odwiecznej kultury na Polesiu, Grzegorz Pawłowski rządca dóbr, Konstantyn Krukowski lekarz, Piotr Karnicki zakrystian z Mińska [...] (szósty) ks. Leopold Zgodziński, (siódmy) ks. Franciszek Wiśniewski (z Sawina) obydwaj z lubelskiego, Jan Bętkowski, Jan Dziewicki obywatele także z lubelskiego, Miński tkacz z Warszawy, Piotr Zichhaber, lokaj, kucharz, strzelec i rybak także z Warszawy, a ja dwunasty*¹⁸.

Ks. Leopold od listopada 1863 do sierpnia 1864 r. przebywał wraz z kilkoma kapłanami w Kołogrywie (miasto liczyło 1800 ludzi). Ks. Tomicki przebywający najpierw w Kostromie nad Wołgą, a potem przeniesiony do Kołogrywu i Warnawina przebywał razem z księdzem Zgodzińskim i jest

autorem wielu listów, z których mamy informacje o życiu wygnańców, także księdza Zgodzińskiego. Nie zachowały się żadne świadectwa z wygnania pisane przez księdza Leopolda, stąd nie znamy jego spostrzeżeń, ani stanu ducha czy innych prze-myśleń związanych z życiem zesłańczym. Dlatego bezcenne jest świadectwo z pobytu na wygnaniu współtowarzysza niedoli, który pisał listy do hrabiny Sobańskiej, a także do Klary Sierocińskiej, swojej penitentki¹⁹. Listy te są wymownym świadectwem trudnego życia na wygnaniu, tęsknoty za ojczyzną i swoimi wiernymi, ukazują stan ducha kapłanów, a także próby poradzenia sobie z sytuacją wygnania poprzez zawiązywanie wspólnoty wygnańczej, organizowanie sobie zajęć i życie nadzieją oswobodzenia. Do ważniejszych zajęć należy zaliczyć organizowanie wykładów na różne tematy, bowiem oprócz księży byli tam ludzie różnych dyscyplin - lekarze, przyrodnicy, profesorowie. Ks. Tomicki pisze, że prowadzili konferencje z zakresu duchowości, historii i przyrody, np. obecny tam ks. Wy-szyński, profesor nauk przyrodzonych w Akademii Warszawskiej przygotował konferencje o roślinach w ogólności, a następną o *roślinie kartofli, pokazał skład chemiczny, organa życia, jej choroby, poparł to dowodami tak jasno i przystępnie, że pomimo braków do słuchania i pojmowania wszyscy roze-szli się wielce zadowoleni*.

Dla zobrazowania życia na wygnaniu, przytoczymy kilka innych małych fragmentów owej korespondencji pisanej z Kołogrywu i Warnawina, gdzie przebywał razem z księdzem Tomickim nasz ksiądz Leopold Zgodziński, następnie omówimy plany domów, w których mieszkał ksiądz Leopold, które rzucają także światło na warunki życia zesłańców. Owe plany są szerszą kolekcją małych dzieł rysunkowych, jakie wykonał ks. Leopold na wygnaniu, które zachowały się w rodzinie i zostały zdeponowane w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Opracowała je merytorycznie i kompetentnie dr Anna Milewska-Młynik²⁰.

¹⁵ Róża hrabina Sobańska była rodzoną siostrą biskupa Konstantego Ireneusza Łubieńskiego i babką dwóch zakonników. Ona także trzy lata była na wygnaniu w Permie. Ks. Tomicki pisał też listy do Klary Sierocińskiej, którą nazywał matką i która wspomagała go, przysyłając na Syberię potrzebne rzeczy i wsparcie finansowe.

¹⁶ Ks. bp P. Kubicki, *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 4, s. 140.

¹⁷ Ks. Tomicki został wywieziony na wygnanie za to, że założył polską szkołę dla dzieci w swojej parafii.

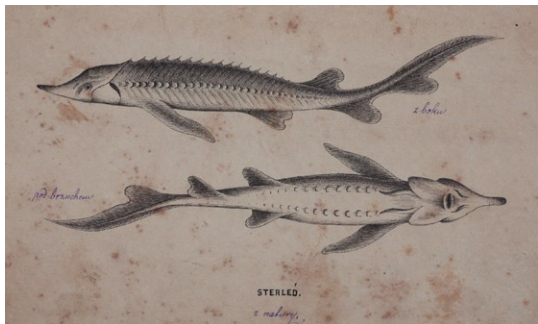
¹⁸ Ks. bp P. Kubicki, *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 4, ss. 160-161.

¹⁹ Listy te zachowały się w klasztorze Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Warszawie. Niestety, prawdopodobnie podczas zawieruchy ostatniej wojny wszystkie poginęły.

²⁰ A. Milewska-Młynik, *Zesłańcze rysunki księdza Leopolda Zgodzińskiego w zbiorach Muzeum Niepodległości, Niepodległość i Pamięć* nr 2 (6), 1996.

Mieliśmy radość te rysunki księdza Zgodzińskiego oglądać na wystawie zorganizowanej przez Muzeum Regionalne w Krasnymstawie, dzięki staraniom dyrektora Artura Capały, który sprowadził je na czasową wystawę z Muzeum Niepodległości w Warszawie. Otwarcie wystawy miało miejsce 3 marca 2016 r. Prelekcję o księdzu Zgodzińskim wygłosił autor niniejszego artykułu.

Jedną z większych szykan, jakie dotyczyły kapłanów był zakaz odprawiania mszy św. i organizowania nabożeństw. Wprawdzie hrabina Sobańska przysłała paramenty liturgiczne, ale policja je zarekwirowała. Aby zadość uczynić pragnieniu kontaktu z Bogiem, spotykali się w jednej z kwater, aby modlić się i słuchać duchowych konferencji, które wygłaszał wyznaczony kapłan. Najtrudniejsze jednak były święta. *Kołogryw, 27 grudnia 1863 r. [...] Wigilia była zachowana w całym znaczeniu, ale nie tak jak u Was na obfitych potrawach. Poświęciłem trochę wody, podzieliłem się nią z kolegami, ktoś zanucił po cichu kołędę, ale ja pożegnałem kolegów, bo jakoś lepiej w samotności.*



Warunki życia materialnego były bardzo trudne i wywoływały nieraz rozżalenie. Świadczy o tym fragment listu księdza Tomickiego do hrabiny: *Kołogryw, 10/22 stycznia 1864 r. Wywieziono nas w kraj obcy, bez sądu, bez winy, wsadzono w taką dziurę, że wyobrazić trudno, zapracować na grosz nie można i nie masz sposobu, wydała się z miasta o wiorstę nie wolno, co dzień rano i w wieczór przychodzi żołnierz i liczy, czy którego nie brakło, a czy jest za co żyć, nikt się o to nie spyta. Nie o mnie chodzi, bo mnie Bóg nie opuści i J. W. Pani, ale koledzy moi niedługo będą w takiej potrzebie, że nie będą mieli za co i chleba kupić. [...]²¹.*

Ks. Zgodziński w Kołogrywie wynajmował po kolei dwie kwatery. Pierwsza należała do rodziny Batujewych, zaś druga do Biełogozowa. Należy podziwiać, z jaką dokładnością na niewielkich kartkach narysował plany swoich kwater i ich zewnętrzny widok. Dom Batujewa zbudowany jest z okrągłych bali na planie prostokąta, układanych w węgły. Pokazana jest ściana wschodnia podzielona na trzy części. W środkowej jest jedno okno, a w bocznych po dwa. Dach czterospadowy pokryty tarcicami. Dom wygląda na uporządkowany i schludny. Dookoła posesji zbudowane jest szczelne ogrodzenie z desek, co nie pozwalało wścibskim zaglądać do środka gospodarstwa. Po prawej stronie widać jakieś pomieszczenie gospodarskie. Po lewej stronie domu jest furtka wejściowa, a po prawej dwie, przykryte dwuspadowymi daszkami. Przy domu jest wysoki słup, a na nim budka lęgowa dla ptaków. Ks. Zgodziński lubił przyrodę, dla ptaków przygotowywał budki i wieszał na drzewach. Ks. Tomicki żartobliwie pisał w jednym z listów: *Do nas dwóch przychodzi na obiad, jeszcze trzeci niejaki ks. Leopold Zgodziński, ten sam, co robi klatki, łapie szpaki i daje im lekcje wymowy [...]²².*

Pośrodku domu znajdują się dwa piece chlebowe tak umieszczone, że ogrzewały cały dom, wszystkie pokoje. Pokój południowo-wschodni dzielił ks. Zgodziński z Dziewickim, z którym przebywał w kazamatach zamojskich. Dziewicki pochodził z Hrubieszowa, był urzędnikiem miejskim - kasjerem, który zaangażował się w ruch powstańczy²³. W tym pokoju, po przeciwnych stronach stały dwa łóżka, a obok, po dwa krzesła. Pośrodku, przy ścianie stał duży stół. Przy wejściu do pokoju kredensowego stało po jednej stronie krzesło, a po drugiej były „walizy i tłumoki”. Był w tym pokoju jeszcze jeden stolik narożny. Z tego pokoju przechodziło się do kredensowego, w którym stały dwie szafy, jedna na naczynia, a druga z książkami. Zesłańcy często prosili swoje rodziny o przesłanie im książek, które ubogacały im życie intelektualne i duchowe. Wiemy, że ksiądz Zgodziński interesował się historią, o czym będzie w dalszej części niniejszego artykułu. W tym pomieszczeniu była jeszcze ława przy pie-

²² *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 4, s. 150.

²³ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 2, s. 316.

²¹ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 4, s. 163.

cu oraz dwa wieszaki z ubraniami. Z kredensowego pokoju przechodziło się do następnego, który zajmował ks. Wiśniewski z Sawina. Ostatni pokój północno-wschodni był pokojem gościnnym. Znajdowały się tam duże prostokątne dwa stoły i jeden mały narożny, kanapa i 10 krzeseł. Tutaj zbierało się większe towarzystwo na konferencje i wspólne spotkania. Od północy był jeszcze jeden pokój - Bętkowskiego. Tenże zesłaniec pochodził z majątku hrabiego Chrzanowskiego w Mroczynie²⁴. Po przeciwnej stronie, od południa było pomieszczenie na „rzeczy”, „tłumoki”, walizki i „schowanka na buty”. Z tego planu widać zachowany w tym domu porządek. Od zachodniej strony istniała jeszcze weranda, w której były dwa „czuany” - łazienki lub pralnie i dwie ubikacje. W ogrodzeniu była jeszcze obórka, dwa „ambary” - pomieszczenia gospodarcze (spichlerze), a w środku lodownia. Przy nich buda dla psa o imieniu Siczka. Za ogrodzeniem, od strony zachodniej był ogród, który uprawiali zesłańcy, by można było jakoś wyżyć.



Drugi dom - Bielozozowa, w którym kwaterował ks. Zgodziński był podobnie zbudowany jak poprzedni. Przy czym większość pomieszczeń zajmował gospodarz, natomiast ksiądz Zgodziński miał niewielki pokój sypialny z przedsionkiem, z którego wchodziło się także do pokoju gościnnego. Między sypialnią księdza i gościnnym pokojem stał duży piec. Pokój gościnny był dość obszerny, służący do wspólnych spotkań. Były w nim trzy stoły, kanapa i 14 krzeseł.

W sierpniu 1864 roku trzech kapłanów-zesłańców zostaje przeniesionych 300 kilometrów

dalej w głąb Rosji. Ks. Tomicki pisze: *Kołogryw, 6 sierpnia 1864 r. W tej chwili odebrałem rozporządzenie, aby się wybierać do innego powiatowego miasta Warnawina, tam, gdzie ksiądz Sadkowski. Ode mnie 300 wiorst dalej. Za kilka godzin wyjeżdżamy we trzech: ja, ks. Leopold Zgodziński i młodszy Kosiński. Żandarmi już czekają. Warnawin, 15 sierpnia 1864 r. Po trzech dniach drogi samymi lasami przybyliśmy tutaj. Miasto maleńkie, 900 dusz, z dwóch stron dotyka do miasta puszcza ogromna. [...] Nie można sobie wyobrazić dzikości i smutku, jaki tu panuje²⁵.*

Z listu do Sobańskiej: *Warnawin, 16 sierpnia 1864 r. [...] Miasto Warnawin leży na prawym brzegu rzeki Wisługi, na wzgórzu, opasane nieprzystępnym a zarosłym wąwozem. [...] Za rzeką rozpoczyna się okiem niezmierzona puszcza, założona krzakami, błotem i wodą, a więc do przebycia niepodobna. Strach tam spojrzeć, doprawdy i ze wstrętem odwraca się oczy, jakby tam było tylko złych duchów mieszkanie. [...] Przed stu laty mieszkał tu niejaki Warnawa, czyli Barnaba, pustelnik. Miał podobno prowadzić żywot świątobliwy i umarł. A lud z Upadłego Nowogrodu zaczął się obok grobu pustelnika budować i powstało miasto, od jego nazwiska Warnawin nazwane. Sto lat upłynęło i zaledwie dziś 900 dusz liczy²⁶.*

Kapłani początkowo otrzymywali pensji po 6 rubli miesięcznie, co ledwo starczyło na zapłacenie kwatery. Potem i tej skromnej zapomogi im odmówiono. Na szczęście rodacy z kraju pomagali wygnańcom, a też istniała Fundacja Plate-rów, która za pośrednictwem księży Kierońskiego i Kulaszyńskiego (proboszcz z Łaszczowa, diec. lubelska) rozdelała skromne zapomogi kapłanom-wygnańcom. Wielu też podejmowało różne prace, jak chociażby ksiądz Leopold, który zajmował się stolarstwem. Nie wiemy skąd nauczył się tego rzemiosła. Z pewnością w sąsiedztwie albo w rodzinie mógł być jakiś stolarz i może w czas wakacji podglądał prace stolarskie, a nawet i sam w nich uczestniczył. Być może też tam, na miejscu zesłania, zaangażował się w jakiejś stolarni i posiadał potrzebną wiedzę, by w ten sposób zarabiać na życie. Na szczęście też jedzenie nie było zbyt

²⁴ http://suflerob.o11.pl/?page_id=1619. W tekście jest mowa o majątku Starzyńskiego, zdaje się że błędnie, bo w Mroczynie mieszkali Chrzanowscy (ks. H. Kapica).

²⁵ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 4, s. 167.

²⁶ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 4, s. 142.

drogie, wiadomo, dookoła puszcza. Szczególnie mięso było tanie, ogólnie za funt mięsa płacono 5 kopiejek. W jednym z listów pisze ks. Tomicki: *Za najlepszą parę jarząbków płaciliśmy najwyżej kopiejek 3, głuszcę kopiejek 10, cietrzew 5 do 10. Zające przywożą na targi bez skóry i sprzedają za 2 lub 3 kopiejki.* Gorzej było z przygotowaniem posiłków. Miejscowe potrawy nie zawsze były do zjedzenia, jak skarżył się towarzysz księdza Leopolda. Pod koniec 1864 roku stołował się ks. Zgodziński z ks. Tomickim i ks. Wyszyńskim u Zalewskiej, zesłanej z racji udziału w powstaniu. Jednakże po kilku miesiącach zabrano ją z Warnawina. Czasami gastronomiczne wydarzenia stwarzały sytuacje nieco komiczne. Oto jedno z nich: *Warnawin, 1 października 1865. Do dziś jest nas tu dwunastu. [...] Miejscowych potraw w żaden sposób jeść nie można, a swoich nikt z nas gotować nie umie. Mieliśmy tu jedną kobietę, niejaką Zalewską, o której najprawdźwiwiej by można powiedzieć było, że „na bezrybiu i rak ryba”, ale i tę wywieziono do Makarewa, więc jak brakło tego raka, to i konceptu brakło. [...] O kuchni nikt z naszych pomyśleć nie chce. To położenie mimo woli przywodzi mi na pamięć bajkę o złotym deszczu, co wszystkich wzbogacił i sługi zabrakło, i robotnika nie stało i z głodu wszyscy pomarli. Tu gdzie ja się stołuję jest nas pięciu: ja, ks. Józef Wyszyński, ks. Józef Żmijewski, ks. Walerian Różycki i ks. Leopold Zgodziński. Ostatni przyjął na początku komendę niby to nad kuchnią, do której sprowadzono jakoby kucharkę, starą, wytrawną i niby mądrą. Na pierwszy dzień wylała nam rosół w piec, a w miejsce tego nasz szafarz kazał nam Anioł Pański odmówić. Na drugi dzień nasz szafarz sam się zajął i z książką w ręku sam komenderował jakiś sos, a że kucharka umie gotować czczy, nie zgodzili się w zdaniu i zrobili taki sos, po którym literalnie kot największy by przeszedł, nie zrobiwszy śladu. O smaku nic nie wspominam, bo to opisać trudno. Jak tam dalej będzie nie wiem²⁷.*

Księża także uprawiali ogród. Współwygnaniec ks. Wyszyński sprowadził z Warszawy nasioną warzyw, a też i 70 gatunków kwiatów, założył pasiekę. *Robimy, co można, nie z fantazji, ale z potrzeby i biedy. [...] Wygnanie, samotność,*

rozmyślanie wielką jest szkołą, która tyle milionów świętych wydała, czym się nie poszczyci świat ani najwykwintniejsze salony - pisał ksiądz Tomicki.

Uciążliwością dla wygnańców był także klimat bardzo surowy, krótkie lata i mroźne zimy oraz dokuczliwość komarów i innych insektów. Miasteczko Warnawin leży już w zimnej strefie klimatycznej: *Warnawin, 4/16 czerwca 1865 r. [...] U nas zawsze zimno, słotno, aż dreszcz przechodzi. Niebo koloru ołowianego, jeszcze ani razu się nie wypogodziło i literalnie ani jednego nie mieliśmy tu jeszcze pięknego dnia. Z ziemi dopiero trawy wychodzą. Warnawin, 24 czerwca/6 lipca 1865 r. U nas w tych dniach ogromne upały. [...] Komary i rozliczne jadowite owady z sąsiedniego błota wylęgłe, tak dokuczliwie kąsają, że opędzić się trudno. Każdy z nas trochę napuchnięty od pokąsania, zdaje się, że lepiej wygląda, ale to udana pociecha, bo dobrze boli. [...].*

Ksiądz Tomicki na wielu miejscach swojej korespondencji wspomina nazwisko współtowarzysza niedoli, księdza Leopolda Zgodzińskiego: *Warnawin, 3 grudnia 1865 r. Nie pamiętam czym ci donosił, że od miesiąca zmieniłem kwatery dla taniości, a może i dla większej dogodności. Czterech nas, to jest: ja, ks. K. Wyszyński, ks. K. Żmijewski i ks. Leopold Zgodziński, najęliśmy wielki dom na samym końcu miasta. Mamy 6 pokoi, z tych dwa najmniejsze ja zabrałem, jeden na sypialnię, a drugi do pracy, koledzy mają po jednym pokoju. Szósty jest na ogólne przyjęcie. Tam zwykle schodzimy się na obiad i herbatę i składamy sobie relacje z całodziennego zajęcia, po czym każdy wraca do swojej pracy i jeden drugiemu jej nie przerywa. Warnawin, 30 stycznia 1866 r. Tu w Warnawinie jest nas trzynastu księży: ja, ks. Józef Wyszyński, ks. Józef Żmijewski, ks. Leopold Zgodziński z Krasnegostawu, mieszkamy razem. Warnawin, 24 lipca 1867 r. Do obiadu zasiada nas trzech: ks. Kan Wyszyński, ks. Leopold Zgodziński, dawny gospodarz i ja trzeci.*

Pod koniec pobytu w Warnawinie ksiądz Zgodziński bardzo ciężko zachorował. Pisał o tym ksiądz Tomicki w liście do hrabiny Róży Sobańskiej na Podolu: *Warnawin, 18/30 listopada 1866 Drugi nasz kolega ksiądz Leopold Zgodziński w te chwile był też bardzo chory. Lękaliśmy się, by to nie był tyfus, bo wszystkie objawy tyfusu już się objawiły.*

²⁷ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3. t. 4, ss. 171-172.

*Ale dziś chory ma się już znacznie lepiej*²⁸.

W Warnawinie ks. Leopold mieszkał aż na pięciu kwaterach. Porobił dokładne plany wszystkich kwater, natomiast architekturę domów pokazał tylko trzech pierwszych.

Pierwsza kwatera należała do A.W. Alifina. Gdy chodzi o zewnętrzną architekturę, to jest ona podobna we wszystkich domach. Zbudowane są z bali drewnianych, pokryte czterospadowym dachem, w tym pierwszym domu jest jeszcze ganek z dwuspadowym dachem. Widoczne są mniejsze dachy gospodarczych pomieszczeń. Domy są w ogrodzeniu wykonanym z tarcic. W tej pierwszej kwaterze do podwórka prowadzi szeroka, ozdobna brama, a po bokach są furtki. W pierwszej kwaterze w Warnawinie mieszkał, oprócz księdza Zgodzińskiego, który zajmował najobszerniejszy pokój, jeszcze ksiądz Wyszyński oraz gospodyni Tekla Zalewska. Pochodziła z Warszawy, potem mieszkała w Miechowie, gdzie rozegrała się jedna z największych bitew powstania styczniowego, niestety, przegrana. Wówczas miasto zostało spalone. Podczas tego pożaru T. Zalewska, bogata mieszcza, jak wspomina ksiądz Tomicki, straciła swój majątek, a za udział w powstaniu trafiła na zesłanie²⁹. W tej to kwaterze ksiądz Zgodziński prowadził kuchnię, a w jego salonie gromadzili się zesłańcy.

Druga kwatera należała do Olimpiady Matwijewny Kallistowej. Była nieco skromniejsza i chyba bardziej zaniedbana, sądząc po nieco zdeprawowanym ogrodzeniu. Ten dom zbudowany był w kształcie litery „L”. Mieszkali w niej: ks. Zgodziński i ks. Wyszyński, a także w małym pokoiku przy

kuchni mieszkała kucharka T. Zalewska. To właśnie u ks. Zgodzińskiego stołowali się księża.

Trzeci dom wynajęty na kwatery należał do Zbrujewa. Podobnie jak poprzednie, był zbudowany na planie prostokąta, ale miał jakby od frontu dwa obszerne ganki, przykryte dwuspadowym dachem, jak też i główna część domu miała podobny dach. W jednej części owego obszernego ganku znajdowała się kuchnia, natomiast w drugim, nieco mniejszym, pośrodku domu, znajdowała się sień, za nią przedpokój, pokój kredensowy, a w ostatnim była jadalnia. Po prawej stronie znajdowały się dwa pokoje: ks. Żmijewskiego³⁰ - mały i drugi ks. Wyszyńskiego³¹ - obszerny. Po lewej stronie był pokój księdza Zgodzińskiego, dalej kaplica i pokój ks. Tomickiego. W tym domu chyba mieszkali dłużej, bo tutaj był założony bardzo piękny ogródek w stylu francuskim z geometrycznie wytyczonymi alejkami. Na zewnątrz także był stół okrągły i dwa siedzenia darniowe w kształcie litery „C”. Nowością była tutaj kaplica. Wprawdzie kapłani nie mogli odprawiać mszy św., ale mogli się modlić. W pokoju księdza Zgodzińskiego były także klatki dla ptaków, o których żartobliwie wspominał ksiądz Tomicki. Księża mieli także zegar i niedźwiedzia w kredensie (nieznany sprzęt obecnie).

Czwarta kwatera, w której mieszkał ksiądz Zgodziński należała do Karpowa. Ks. Zgodziński nie narysował tego domu, bo sądząc po wewnętrznym planie był on bliźniaczo podobny do poprzedniego. Tak samo kuchnia była wysunięta do przodu w stosunku do całego domu. Oprócz księdza Zgodzińskiego, pokoje zajmowali księża Żmijewski

²⁸ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 2, s. 324.

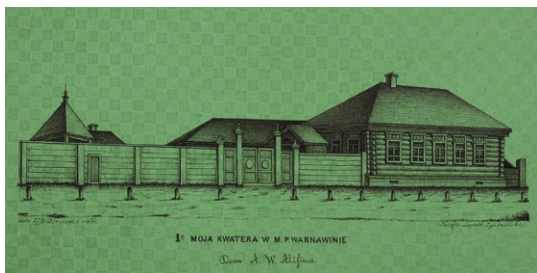
²⁹ Tekla z Lemańskich Zalewska. „Po śmierci męża, niegdyś żołnierza Napoleona, zamieszkała w Warszawie, gdzie prowadziła restaurację, w jej domu odbywały się spotkania i narady patriotyczne, nękana przez policję przeniosła się do Miechowa, do siostry, walczyła w oddziale Bończy, ранego dowódcę przewoziła, aby go ukryć, lecz zatrzymał ich patrol kozacki, została odstawiona do cytadeli warszawskiej, przechodziła męki spowodowane ciężkim więzieniem, w końcu zesłana do guberni kostromskiej w marcu 1864, po pięciu latach na mocy amnestii opuściła miejsce zesłania, do Warszawy mogła powrócić dopiero po następnych kilku latach, zmarła w 1899 w Siedlcach”. Zob. <http://www.genealogia.okiem.pl/powstanie/index.php?nazwisko=Zalewski>.

³⁰ *Bojownicy kapłani...*, cz. 1, t. 3, s. 549. Ksiądz Józef Żmijewski, 1825-1898. Urodzony we wsi Strabla w Białostockiem, proboszcz w Złakowie, pow. łowicki, guberni warszawskiej, „popadł w niełaski rządu” i w lipcu 1864 r. został zesłany do gub. kostromskiej, gdzie przebywał 8 lat. Kolejne 12 lat spędził w Odesie, a we wrześniu 1884 r. uzyskał pozwolenie na powrót do kraju.

³¹ Ks. Józef Wyszyński aresztowany za udział w Komitecie Narodowym, redagowanie czasopism „rewolucyjnych”. Był wikariuszem kościoła św. Andrzeja w Warszawie i profesorem nauk przyrodniczych na Akademii Warszawskiej. Aresztowany i wywieziony najpierw do guberni tobołskiej, potem do Orla i zwolniony. Na powrót aresztowany w październiku 1863 roku i wywieziony do guberni kostromskiej. Zob. *Bojownicy kapłani...*, cz. 2, t. 3, s. 467.

i Wyszyński. Przy kuchni był maleńki pokój zwany *fracymier* - pokój dla kucharki, chyba tej, która gotowała bardzo cienki sos. Powiększa się także ilość klatek produkowanych przez księdza Zgodzińskiego, bowiem znajdują się nie tylko w jego pokoju, ale także i księdza Żmijewskiego.

Ostatnia kwatera znajdowała się w domu Maryi Matwijewny Iwanow. Mieszkali w niej ci sami domownicy: ks. Zgodziński, ks. Wyszyński i Żmijewski. Ta kwatera potwierdza fakt, że ks. Zgodziński pracował jako stolarz, by zarobić na życie. W tym bowiem domu urządził w jednym z pomieszczeń stolarnię, a w drugim tokarnię. Ks. Leopold był człowiekiem niezwykle utalentowanym, aktywnym i pracowitym. Pod rysunkiem przedstawiającym koszary napisał, że zostały przebudowane ze składu wódek, wg jego planu w roku 1867. Ten podpis świadczy o tym, że ksiądz Zgodziński cieszył się dużym autorytetem i uznaniem w społeczności. Doceniono jego umiejętności jako architekta. Patrząc także na rysunki planów swoich kwater, trzeba powiedzieć, że wykonał je fachowo i precyzyjnie. Jak na samouka, należy wyrazić podziw co do jego talentu jako architekta. O tym, że zajmował się stolarką świadczy raport policyjny znajdujący się w Państwowym Archiwum Kostromskiej Guberni, który pozyskał bibliofil i historyk Stefan Wojciechowski za pośrednictwem nauczyciela historii w mieście Gorki (wówczas Niżny Nowogród)³².



Wydaje się, że ksiądz Zgodziński nie miał czasu na użalanie się nad swoim losem, wypełnił go pożytecznymi pracami zarówno fizycznymi jak i intelektualnymi, wykorzystał talenty dane mu przez Boga i w ten sposób pełnił swoje powołanie, zarówno modląc się jak i pracując. Na owych rysunkach pragnął utrwalić to, co było w jego otoczeniu

interesujące, ciekawe i odmienne od tego, co we własnym kraju. Niewątpliwie interesowała go architektura budowli, które znalazły się w miejscach, gdzie los go rzucił. Aż 25 rysunków dotyczyło architektury, nie licząc planów swoich kwater. Rysował budynki sakralne i świeckie.

Z budynków sakralnych przedstawił: cerkiew zimową w Warnawinie, front cerkwi letniej w Warnawinie, monaster św. Trójcy w Siergiejewskiej Osadzie, sobór katedralny w Kostromie pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, kaplicę w miejscu pustelni Barnaby w Warnawinie, cerkiew na grobie Barnaby w Warnawinie, odwzorował także ze starego rysunku środkową część kremla w Moskwie, którą z pewnością widział podczas wędrówki na wygnanie, narysował bok cerkwi letniej w Warnawinie, cerkiew w siole Iwanowo. Natomiast ze świeckich budowli, oprócz swoich kwater uwiecznił w rysunkach: niezwykle oryginalną architekturę wiatraka, czterokondygnacyjny budynek z drewna podpisany „Klatka”, więzienie w Warnawinie, dom Raczyńskiego - kasjera w Warnawinie, więzienie w Kołogrywie, wspomniane koszary w Warnawinie, domy włościańskie, tartak, drugi wiatrak o odmiennym wyglądzie, dom Birakunowa - sędziego w Warnawinie, dom prywatny Żukowa w Warnawinie, biuro powiatowe w Warnawinie.

Następny dział rysunków ks. Zgodzińskiego dotyczy życia na wsi, pokazuje osoby ubrane w tamtejsze stroje i narzędzia, którymi posługiwali się. Autor rysunków dokumentował odświętne niejako ubiory kobiet i mężczyzn, przydając im atrybuty (narzędzia), by w ten sposób określić ich stan czy zajęcie. Do tych rysunków należą pastarze z atrybutami takimi jak torba, kostur pasterski, bat, trąbka; wieś i miasto - personalizacja dwóch stanów, chłopskiego i mieszczańskiego w postaci dwóch kobiet; kobieta sprzedająca mleko, chłop i dziewczka - w pozach nieco krotocwilnych; Czere-misy na łowach z upolowaną dziczyzną i rybami; dziewczka ze wsi niosąca motykę; kosiarka.

Ostatnia grupa rysunków przedstawia narzędzia pracy: nosze do przenoszenia wody, naczynia, uchwyty do garnków, andrec - wóz czterokołowy z drabinami, motowidło - narzędzie tkackie, młockarnię w postaci dwóch walców, młockarnię o jednym wale, cepy. Ciekawostką jest jeden rysunek przedstawiający tamtejszą rybę zwaną sterlet (sterlet).

³² S. Wojciechowski, *Leopold Zgodziński i jego Kalendarz historyczny*, Rocznik Lubelski, t. XVI, 1973, s. 175.

Należy podziwiać księdza Zgodzińskiego, gdy chodzi o umiejętność rysowania, niezwykłą precyzję. Pomimo, że był tylko samoukiem i amatorem, potrafił odzwierciedlać rzeczywistość niezwykle dokładnie i pięknie, był twórcą utalentowanym³³. Jego dzieła stanowią niezwykłą wartość historyczną, dokumentują świat, który już nie istnieje i są świadectwem historii jednego z tysięcy zesłanych do Rosji za to, że pragnęli wolności swojej Ojczyzny.

Wiadomo, że ksiądz Zgodziński pisał listy do rodziny. Swoje zdjęcie dedykowane Honoracie - żonie brata Szczepana, zachowało się w rodzinie, a zostało przysłane z Kologrywu 3 grudnia 1863 r. Autorka wspomnianego artykułu Anna Milewska-Młynik, która widziała owo zdjęcie, w następujący sposób opisała postać księdza Zgodzińskiego: *Widzimy na niej [na fotografii] postać w pełni odpowiadającą utrwalonemu wizerunkowi Polaka-zesłańca - dumną postawę, mądrą, surową twarz o regularnych rysach, okoloną bujnym zarostem*³⁴.

Zachowały się także dwa listy w carskich urzędach w Lublinie wysyłane do księdza Leopolda przez brata Mikołaja, które uznane zostały jako „nieprawomyślne”. W pierwszym z nich z 15 grudnia 1870 roku Mikołaj pisze, że otrzymał list z Warnawina datowany na 13 października³⁵.

Zachowała się też opinia policji carskiej pełniącej nadzór nad powstańcami w Warnawinie zapisana w aktach Państwowego Archiwum Kostromskiej Guberni, a sporządzona na okoliczność prośby księdza Leopolda o zezwolenie na powrót do kraju³⁶. W niej zawarta jest charakterystyka księdza Zgodzińskiego: *W tym raporcie podano, że Zgodziński w Warnawinie postępował bardzo ostrożnie, że zajmował się stolarką i pisywał. Nie ujawniał, według raportu, poglądów*

*szkodliwych dla państwa, ale niekiedy w rozmowach przejawiał niechęć do rządu. Z ludnością miejscową żył w dobrych stosunkach, utrzymywał je też z osiadłymi tam Polakami. Policja na podstawie wywiadu wiedziała, że wypadki polityczne odnoszące się do Rosji i Królestwa Polskiego znał on znacznie wcześniej aniżeli podawała je oficjalna informacja. [...] Policja wietrzyła wówczas w tym istnienie jakichś podejrzanych źródeł informacji, nieuchwytnych dla policyjnego nadzoru*³⁷.

W powyższym raporcie policyjnym jest mowa o tym, że ksiądz Zgodziński poświęcał swój czas na pisanie. Z pewnością była to korespondencja do rodziny i bliskich. Będąc w Kologrywie 2 kwietnia 1864 roku, wysłał list w swoim imieniu i księdza Wiśniewskiego do biskupa Pieńkowskiego, który objął władzę w diecezji, pisząc w jego zakończeniu: *Pobłogosław mi w moim wygnaniu*. Ale największe dzieło pisane, które pozostawił po sobie nosiło tytuł „Kalendarz historyczny Polski wypisany z chronologii Szym. Konopackiego. Warnawin w guberni Kostromskiej d. 6 maja 1865 r. Ks. Leopold Zgodziński”. Ks. Leopold przez kilka lat tworzył to dzieło, pisane ręcznie, na pięknym papierze pochodzącym z Łańskiej Fabryki Sumkina Nr 6. Zawiera ono 186 kart, ma format 17,5 na 11 cm i jest pisane tuszem. Każdego dnia roku zamieszczał ks. Zgodziński ważne wydarzenia, które miały miejsce w historii Polski. Korzystał przy tej pracy z wielu dzieł wydawanych w Polsce, a także i za granicą w obcych językach. Przysyłali mu do Warnawina i Iłuszczy książki historyczne znajomi i rodzina. W swojej biblioteczce zgromadził ich około 200. To świadczy o wielkich horyzontach i dużej wiedzy naszego byłego wikariusza i administratora parafii. Pomimo tak trudnej sytuacji życiowej, cenił sobie niezwykle wiedzę, z niej korzystał i z pewnością dzielił się nią z innymi. Dzieło to jeszcze kontynuował w Iłuszcze. Ekslibris tego rękopisu pochodzi z biblioteki birżańskiej Tyszkiewiczów. Jest podejrzenie, że i inne książki z jego biblioteczki znajdują się w tym zbiorze. Można też podejrzewać, że ks. Leopold miał jakieś związki z rodziną Tyszkiewiczów. Może był

³³ A. Milewska-Młynik, *Zesłańcze rysunki księdza Leopolda Zgodzińskiego w zbiorach Muzeum Niepodległości, Niepodległość i Pamięć*, R III, Nr 2(6), 1996, s. 189.

³⁴ Tamże, s. 180.

³⁵ E. Niebelski, *Nieznane listy rodzinne do zesłańca z 1863 roku księdza Leopolda Zgodzińskiego*, *Almanach Historyczny*, t. 6, ss. 425-437.

³⁶ Dokumenty otrzymał Stefan Wojciechowski. Zob.: *Leopold Zgodziński i jego Kalendarz historyczny*, *Rocznik Lubelski*, t. 16, ss. 173 i 175.

³⁷ Tamże, s. 175.

także kapelanem w ich kaplicy? Obecnie to dzieło ks. Zgodzińskiego znajduje się w bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego³⁸.

W sierpniu 1871 roku ksiądz Zgodziński został zwolniony z pobytu w Warnawinie i mógł, za biletem wystawionym przez gubernatora kostromskiego 14 sierpnia 1871 r. nr 3597 wyjechać do guberni kurlandzkiej (Łotwa). Ksiądz Zgodziński osiadł w Iłuszczie. Dokumenty Departamentu Spraw Duchownych i Obcych Wyznań z roku 1884 mówią o tym, że ksiądz Zgodziński został uwolniony z nadzoru policyjnego jawnego, a pozostał pod nadzorem niejawnym³⁹.

O pobycie w Kurlandii księdza Zgodzińskiego nikt nie ma wiadomości. Wiemy co najmniej o dwóch podróżach. Z listu księdza Kulaszyńskiego (proboszcz Łaszczowa) ze Spasska (gubernia tambowska) do księdza Kierońskiego, że ksiądz Zgodziński na początku 1877 roku przejeżdżał przez Niżny Nowogród do Odessy⁴⁰. Z pewnością jechał nad Morze Czarne, by podratować swoje zdrowie, nadwyrężone zesłaniem i przebyłą chorobą. Niżny Nowogród nie leży na prostej drodze do Odessy. Być może odwiedzał znajomych kapłanów. Może też swojego proboszcza i dziekana księdza Andrzeja Bojarskiego, który dwa lata później odszedł z tego świata w Twerze, niedaleko Moskwy, a ksiądz Zgodziński musiał przejeżdżać przez Moskwę. Gdy chodzi o Odessę, wiadomym jest, że ksiądz Jan Rostkowski, wikariusz krasnostawski był także w Odessie. Ale są to wiadomości dopiero z roku 1883⁴¹. Jeśli był wcześniej, to także mógł być to powód odwiedzin.

Druga podróż, można powiedzieć do korzeni, miała miejsce w roku 1881. Ksiądz Zgodziński złożył podanie do władz, aby pozwolono mu odbyć kurację zdrowotną w Lublinie. Trzeba pamiętać, że dzielnica Sławinek w tamtych czasach była uzdrowiskiem. Do Lublina przybył 10/22 lutego 1881 roku i zamieszkał u swojego brata Szczepa-



pana. Otrzymał także tymczasową kapelanię u sióstr miłosierdzia przy kościele Niepokalanego Poczęcia NMP. Niestety, władze nie godziły się na objęcie tej funkcji przez księdza Leopolda. Nie powiodły się starania jego kolegi księdza Szymona Koziejowskiego, który pełnił ważną funkcję w kurii biskupiej, a mianowicie był jej kanclerzem i podejmował próby zatrzymania księdza Zgodzińskiego w Lublinie⁴². Ksiądz Leopold odwiedził w maju Kurów i grób rodziców na cmentarzu. W Kurowie był 4 dni i 17 maja wyruszył z powrotem do Iłusztzy⁴³.

5/17 listopada 1885 r. ksiądz Leopold Zgodziński został uwolniony z przymusowego pobytu w Iłuszczie i wyjechał za granicę⁴⁴. Tą „zagranicą” była Austria i zamek Sapiehów w Krasiczynie. Tam ksiądz Zgodziński dopełnił swojego żywota, sprawując funkcję kapelana w kaplicy domowej książąt Sapiehów, która znajdowała się i znajduje się obecnie w Baszcie Boskiej. Oprócz kapelanii, pełnił na tym zamku rolę bibliotekarza, porządkując i opisując archiwalia domu Sapiehów zgromadzone z Kodnia, Teofilpola, Różany i z wielu innych miejsc. A było ich około 50 tysięcy. Dr Antoni Prochaska we wprowadzeniu do dzieła „Archiwum Domu Sapiehów” pisze: *W ciągu wielu lat zbierane [archiwalia] gromadzone starannie w Krasiczynie, porządkowane pod kierunkiem księdza Leopolda Zgodzińskiego, później doktora B. Bańkowskiego, [...] J. A. Łukaszewicza stanowią główną podstawę materiału wydawniczego*⁴⁵.

³⁸ Stefan Wojciechowski, historyk, nauczyciel, regionalista w: *Zgodziński i jego Kalendarz historyczny*, Rocznik Lubelski, t. XVI, 1973, na stronach 174-181 zawarł wiele cennych informacji o księdzu Zgodzińskim, a szczególnie o jego *Kalendarzu historycznym*.

³⁹ *Bojownicy kapłani...*, cz. 2, t. 3, s. 488.

⁴⁰ *Bojownicy kapłani...*, cz. 3, t. 2, s. 241.

⁴¹ E. Niebelski, *Nieprzejeźdźni wrogowie Rosji*, s. 397.

⁴² S. Wojciechowski, *Leopold Zgodziński i jego Kalendarz historyczny*, Rocznik Lubelski, t. XVI, 1973, s. 179.

⁴³ E. Niebelski, *Słownik lubelskich i podlaskich księży uczestników powstania 1863 roku*, Lublin 2011, s. 162.

⁴⁴ *Bojownicy kapłani...*, cz. 2, t. 3, s. 488.

⁴⁵ Dr A. Prochaska, *Archiwum Domu Sapiehów*, Lwów 1892, t. 1, s. X.

Przebywając na zamku w Krasieczynie, ks. Zgodziński miał szczęście spotykać się z młodym księciem Adamem Sapiehą, wówczas studentem kilku uczelni, późniejszym kardynałem krakowskim, który wyświęcił na kapłana św. Jana Pawła II. Toteż w parku, w którym niegdyś podczas urodzin księcia, a było to 14 maja 1867 roku, zasadzono dąb i umieszczono kamień z napisem „Adam”, 31 marca 2006 r., w pierwszą rocznicę śmierci Jana Pawła II naprzeciw tego sapieżyńskiego dębu, najbliższej Baszty Boskiej, posadzono „Dąb Jana Pawła II”⁴⁶.



Ksiądz Leopold Zgodziński zmarł w Wigilię, 24 grudnia 1889 roku na zamku w Krasieczynie. Został pochowany na cmentarzu Śliwnickim⁴⁷. Na tymże cmentarzu, *w pierwszej ćwiartce cmentarza, po lewej stronie ogrodzony grobowiec (z nieczytelnym napisem) ks. Leopolda Zgodzińskiego powstała z 1863 roku więzionego w Rosji, następnie kapelana i bibliotekarza na Zamku. Niestety napis na kamiennej płycie niemal zupełnie złuszczone* - napisał ksiądz Bartmiński, proboszcz krasiecznyński w „Historii parafii krasiecznyńskiej” - swoim dziele życia⁴⁸. Jakby diabelski duch carskiej władzy pragnął wymazać z ludzkiej pamięci imię wielkiego kapłana, Polaka, miłującego Boga i Ojczyznę, wymazać nawet po śmierci. Wielkości człowieka, jego piękna

duchowego, męstwa, bohaterstwa, poświęcenia i potęgi ducha wymazać się nie da z ludzkiej pamięci, a jeszcze bardziej z pamięci Boga. Ta służba Bogu ostatnich lat życia dzielnego kapłana w kaplicy Baszty Boskiej jest pięknym znakiem, „laurowym wieńcem”, wspaniałym zwieńczeniem życia ks. Leopolda Zgodzińskiego.

Ksiądz Zgodziński był niezwykle gorliwym kapłanem, miłującym Boga i Kościół, ale też miłującym swoją Ojczyznę, której pragnął służyć całym sobą. Wprawdzie nie mógł wziąć czynnego udziału w powstaniu, ale był całkowicie oddany sprawie odzyskania niepodległości. Patrząc na jego drogę życia, możemy powiedzieć, że był niezłomnym kapłanem, zniewolonym zewnętrznym, ale wolnym duchowo, niczym św. Jan na wyspie Patmos. W tak trudnych warunkach, w poniewierce na zesłaniu, dawał piękne świadectwo życia kapłańskiego. Cóż jeszcze można powiedzieć o dzielnym kapłanie? Można podziwiać jego pracowitość i różnorodność talentów. Pracował intelektualnie, zgłębiając historię Polski, w tak trudnych warunkach zgromadził pokaźną bibliotekę, by z jej pomocą tworzyć dzieło przydatne do formowania ducha narodowego wśród zesłańców. Posiadał talent samouka - architekta i rzemieślnika - stolarza. Miał olbrzymi talent rysownika - jego rysunki to małe dzieła artystyczne. Świadczą one także o tym, że był bystrym obserwatorem otaczającej go rzeczywistości. Był człowiekiem przyjaznym wobec ludzi innej kultury i narodowości. Musiał nauczyć się tamtejszego języka, aby wejść z nimi w bliższy kontakt i współpracę, o czym donosił raport policyjny. Jego praca w archiwum wielkich arystokratów, jakimi byli Sapiehowie, funkcja kapelana, a też prawdopodobne związki z rodziną Tyszkiewiczów świadczą, że musiała to być osobowość wielkiego formatu.

Krasnystaw może być dumny z takiego kapłana, który w czas narodowej niewoli stawał przy naszym parafialnym ołtarzu, sprawował sakramenty święte i głosił Słowo Boże. Jako parafia, upamiętniamy naszych zasłużonych kapłanów w Ogrodzie św. Jana Pawła II. Może warto by wyjść z tak wielką historią poza własny ogródek?

ks. Henryk Kapica

Ryciny ze zbiorów Muzeum Niepodległości w Warszawie.

⁴⁶ Wdzięczny wychowanek, a późniejszy Jan Paweł II tak pisał o tym dębie z okazji 100-lecia urodzin kardynała Sapiehy: „Jest znakiem życia nieprzemijającego. [...] za kardynałem zawsze pójdą te słowa, które Najwyższy Pasterz wypowiedział po Jego śmierci. [...] Był on mężem jak drzewo zasadzone nad strumieniem wód, drzewo owocodajne i niezachwiane, którego widok nie tylko dla Polaków, ale dla całego chrześcijaństwa był podstawą nadziei, radości”.

⁴⁷ Ks. S. Bartmiński, *Krasieczyn. Dzieje parafii i społeczności*, t. 2, s. 122.

⁴⁸ Ks. S. Bartmiński, *Krasieczyn. Dzieje parafii i społeczności*, t. 1, s. 320.

Artur Borzęcki

Jan Zaprawa Ostromięcki wojenne i emigracyjne losy oficera z Rońska



Bohaterów walczących podczas II wojny światowej o wolną Polskę spotykał różny los. Wielu zginęło w walce na frontach zarówno na terytorium okupowanego kraju, jak i daleko poza nim. Wielu zostało zatrzymanych, a następnie rozstrzelanych w egzekucjach, zamęczonych w aresztach i więzieniach lub obozach. Byli też tacy, którzy wojnę przeżyli, ale z jednej okupacji - niemieckiej - bezpośrednio trafili na drugą - sowiecką. Specyficzną grupę bohaterów stanowili też ci, którzy wojnę przetrwali, ale do kraju, za który przelewali krew, wrócić w zasadzie nie mogli. Gdy jednak wracali, bo i tak przecież bywało, to nie w należytym im chwale bohaterów, ale raczej głównie z piętnem zdrajców, faszystów lub szpiegów zachodniego imperializmu. Jednym z wielu synów ziemi krasnostawskiej, który po wytężonym okresie konspiracji na terenie okupowanego kraju, a następnie po uwięzieniu, torturach i osadzeniu w obozach koncentracyjnych nie powrócił do powojennej Polski był Jan Zaprawa-Ostromięcki.

Jan Zaprawa-Ostromięcki urodził się 30 stycznia 1915 r. w podkrasnostawskiej wsi Rońsko, w domu rolników Jana i Marii z Furgatów. Uczęszczał do Gimnazjum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie, ale w 1932 r. przeniósł się do Lwowa. Sam pokrywał koszty kształcenia, m.in. udzielając korepetycji, starał się też o stypendium. W 1934 r. powrócił ze Lwowa, najprawdopodobniej już po ukończeniu szkoły, w każdym razie nie figuruje w spisie absolwentów krasnostawskiego gimnazjum. Po szkole, w wieku 19 lat, wstąpił do podchorążówki. Od początku bliskie mu były sprawy wsi polskiej, udzielał się m.in. w Okręgowym Towarzystwie Organizacji i Kółek Rolniczych (OTOiKR) jeszcze w Krasnymstawie. Na studia wyjechał do Poznania i podjął naukę w Wyższej Szkole Handlowej, tam też kontynuował pracę w TOiKR, wstąpił również do Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej (CZMW) „Siew”. W 1937 r. wyjechał do Warszawy i podjął studia w niepublicznej

Szkole Nauk Politycznych. Wciąż aktywnie działał, był przewodniczącym wydziału imprez w komisji budowy Domu Chłopa w Warszawie. Po zjeździe CZMW, w 1937 r. został szefem przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego w tej organizacji oraz członkiem sądu koleżeńckiego na województwo warszawskie. Jak wspominał Zaprawę Stanisław Gierat, „był to jeden z wybitniejszych działaczy wiejskich młodego pokolenia”.

Podczas kampanii wrześniowej walczył z Niemcami w szeregach 9 pułku piechoty Legionów, został ranny pod Iłżą, trafił do niewoli, skąd szybko udało mu się zbiec. Po ucieczce nawiązał kontakt z dawnymi działaczami CZMW w sprawie podjęcia konspiracyjnej działalności niepodległościowej i stworzenia podstaw organizacyjnych w oparciu o siatkę wysoce ideowych działaczy młodowiejskich. W ten sposób już na początku okupacji niemieckiej utworzono konspirację cywilną Chłopska Organizacja Wolności (ChOW) „Racławice” jako kontynuację CZMW „Siew”, a wkrótce wojskowy wydział pod nazwą Polska Organizacja Zbrojna (POZ). Zaprawa brał również udział w powstawaniu Centralnego Komitetu Organizacji Niepodległościowych (CKON) - konspiracyjnego ośrodka politycznego kierowanego przez Ryszarda Świętochowskiego. Po aresztowaniu Świętochowskiego (przedstawiciela generała Władysława Sikorskiego w kraju) Zaprawa podjął próbę jego uwolnienia. Pod pseudonimem „Janusz Czajkowski” dotarł nawet do generalnego gubernatora Hansa Franka, ale ostatecznie nie udało mu się uratować Świętochowskiego. Został on wkrótce wywieziony do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, gdzie zmarł w 1941 r. Na pamiątkę zaangażowania się w tę sprawę Zaprawa otrzymał od Reginy Czajkowskiej, siostry Świętochowskiego, papierośnicę, która wcześniej należała do jej brata.

Działalność konspiracyjną kontynuował na terenie Lubelszczyzny, był szefem I Oddziału Komendy Okręgu POZ Lublin, a po włączeniu POZ w strukturę ZWZ/AK został szefem I Oddziału Personalno-Organizacyjnego. Zastąpił na tym stanowisku Stanisława Henzla, ps. „Stanisław” przeniesionego do pracy konspiracyjnej w Warszawie. Za pomoc udzielaną ludności żydowskiej Zaprawa-Ostromięcki został aresztowany 16 grudnia

1942 r. w Lublinie przez gestapo. Wraz z nim ujęto także Andrzeja Szwajcera, oficera AK z Opola Lubelskiego. W chwili aresztowania lub też samego przewożenia zatrzymanych, Zaprawa i Szwajcer próbowali ucieczki, ale bez powodzenia.

Zaprawa-Ostromięcki początkowo został zamknięty i odizolowany w lochach lubelskiego aresztu gestapo „Pod Zegarem”. Tam poddano go różnym torturom, potem trafił do więzienia na Zamek do tzw. celi „szpagatów”. Dalej przez szereg dni wożono go „na badania” do aresztu na ul. Uniwersytecką. Wieczorem, pobitego, pokrwawionego i nieprzytomnego, wynoszono na noszach do samochodu. Po latach, pokazując blizny po torturach, opowiadał Gieratowi, że podczas przesłuchiwania był pytany kto jeszcze z chrześcijan pomaga Żydom, ale nic nie powiedział. O aresztowanych przez Niemców osobach nie zapomniały różnego rodzaju organizacje pomocowe, jak np. Centralna Opieka Podziemna „OPUS”. Uwięzieni oficerowie AK Zaprawa i Szwajcer, w wyniku wielokrotnych tortur stosowanych w czasie przesłuchań w gmachu „Pod Zegarem”, znaleźli się w końcu w takim stanie, w którym realną była groźba, że stracą życie. I tak by się pewnie stało, gdyby właśnie nie „OPUS”. Irena Antoszevska (nawiasem mówiąc również pochodząca z terenu powiatu krasnostawskiego) przy pomocy Kazimierzy Wójcik-Rucińskiej codziennie dostarczała obu uwięzionym nie tylko środki gojące, jak lekarstwa i opatrunki, ale i w odpowiednich termosach specjalnie przygotowane posiłki. Ta pomoc wsparta wysiłkami polskiego personelu szpitala więziennego na Zamku, w tym wypadku zwłaszcza strażnika Stanisława Franciszka Chylińskiego, pomogła obu ofiarom w odzyskaniu zdrowia. Pomimo tortur, zarówno Zaprawa, jak i Szwajcer nie załamali się psychicznie i nie zdradzili powierzonych im tajemnic. Był plan wywiezienia Zaprawy-Ostromięckiego pod esesmańskimi ubraniami dostarczonymi do pralni, ale zły stan fizyczny, w jakim on się znajdował, uniemożliwiał realizację zamierzeń.

Pokiereszowanego Zaprawę-Ostromięckiego, pośladki i nogi miał pokryte bliznami i ropiejącymi ranami, przewieziono 13 sierpnia 1943 r. z Zamku na Majdanek (otrzymał nr obozowy 5741) i przydzielono do bloku nr 15, gdzie blokowym był Janusz Olczyk. Szybko Zaprawa nawiązał

też kontakt z przewiezionym wcześniej na Majdanek Szwajcerem. W tym sierpniowym transporcie z Zamku na Majdanek przewieziono stu Polaków - zarówno kobiet, jak i mężczyzn. W obozie wszyscy ci więźniowie zostali oznaczeni czerwonymi punktami oznaczającymi podejrzanych o ucieczkę.

Faktycznie zabiegi Niemców nie były bezpodstawne, bo ucieczkę, jak pisze Jerzy Kwiatkowski, Zaprawa-Ostromięcki planował również z Majdanka. Uniemożliwiła to ciężka choroba - miał wodę w płucach, dostał zapalenia. Dzięki zabiegom Stanisława Zelenta trafił na V pole i na rewir, tam roztoczyli nad nim opiekę prof. Mieczysław Michałowicz i dr Henryk Wieliczański. Pisał później do rodziny w Polsce, że tej trójce: prof. Michałowiczowi, dr. Wieliczańskiemu i Zellentowi zawdzięczał wówczas najwięcej. Dzięki pomocy wspomnianych osób, został na rewirze i był pisarzem w 3 bloku „ozdrowieńców”. Funkcja ta zapewniała mu dach nad głową oraz chroniła przed ciężką pracą, stwarzając warunki do nabrania sił.

Od 1943 r. działała na Majdanku konspiracyjna organizacja AK, do czołowych działaczy tej komórki należał Zaprawa-Ostromięcki. Komórka przez nawiązany kontakt z zewnątrz służyła pomocą więźniom obozu, wysyłała raporty w formie grypsów do Komendy Okręgu AK w Lublinie o zbrodniach popełnianych w obozie, a te informacje były dalej wykorzystywane w prasie konspiracyjnej wydawanej w kraju i w Londynie. Kanał łącznikowy obsługiwany był przez Zaprawę-Ostromięckiego ukrywającego się pod pseudonimem „Henryk” vel „Janusz”. Była to praca bardzo niebezpieczna, która w razie wyspy groziła śmiercią. Zaprawa ryzykował też, przychodząc na pole IV w odwiedziny do Szwajcera, Wacława Lipskiego czy Tadeusza Kaszubskiego. Dzięki stałym kontaktom Zaprawy z Komendą Okręgu Lubelskiego AK, od której też przychodziły instrukcje, tworzyła się siatka konspiracyjna na Majdanku. Na polu V odbyło się zebranie organizacyjne, nastąpił podział funkcji i ustalone zostały sygnały alarmowe dla innych pól.

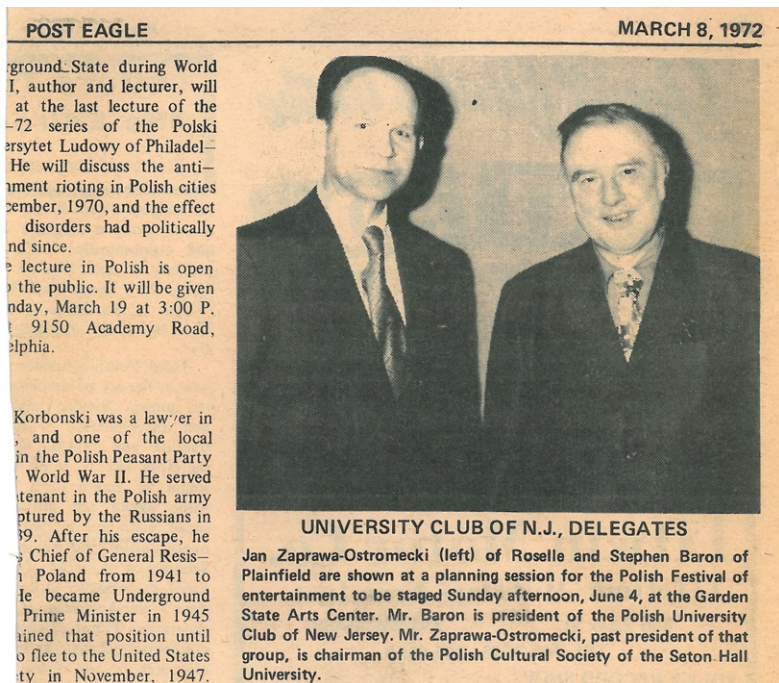
Wiosną, a dokładnie 13 kwietnia 1944 r., wyruszył z Lublina ostatni transport kolejowy z więźniami Majdanka przenoszonymi do KL Auschwitz-Birkenau, w wagonie pociągu znalazł się również Zaprawa-Ostromięcki. Zanim grupa wy-

jechała, odbyło się potajemne zebranie koło Łódka Zaprawy. Miał on ukryte komunikanty w małej białej kopercie i w ten sposób więźniowie przyjęli wielkanocną komunię świętą.

W obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau Zaprawa-Ostromięcki przebywał pięć miesięcy, po czym 22 sierpnia 1944 r. został wywieziony do Dautmergen - nowo wybudowanego podobozu dla KL Natzweiler-Struthof. Transport z Auschwitz, z którym do Dautmergen przybył Zaprawa, był pierwszym po założeniu tego obozu. W obliczu zbliżającego się frontu, po 235 dniach funkcjonowania, obóz w Dautmergen został zlikwi-

cił wszystko. Jego dobytek, zarówno to, co miał na Rońsku, jak i w Warszawie przepadło, spaliło się lub zostało rozkradzione. Na Rońsku rzeczy spaliły się w 1939 r. podczas wrześniowej pacyfikacji wsi, zaś w stolicy przypadły dopiero w czasie powstania warszawskiego. Widząc pewną analogię w fakcie zniszczenia obu miejscowości, pisał później *któż sądził, że Warszawę spotka los Rońska?*. Nie żałował jednak niczego, dziękując Bogu, że uchwalił go przy życiu, bo to było dla niego najważniejsze.

Po tym jak trafił do obozu, jego dawni koledzy szkolni czy organizacyjni myśleli, że nie przeżył. O tym, że jednak żyje dowiadywali się po latach.



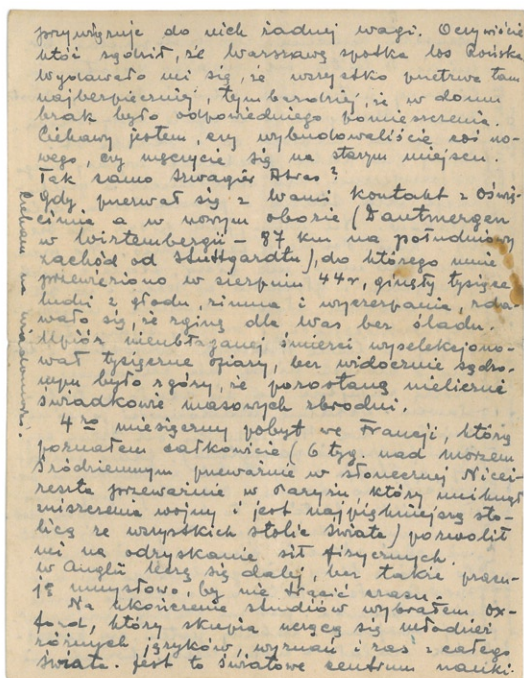
Fragment artykułu z anglojęzycznego tygodnika polonijnego „Post Eagle”.

dowany. Więźniowie podczas pieszej ewakuacji (tzw. marszu śmierci) zostali wyzwoleni 22 kwietnia 1945 r. przez Francuzów. Zaprawa-Ostromięcki w jednym z listów napisał, że podczas marszu „wymknął się grabarzowi spod łopaty”. Wynikałoby z tego, iż udało mu się uciec, zanim więźniowie zostali uwolnieni przez francuskich żołnierzy. Resztę wojny spędził we Francji, był głównie w Nicei, ale i w Paryżu. Jak pisał o nim Gierał[...] *nie godząc się z narzuconym systemem komunistycznym i okupacją wojskowo-polityczną kraju przez Rosję sowiecką, nie powrócił do kraju, lecz zdecydował się na pozostanie za granicą*. Podczas wojny stra-

Cichociemny, jeden z pierwszych skoczków na terytorium okupowanej Polski Czesław Raczkowski, o rok młodszy kolega Zaprawy z gimnazjum w Krasnymstawie, był przekonany, że nie przeżył tortur gestapowskich. Dopiero w Anglii dowiedział się, że jednak przetrwał, a osobiście spotkali się po 30 latach. Podobnie Bolesław Flisiuk był przekonany, że Zaprawa nie przeżył obozu, kontakt nawiązali również późno, bo po 27 latach, a stało się to za pośrednictwem Ireny Antoszewskiej.

Z Francji, po ok. 4 miesiącach od odzyskania wolności trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie przez pewien czas mieszkał w Callander w Szkocji,

a następnie w Anglii. Nie tylko leczył się, ale także, aby nie tracić czasu, podjął studia. Myślał o tym już wcześniej, we Francji, gdzie uczył się francuskiego, planując studia w Paryżu czy w Belgii - w Brukseli lub Antwerpii. Dobrze opanował angielski, więc rozpoczął i ukończył w 1946 r. studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Oxfordzie. Następnie w 1948 r. ukończył również psychologię, przeniósł się do obozu oficerskiego, gdzie dalej kontynuował pracę naukową. Stał się o stanowisko wykładowcy na uniwersytecie, ale sprawa ciągnęła się długo, głównie dlatego, że był obcokrajowcem. Brał czynny udział w pracach społecznych niepodległościowego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Jako aktywny działacz



Fragment listu Zaprawy-Ostromeckiego do matki,
London 21 VII 1946 r.

samopomocy żołnierskiej, sprawował w Londynie funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego Koła AK. Należał do Stowarzyszenia Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie. Był członkiem IV Rady Narodowej, czyli parlamentu Polaków na obczyźnie. W radzie pracował w Komisji Prawniczej i Informacji-Prasowej. W 1952 r. wypłynął z Anglii do USA statkiem Queen Elizabeth. Za oceanem równie mocno zaangażował się w życie społecz-

no-polityczne Polonii, wspierał też opozycję anty-komunistyczną w Polsce. Wierny przedwojennym ideałom, redagował nieregularnie wychodzący w latach 50. „Informator Stronnictwa Ludowego »Wolność« w Stanach Zjednoczonych”. Był członkiem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. W 1972 r. uzyskał doktorat na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie w Londynie (The Polish University Abroad).

Ożenił się z Kazimierą - Amerykanką polskiego pochodzenia, miał dwoje dzieci, na stałe osiadł w Roselle w stanie New Jersey. Do Polski, dla której tyle poświęcił, nie przyjechał, chociaż o tym wciąż myślał. Planował przybyć do ojczyzny jako prezes Polskiego Klubu Uniwersyteckiego na obchody jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego, jednak musiał z tego zrezygnować i w zastępstwie przyjechał ktoś inny. Po 1989 r. z kolei stan zdrowia mu na to nie pozwalał. Interesował się tym, co dzieje się w kraju i rodzinnym Rońsku oraz Krasnymstawie. Pytał w listach brata Józefa, co słychać u szkolnych lub organizacyjnych kolegów. Interesował się, co robią i gdzie przebywają: Litwin, Kutrzepa, Chwała, ks. Witkowski, Tchórzewski, Hendigery, Kociuba i inni.

Za swą walkę był wielokrotnie odznaczany m.in.: Krzyżem Walecznych, Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta, Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta, a w 1999 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Jan Zaprawa-Ostromecki zmarł 25 listopada 2005 r., spoczywa na cmentarzu Polonii w Doylestown.

Artur Borzęcki

Źródła i literatura w wyborze:

1. Listy do rodziny Jana Zaprawy-Ostromeckiego - udostępnione autorowi.
2. *Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939-1944*, praca zb. pod red. Z. Mańkowskiego, Lublin 1988.
3. P. Kardela, *Jan Zaprawa-Ostromecki „Nieprzejednany” rodem z Krasnegostawu*, „Ziemia Krasnostawska” 1997, nr 2, ss. 9-10.
4. J. Kwiatkowski, *485 dni na Majdanku*, Lublin 1988.
5. *Who's Who in Polish America 1st Edition 1996-1997*, opr. B. Wierzbianski, Nowy Jork 1996.

Zbigniew Łupina

Żołnierz niezłomny - Andrzej Stachyra „Saturnin”



Wiosna 50 roku. Orka. Dziesięcioletniemu Adolkowi Stachyrze „ładnie” się orze ojcowiznę. Nagle koń się narowi, wyrwijąc chłopcu lejce, a pług rykoszetem po uderzeniu w miedzę, oderwany jednym skokiem od ziemi uderza w pęczyny galopującego konia, kalecząc je dotkliwie. Ponad 70-letni Adolek powie: *...mama sama się męczyła z dziećmi, ja miałem 10 lat to już końmi orałem i skaleczyłem konia nawet, że konia dobili... oraz ...za siedem lat robiłem już wszystko, bo ojca nie było.*

Ojciec Adolka - Andrzej Stachyra od kilku miesięcy przebywał w więzieniu na Zamku Lubelskim, zatrzymany 7 lipca 1949 roku, a cztery dni później tymczasowo aresztowany pod zarzutem antykomunistycznej konspiracji. Ponad pięć lat spędził w komunistycznym więzieniu bez wyroku. W zbiorach archiwalnych lubelskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej zachowała się obszerna dokumentacja w postaci akt spraw prowadzonych przez komunistyczne organa bezpieczeństwa i sądy a dotycząca Andrzeja Stachyry. Wyłania się z niej nieprawdopodobnie kryształowy obraz człowieka, który w obliczu czekającego go procesu politycznego mogącego zakończyć się ogłoszeniem wyroku śmierci, tortur fizycznych i psychicznych zachowywał godność, honor, a przy tym trzeźwość myślenia w stopniu właściwym jedynie największym bohaterom naszej historii.

Urodził się 21 marca 1911 roku w Żabnie, wsi na południowym skraju ówczesnego powiatu krasnostawskiego, z ojca Józefa i matki Katarzyny z Biziorków. Jego rodzice gospodarzyli na 8-hektarowym zagonie, co wówczas na tym terenie stanowiło o względnej zamożności. Rodzice przyłożyli się w staraniach o edukację dzieci. Ukończył cztery oddziały szkoły powszechnej, a następnie szkołę rolniczą w Krasnymstawie. Jego starszy o cztery lata brat Paweł w 1938 roku ukończył Wydział Prawny KUL w Lublinie.

Andrzej Stachyra służył wojskową od był w 2. Pułku Artylerii w Dubnie jako sanitariusz

weterynarii. Później ożenek, dzieci, sołtysowanie w Żabnie na początku okupacji. W 1942 roku został przez swego brata Pawła „wciągnięty” do konspiracji niepodległościowej. Funkcjonował w jej strukturach do zakończenia wojny. Spektakularnym zdarzeniem z tego okresu była akcja odbijania aresztowanego przez Niemców jego brata Pawła umieszczonego w areszcie w Żółkiewce wiosną 1944 roku, w której udział brał również Andrzej Stachyra. Konspiratorzy z Turobina i Żółkiewki, w liczbie około 100 osób, z powodzeniem przeprowadzili operację, uwalniając osadzonego.

Dla zdecydowanej większości Polaków, w tym i dla niego koniec wojny nie był równoznaczny z wyzwoleniem. Sowiecki blackout był dla postaci takich jak Andrzej Stachyra równoznaczny z drugą okupacją. Aresztowania, wywózki, tortury żołnierzy podziemia niepodległościowego z czasów okupacji niemieckiej były codziennością polityki nowego okupanta.

Dewizą takich ludzi jak nasz bohater były słowa Michała Bobrzyńskiego, ps. „Sęp” - jednego z Żołnierzy Wyklętych, który pisał: *Zostaliśmy sprzedani przez Zachód. Jeżeli nie dojdzie do konfliktu ze Wschodem, nie mamy żadnych szans. Walec komunistyczny nas rozgniecie. Ale ponieważ nikt nie wie, co będzie, trzeba się bić¹.*

Stan rzeczy był jednak taki, że na konferencjach w Teheranie i Jaltie zostało postanowione, iż Polska znajdzie się w sowieckiej strefie wpływów. Innymi słowy Zachód decyzjami głównego rozgrywającego z tej strony - prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta „przehandlował” Europę Wschodnią, a w tym i Polskę, oddając ją Stalinowi w zamian za udział Sowietów w tworzeniu organizacji wszechświatowej, jaką miała być ONZ. Jednakże w niektórych kręgach byłych żołnierzy AK i NSZ obecne było przeświadczenie o nieuchronności konfliktu pomiędzy Związkiem Sowieckim a zachodnimi członkami byłej koalicji antyhitlerowskiej. To założenie, jak się później okazało z gruntu fałszywe, było w znaczącej mierze *spiritus movens* wszelkiego oporu przeciwko polityce nowego okupanta na ziemiach polskich. Największą inicjatywą w tym kierunku było utworzenie organizacji zwanej skrótowo WiN (Wolność i Niezawisłość), której

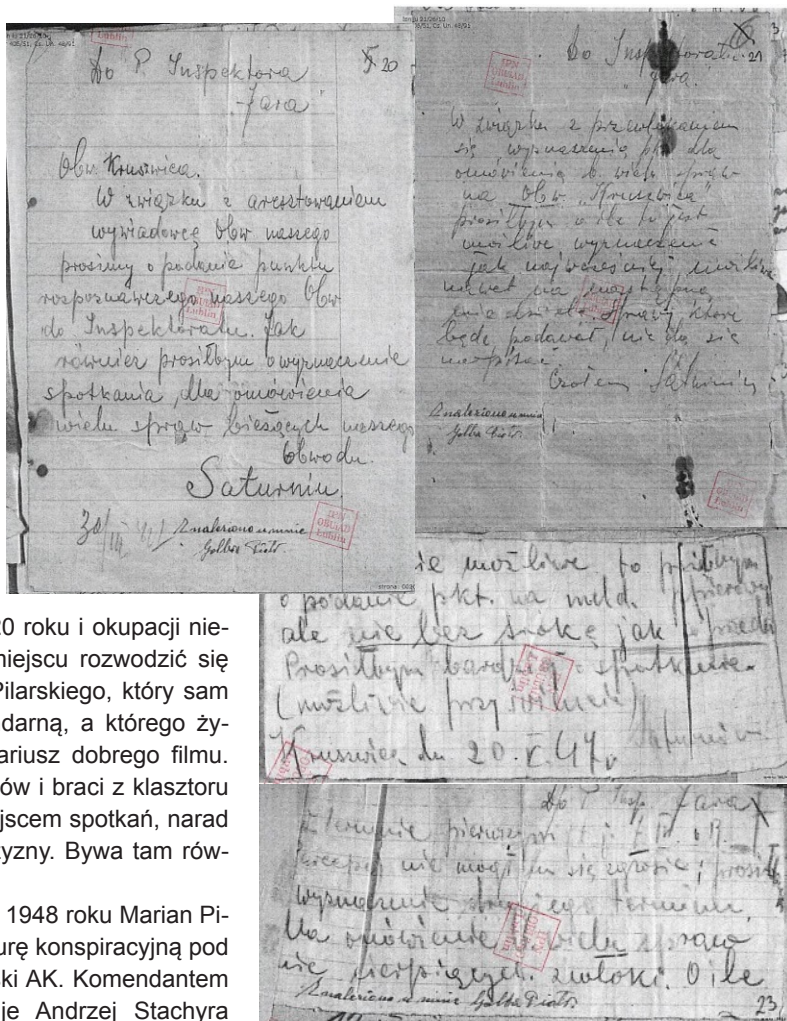
¹ S. Nowak, *Oddziały Wyklętych*, Wyd. Fronda, s. 21.

ogólnym celem było polityczne uniezależnienie się od Sowietów.

Andrzej Stachyra utrzymywał kontakt z grupami pozostałych w lesie żołnierzy podziemia. Nawiązuje między innymi kontakt z oddziałem leśnym WiN Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, dostarczając broń dla znajdujących się już wtedy w trudnej sytuacji tego jednego z największych Niezłomnych.

Na terenie Zamojszczyzny struktury konspiracji WiN-u tworzy Marian Pilarski - oficer AK zaprawiony w bojach żołnierz 1920 roku i okupacji niemieckiej. Nie pora w tym miejscu rozwódzić się nad działalnością Mariana Pilarskiego, który sam w sobie jest postacią legendarną, a którego życiorys może stanowić scenariusz dobrego filmu. Korzysta on ze wsparcia ojców i braci z klasztoru w Radecznicy, który jest miejscem spotkań, narad dowódców WiN z Lubelszczyzny. Bywa tam również Andrzej Stachyra.

Właśnie tam, jesienią 1948 roku Marian Pilarski, ps. „Jar” tworzy strukturę konspiracyjną pod nazwą II Inspektorat Zamojski AK. Komendantem Obwodu Krasnostaw zostaje Andrzej Stachyra „Saturnin” i od tego czasu podlegają mu wszystkie oddziały zbrojne funkcjonujące jeszcze na terenie tego powiatu. Tworzy siatkę konspiracyjną. Zgodnie z planem działania Inspektoratu, podejmuje działania wywiadowcze nakierowane na pozyskanie informacji o agentach z UB, MO, oficerach WP, jak również funkcjonariuszach NKWD, organizuje akcję informacyjną dotyczącą szkodliwości narzuconego ustroju, organizuje i wspiera opór przeciwko kolektywizacji. Oczywiście w strukturach II Inspektoratu zostaje zainstalowana struktura zajmująca się fizycznym oddziaływaniem na funkcjonariuszy UB, MO, ORMO, PPR z wykonywaniem egzekucji na osobach szczególnie oddanych sprawie walki z podziemiem niepodległościowym oraz instalowaniem reżimu.



Meldunki Andrzeja Stachyry do komendanta Inspektoratu Mariana Pilarskiego „Jar” zakwestionowane przez UB w czasie przeszukania pomieszczeń klasztoru w Radecznicy.

Znawcy tematu uważają, że Inspektorat ukształtowany i powołany do życia przez Mariana Pilarskiego w sensie organizacyjnym, liczebności, zasięgu i głębi działania jest najbardziej znaczącym podmiotem konspiracji polskiej po 1947 roku.

W 1949 roku następują aresztowania osób mających bezpośredni kontakt z komendantem Andrzejem Stachyrą na terenie Obwodu Krasnostaw. Niektóre z nich nie wytrzymują tortur i dekonspirują Andrzeja Stachyrę, który zostaje osadzony na Zamku Lubelskim. W czasie jego pobytu w areszcie, funkcjonariusze UB pozyskują od osób mających kontakty konspiracyjne z Andrzejem Sta-

chyra dodatkowe informacje o jego usytuowaniu w II Inspektoracie. Następują również aresztowania wszystkich komendantów. Sam Marian Pilarski zostaje aresztowany 12 kwietnia 1950 roku, a następnie skazany na karę śmierci i stracony.

Pobył Andrzeja Stachyry w więzieniu bezpieki na Zamku Lubelskim to czas jego z jednej strony wyjątkowo niezłomnej, a z drugiej bardzo mądrej postawy. Niewątpliwie był to dla niego czas wielkiej próby. Lektura protokołów przesłuchań „Saturnina” to prawdziwe studium racjonalnego zachowania się w sytuacji fizycznego i psychicznego terroru, jakiemu był poddawany. Oczywiście, podstawą przyjmowania jakiegokolwiek strategii był stan mobilności umysłowej w obliczu wymyślnych tortur. Tę właściwość, jako jeden z nielicznych zachował. Taktyka Andrzeja Stachyry polegała w pierwszych „badaniach” na szczerości w zakresie swego życiorysu przedwojennego i okupacyjnego oraz przemilczaniu lub operowaniu pseudonimami przy zeznaniach na okoliczność powojennych kontaktów. Treść protokołów przesłuchań Andrzeja Stachyry pozwala na stwierdzenie, że w śledztwie stosował bardzo logiczną taktykę wyjaśnień polegającą na podawaniu szeregu informacji dla prowadzonego śledztwa nieistotnych, a sprawiających wrażenie szczerości jego wypowiedzi.

Wobec ludzi z aparatu represji, prezentował postawę niezłomną i godną. Za przykład takiej niech posłuży casus następujący. Kiedy jego małżonka wraz z synem Adolkiem podała mu do więźniarki piernik, funkcjonariusz UB wyrzucił go na zewnątrz. Syn zapamiętał ciąg dalszy tak: *No i trzymał się tej więźniarki rękami, a ten (funkcjonariusz UB, przyp. mój)... wziął kawałek żelaza i po rękach bił, żeby puścić, no i musiał puścić. Jak puścił, ten chciał zamknąć drzwi, a ojciec napluł mu prosto w oczy.*

Stosowane wobec niego tortury oraz perspektywa kary śmierci były determinantami pojawienia się specyficznej choroby, która miała okazać się dla niego kluczem do wolności. Stwierdzono bowiem u Andrzeja Stachyry zespół Ganzera będący stanem chorobowym z pogranicza psychozy i symulacji, który pojawia się sytuacyjnie u osób znajdujących się w stanie znacznego i rozciągniętego w czasie zagrożenia. Jak podnosi dr Maria Hascewicz-Rzecka - biegła sądowa z za-



Wizerunek Andrzeja Stachyry na zdjęciach wykonanych w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie bezpośrednio po aresztowaniu.

kresu psychiatrii - w rozmowie z autorem, psychoza ta znika w momencie ustąpienia źródła jej zaistnienia, a więc w momencie ustąpienia elementów zagrożenia będącego wypadkową niepewności swego dalszego losu i braku możliwości autokreacji tychże (np. pojawia się w śledztwie, zanikając po ogłoszeniu wyroku).

Oficerowie UB, podejrzewając umyślne emitowanie choroby przez podejrzanego, nakazali funkcjonariuszom więziennym stałe monitorowanie zachowania Andrzeja Stachyry. Jeżeli zaś chodzi o metody oddziaływania fizycznego i psychicznego, to obok klasycznych ubeckich środków (bicie, permanentne przesłuchania, podłączanie do prądu, umieszczanie zimą w karczerze przy otwartym oknie) zastosowano polewanie „Saturnina” lodowatą wodą pod ciśnieniem, kierując strumień z czterech węży w czasie 30-stopniowego mrozu. Żaden z tych środków nie zdołał go złamać, tak by wyjawiał istotne fakty jego życia konspiracyjnego, w szczególności dotyczące tożsamości konspiratorów. Andrzej Stachyra nie mógł wiedzieć, że wiele osób z jego otoczenia konspiracyjnego pękło w śledztwie i przekazywało oficerom śledczym istotne informacje dotyczące ich samych, jak również i jego działalności w ramach Inspektoratu Zamocność.

Przez pewien czas przebywał w lepszych warunkach w szpitalach psychiatrycznych, poddany obserwacji. Pobył w tych jednostkach leczniczych uratował Pawła Stachyrę. Osobiście uważam, że pozostanie na zawsze tajemnicą czy zdiagnozowana końcowo przez lekarzy psy-

chiatrów choroba była następstwem rzeczywistych sytuacyjnych zaburzeń, nieprawdopodobnej mobilności symulacyjnej „Saturnina” połączonej z wiedzą na temat demonstrowanej przez niego jednostki chorobowej, czy też odwagi i przyzwoitości lekarzy psychiatrów.

„Saturnin” stanął przed sądem. Został oskarżony o to, że *w okresie czasu od września 1944 roku do dnia zatrzymania, tj. 7 lipca 1949 r., działając na terenie pow. krasnostawskiego usiłował przemocą zmienić ustrój państwa polskiego, biorąc udział w nielegalnej organizacji AK Inspektorat Zamojski, pełniąc w niej funkcję komendanta Obwodu Krasnostawskiego.*

6 listopada 1953 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie, po stwierdzeniu przez lekarza psychiatrę z Państwowego Instytutu Psychoneurologicznego w Pruszkowie, iż *Andrzej Stachyra nie powinien przebywać w warunkach więziennych, które wywołały stan reaktywny, lecz w warunkach domowych [...] nie jest niebezpieczny dla otoczenia*, postępowanie karne umorzył i uchylił trwające ponad 5 lat tymczasowe aresztowanie. Andrzej Stachyra „Saturnin” opuścił Zamek Lubelski 21 listopada 1953 roku o godzinie 16. Przez długie lata w reżimowym obiegu publicznym, żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, takich jak Andrzej Stachyra określano mianem bandytów.

Na poziomie słowa pisanego dotyczącego historii terenu gminy Turobin, wpisuje się w tę narrację przekaz spreparowany przez Stanisława Lisika - autora nieprawdziwej książki noszącej jednak prawdziwy tytuł - „Czerwone opłotki”. Autor we wrześniu 1939 roku zdradził ojczyznę, kolaborując z sowieckim okupantem, a po wojnie instalował na naszych ziemiach obcą agenturę. Otóż „praca” tegoż Stanisława Lisika zawierająca skrajnie wypaczony obraz mikrohistorii, zawiera taki oto oszczerczy komentarz: *Ci trzech ludzie, Paweł Stachyra, jego brat Andrzej oraz Piotr Smagała mocno poderwali opinię wsi Żabno oraz Dopóki władza ludowa nie położyła w 1948 roku kresu wrogiej robocie trzech ludzi: Smagały oraz Pawła i Andrzeja Stachyrów, wieś Żabno żyła w atmosferze terroru i niepewności jutra*². Trudno o właściwy komentarz,

wobec kłamstwa tak oczywistego artykułowanego w czasie, gdy brat Andrzeja Stachyry - Paweł przebywał w więzieniu, a „Saturnin” podupadał na zdrowiu odebrany mu w komunistycznym areszcie. Obaj nie dożyli czasów, by osobiście publicznie zadać kłam twierdzeniom tego renegata.

Sąd Wojewódzki w Lublinie postanowieniem z 8 czerwca 1993 roku zrehabilitował Andrzeja Stachyrę, uznając, że czynny, w związku z którymi był aresztowany, były działaniem na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego.

Kardynał Stefan Wyszyński w swych zapiskach więziennych pod datą 4 października 1956 roku zapisał: *Przyszłość należy do odważnych, którzy ufają i działają z mocą - mówi Pius XII - nie do bojaźliwych i niezdecydowanych....* Analizując swą misję w służbie Kościoła w czasie więziennego pobytu w Komańczy konkludował: *Omnia bene fecisti* (wszystko zrobiłeś dobrze). Andrzej Stachyra „wszystko zrobił dobrze”. Był człowiekiem mężnym, postacią spiżową, był osobą wybitną w kategorii, w której wybitnymi byli Witold Pilecki, Hieronim Dekutowski, Zygmunt Szendzielarz i wielu innych.

Niech jego sylwetka będzie paradygmatem dla następnych pokoleń jak godnie żyć w ekstremalnych warunkach oraz punktem odniesienia w czasach, gdy młodzież poszukuje wzorców osobowych w przeszłości, nie znajdując ich w autopsji.

Zbigniew Łupina

*[...] Polak, co nie chciał zostać Kainem,
Że chciał być wiernym ojczyzny synem,
Chciał jej wolności w słońcu i chwale,
A że śmiał mówić o tym zuchwale,*

*Że nie chciał, by go więziono, bito,
Był reakcyjnym polskim bandytą. [...]
O Boże! Chciałbym zapytać Ciebie,
Jakich Polaków najwięcej w niebie? [...]*

*Płaszczem mej chwały, blaskiem okryci
Są tutaj wszyscy polscy bandyci.*

Fragment wiersza z podziemnego pisemka satyrycznego „Szydło” nr 1, z 20 września 1946 r., wydawanego przez Obwód Łomża WiN.

² S. Lisik, *Czerwone opłotki*, Wyd. Książka i Wiedza 1971, ss. 214-215.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Księgi urodzonych i małżeństw
parafii św. Franciszka Ksawerego
w Krasnymstawie 1704-1809.
Materiały do dziejów miasta
w XVIII wieku



W liście z 1786 roku, dotyczącym sporu z bazylianami w Poczajowie, uznany snycerz lwowski Maciej Polejowski pisał, że wykonał dzieła będące *ozdobą kościołów, cerkwiów i pałaców. Nie wymieniam odległych miejsc, gdzie roboty ołtarzowe robiłem, jako to w kolegiacie sandomierskiej na cały kościół, w Opatowie, Krasnostawiu, Zasławiu, Stanisławowie, Nawary, Hodowicy, Niżnikowie, w Uniowie, w Krystynopolu, Włodawie, już z Poczajowa przyjechawszy*¹.

Ten oto zapis zmotywował mnie do przeanalizowania XVIII-wiecznych ksiąg metrykalnych parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, w nadziei na odnalezienie śladu bytności w mieście wymienionego rzeźbiarza, bądź jakiegokolwiek twórcy, o którym wiadomo, że pozostawił tu swoje dzieła. Wiadomo, że w ciągu XVIII stulecia ukończono wyposażanie znamienitego kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego. Majętni fundatorzy zadbali, by świątynię zdobiły dzieła krajowych twórców. Gdzie zostały wykonane owe obrazy, ołtarze, rzeźby? W czasie, kiedy powstawał krasnostawski kościół, lwowski rzeźbiarz Michał Filewicz otworzył i pomyślnie prowadził warsztat snycerski w Chełmie. Pewne lokalne warsztaty działały też w 2. połowie XVIII wieku w Zamościu oraz w Ordynacji Zamojskiej. Na przełomie XVII i XVIII wieku w Krasnymstawie przebywał wspomniany Jan Jerzy Delamars, w latach 1723-1727 pewne prace dla parafii św. Franciszka Ksawerego w tym mieście wykonywał rzeźbiarz-jezuita Dawid Heel².

Mając na uwadze przedstawione informacje, przeanalizowałam uwiecznione w metrykach ponad sto lat życia miasta.

Uznany badacz archiwaliów Adam Pośpiech, tego typu materiały porównał do miniatury biograficznych opowieści³. Dokumenty źródłowe są najszczerze w swej wymowie, pozabawione narosłych konwencji.

Powstał szkic Krasnegostawu i okolic przez pryzmat mieszkańców: kapłanów, notariuszy, akuszerów, kowali oraz tych biedniejszych ale - jak pisało - *uczciwie pracujących (laborius)* jak i żebraków. Tych, którzy się rodzili i zawierali związki. Zapisy w księgach parafialnych to nieoceniony materiał dla badaczy: socjologów, historyków Kościoła, regionalistów, a także dla genealogów oraz samych krasnostawian pragnących ustalić swoje korzenie rodzinne. Metryki czyta się jak dobrą powieść.

Parafia

Obecny kościół pw. św. Franciszka Ksawerego został wzniesiony w latach 1695-1717 jako świątynia zakonu jezuitów. Dwa lata po ukończeniu budowy powołano w mieście seminarium duchowne, a w 1720 roku zostało otwarte kolegium jezuickie. Zakonnicy przebywali tu do 1774 roku, kiedy zakon rozwiązano. W tym samym roku krasnostawska świątynia stała się na najbliższe 21 lat katedrą diecezji chełmskiej.

W 1721 r. parafia obejmowała miasto Krasnostaw z następującymi przedmieściami i miejscowościami: Zakręcie, Nowe Miasto, Zadworze, Góry, Zastawie, Rońsko, Latyczów, Zażółkiew, Białka, Niemienice, Góry, Małochwiej, Stężyca, Niedziałowice, Jaślików, Bzite, Krupe, Krupiec, Sienniczka Nadolna, Orłów Drewniany, Orłów Murowany, Kryniczki, Majdan Orłowski, Wólka Orłowska, Wał. W tym roku było 5404 katolików⁴.

lamars, [w:] *Studia nad sztuką renesansu i baroku*, T. IV, red. J. Lilejko, Lublin 2000, s. 105-108.

¹ List Macieja Polejowskiego opublikował E. Dutkiewicz, *Fabryka cerkwi Wniebowzięcia NMP w Poczajowie* (Dawna Sztuka T. II, 1939, ss. 160-162. por. też W. Tomkiewicz, *Rokoko*, Warszawa 1988, ss. 142-143.

² J. Paszenda, *Jan Delamars, nieznan artysta małopolski na przełomie XVII-XVIII w.*, Biuletyn Historii Sztuki, 1966, s. 255; por. tenże, *Lubelska rodzina De-*

³ A. Pośpiech w pracy *Paupka rzeczywistości. Pośmiertne spisy ruchomości szlachty wielkopolskiej z XVII wieku*. Studia i Materiały z Historii Kultury Materialnej T. LXIV, red. E. Balcerzak, Warszawa 1992.

⁴ Polska Akademii Umiejętności w Krakowie, Rkp. 2372/I ks. J. A. Wadowski, *Kościół diecezji chełmskiej* [1907], T. I, s. 25-27.

Administracja państwowa Krasnegostawu w XVIII wieku

Pozostający w XVIII wieku w ziemi chełmskiej Krasnystaw był stolicą grodu krasnostawskiego. Kiedy po pierwszym rozbiorze Polski Austria zajęła Ruś Czerwoną, ziemia chełmska straciła swoją przynależność do województwa ruskiego i była traktowana jako samodzielne terytorium. Po drugim rozbiorze, w 1793 roku, Krasnystaw włączono do województwa lubelskiego. W okresie powstania kościuszkowskiego Rosjanie spalili zamek starościński. Po trzecim rozbiorze miasto włączono do państwa Habsburgów. W 1809 roku został uwolniony spod okupacji austriackiej i przyłączony do Księstwa Warszawskiego. W latach siedemdziesiątych XVIII stulecia Krasnystaw zamieszkiwało około 2500 osób. Po pierwszym rozbiorze został miastem przygranicznym. Zmniejszyła się powierzchnia powiatu krasnostawskiego i diecezji chełmskiej, jako że część jego terytorium zajęła Austria.

Przysiółki

Metryki są doskonałym źródłem do poznania topografii miasta, bowiem precyzyjnie są tu określone i nazwane części miasta. Część z nich zachowała się do czasów obecnych, wyodrębniając się w dzielnice lub wioski. Są to: Grobla, Góry, Nowe Miasto, Piasek (Piaski), Przedmieście Krakowskie, Przedmieście Niemieckie, Śródmieście Krasnystaw, Zamek/ Wzgórze Krasnostawskie (*Castro Crasnostaviensis*), Zadworze, Zagrody, Zażółkiew.

Kapłani

Trudno ustalić ilu kapłanów pełniło posługę w krasnostawskiej parafii jednocześnie. Z racji, że była to duża i znacząca parafia, można zaproponować, że było to co najmniej kilku księży. Na przestrzeni stu lat sakramentów dokonywali następujący kapłani: Gabriel Biłgoszewski, Łukasz Błazucki, Walenty Konstanty Czulski, Paweł Drabiński, Paweł Stanisław Dziewałtowski, Jakub Graliński, Józef Grochowski, Józef Kurianowicz, Michał Leszczyński, Jan Antoni Mroczkowski, Jan Ochowicz, Jakub Okuniowski, Franciszek Wielo-

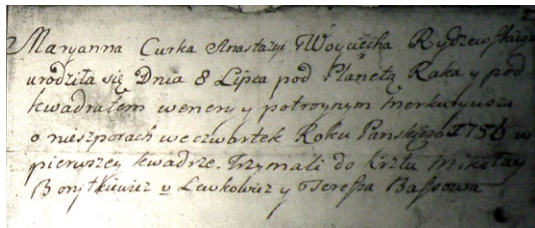
bycki, Jan Willer. Wiadomo, że w krasnostawskiej katedrze posługę pełnili także jezuici.

W 1777 roku sakramentów udzielał i metryki zapisywał augustianin Szymon Górski. W 1803 roku zapisy czynił augustianin Nicefor Radecki. Wymieniony jest też w metrykach psalterzysta katedry chełmskiej Antoni Jankowski.

Charakterystyka metryk

W XVIII wieku językiem urzędowym nadal pozostawała łacina. Kilkakrotnie zaledwie metryki zapisano w języku polskim. Unikatowy jest zapis chrztu z 1756 roku, sporządzony na oddzielnej, niewielkiej kartce, włączony do księgi metryk. Spisana w języku polskim metryka urodzenia i chrztu brzmi:

Maryanna Curka Anastazy y Woyciecha Rydzewskiego urodziła się Dnia 8 lipca pod Planetą Raką y pod kwadratem Wenery y potroynym merkurysza o nieszporach we czwartek Roku Pańskiego 1756 w pierwszej kwadrze. Trzymali do krztu Mikołaj Bonjtkiewicz v Lewkowicz y Teresa Bassowa.



Metryka urodzenia z 1756 roku, Księga urodzeń parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, 1751-1788.

Metryka dowodzi, że sporządzający zapis kapłan posiadał dużą wiedzę w dziedzinie astrologii.

Przyjęcie sakramentu rejestrowano według jednego schematu. Pośrodku zapisywano wielką czcionką rok i miesiąc. Na lewym marginesie zapisywano datę, a na prawym - miejscowość bądź przysiółek, w którym zamieszkiwała dana osoba. Pośrodku tekst właściwy. Odnotowano kilka metryk z nieuzupełnionymi polami dotyczącymi imienia i nazwiska rodziców lub rodziców chrzestnych. Wszystkie zostały spisane czarnym atramentem. Bywa, że charakter pisma kapłana sporządzającego zapis pozostawiał wiele do życzenia.

Małżeństwa

Obowiązek pańszczyzny powodował, że niemożliwością było dla włościan oddalenie się od miejsca pracy i swoich domostw. Ten prozaiczny powód przyczynił się zapewne do zawierania związków małżeńskich z parafianami z sąsiednich parafii, np. Piask, Niemienic, Białki, Rońska, Rejowca, Tarnogóry, Krupego, Uheru, Bzitego, Wojsławic, Żulina, rzadko z Zamościa czy Starego Zamościa. W metrykach odnotowano jedną osobę ze Lwowa oraz jedną z Rzeszowa, które zawarły związki małżeńskie z osobami z parafii w Krasnymstawie. Występują też parafianie z Biłgoraja. Wśród majątniejszych grup społecznych, powszechniejsze były związki małżeńskie z osobami z Lublina, np. w 1791 r. w krasnostawskiej katedrze w związek małżeński wstąpił z krasnostawianką Franciszek Reimbergier - notariusz z Lublina.

Status, zawody parafian

Wśród parafian parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie przeważali pracownicy (*famatos*), czyli najbiedniejsi - włościanie pracujący na pańszczyźnie. Rzadziej, w porównaniu z innymi, zbliżonymi wielkościami ośrodkami życia społecznego (np. Szczeczeszyn, Turobin, Zamość), notuje się rzemieślników: szewców, rzeźników, piekarzy. Wymieniane są akuszerki - kobiety, które przyjmowały porody, a następnie bywało, że informowały o narodzinach dziecka. Wśród mieszkańców Krasnegostawu spotyka się *pauper* - czyli ubogich, biedotę. Należy jednak zwrócić uwagę, że wymienienie zawodu w metryce należało do gestii sporządzającego akt i - być może - w Krasnymstawie po prostu nie było takowej tradycji wśród zapisujących.

Po przeanalizowaniu ponad 100 lat, nakreślonego w metrykach parafii rzymskokatolickiej tego miasta, można wysnuć pewne wnioski.

Co najmniej od początku XVIII wieku w mieście mieszkało kilka zamożniejszych, lepiej sytuowanych rodzin. Ich status majątkowy, pozycja społeczna „przechodziły” na kolejne pokolenia, również piastujące wysokie stanowiska. Są to stanowiska podstolich, mieczników, przedstawicieli sądownictwa. Pod koniec XVIII wieku są wymienieni właściciele propinacji, składów tabacznym oraz pracownicy poczty.

Co najmniej od początku XVIII wieku w Krasnymstawie mieszkali majątniejsze rodziny: Szulc, Wenton, Bay, Sztelmaszewiczów, Tabiszewskich czy Hussów. W połowie XVIII wieku często występują lżycy. Zauważalne, że jeden z mężczyzn w rodzinie był wybierany do stanu kapłańskiego i pełnił posługę w parafii w Krasnymstawie. W 1789 roku wikarym w krasnostawskiej katedrze był Franciszek Tabiszewski. Pochodząca z tego rodu Tabiszewska została wydana za mąż za lubelskiego kancelarystę Limkiewiczza.

W połowie XVIII wieku w Krasnymstawie funkcję adwokata/pracującego w sądownictwie pełnił Józef Grabowski. Pod koniec XVIII wieku w krasnostawskim sądownictwie pracowali: Antoni Bielawski, Walenty Sawicki, Marcin Styczyński, Adam Styczyński, Ignacy Budzyński, Lewicki. Konsulami w Krasnymstawie byli: Jan Sakowski, Michał Ciewierski, Kazimierz Orłowski, Stanisław Orłowski, Adam Styczyński, Tokarski, Jan Sokolski.

Wysokimi urzędnikami pod koniec XVIII wieku byli w Krasnymstawie: Stefan Masło, Łukasz Bazakiewicz, Jan Huss zarządzający całym miastem.

Pod koniec XVIII wieku jest wymieniany pracujący w krasnostawskiej poczcie Stefan Izbicke, sekretarzem tej poczty w 1781 roku był Jan Tabiszewski. W Piaskach poczmajstrem na początku XIX wieku był Wojciech Wroński.

W przemyśle propinacyjnym pracowali: Szańscy, piwowarem był Florian Śmiełkowski. Spore korzyści przynosiła branża tabaczna. Rewizorami tabacznymi w Krasnymstawie byli Jan Łukowski, potem Wilhelm Hidler, a następnie Jakub Kayser.

Na początku XIX wieku na Zastawiu mieszkał piekarz Jacek Adamowicz, kowalem był Kazimierz Łukaszowicz, a szewcem Kostrzanowski.

Dostrzega się jednak, że w Krasnymstawie występuje największe zróżnicowanie społeczne, wynikające z funkcji, jakie spełniał. Na terenie parafii mieszkali właściciele majątków ziemskich. Świadkami zawieranych przez nich sakramentów były osobistości Rzeczypospolitej, sprawujące funkcję podstolich, podczaszych, komorników. Na okoliczność chrztów i zawierania małżeństw, o odprawianie uroczystej mszy świętej proszono sprawujących wyższe stanowiska kapłańskie w diecezji.

Podobnie jak bardziej majątni z terenu miasta, są wymieniani jako *spectabilis*, *famatos*, *no-*

bilis, generos, (szlachetnie urodzeni, szlachetni, czcigodni), a także *magnificus*. Pod koniec XVIII wieku i na początku kolejnego stulecia w Krasnymstawie osiedli żołnierze, wymienieni w metrykach jako *militia*. Zamieszkiwali zazwyczaj na Zastawiu, Zakręciu i Nowym Mieście. Sporo żołnierzy zamieszkało i założyło rodziny w Wólce Orłowskiej. Ich nazwiska sugerują na pochodzenie z krajów niemieckojęzycznych. W Krasnymstawie założyli rodziny i zasymilowali się z mieszkańcami. Dla przykładu, rodzina Andreasa i Rosiny z Kayslerinów Herbstów pozostawała w bliższej znajomości z Hillami. Mieszkający na Zastawiu Szwachylrowie pozostawali w bliższej zażyłości z Fedorowiczami.

W 1793 roku sakrament małżeństwa zawarli w krasnostawskiej katedrze David Vêgh żołnierz z Klarą Ramiggi. Świadkiem sakramentu był Jan Szütz. W 1803 roku w Krasnymstawie i na terenie parafii Krasnystaw mieszkali żołnierze, a być może Niemcy nasiedleńcy o nazwiskach: Kaufman, Szuman, Hochstederin, Kayzer, Schreder, de Richlerin, Dubois, de Lanz, de Hondryk, Taubin, Tomstell. W 1804 roku są odnotowywani w metrykach żołnierze: Libouton, Szweyzer, Bahr, Werdth, Praysler, Ring. Część z nich, chociaż wymieniona w metrykach, została określona jako *acatholic*. Chodzi tu zapewne o wyznanie kalwińskie. W pierwszym pokoleniu nadawali oni urodzonym tutaj dzieciom imiona z krajów niemieckojęzycznych: Godfryd, Kunegunda.

Pod koniec XVIII wieku w Krasnymstawie osiedli żołnierze gwardii narodowej. Należeli do nich m.in. Andrzej Żukowski i Gabriel Kutnowski. Wymieniony jest też pułkownik Wojska Polskiego Zachariasz Wierzański.

Imiona

Z chrztem w ubiegłych stuleciach absolutnie nie zwlekano. Panowało przekonanie, że dziecko szybciej ochrzczone będzie zdrowsze, mniej podatne na pokusy złego.

Na rodziców chrzestnych wybierano osoby zaufane - sąsiadów lub najbliższą rodzinę. Bogatsi dobierali chrzestnych swym dzieciom, tak by wybór przyniósł pewne korzyści w dorosłym życiu. Majętniejsi chrzcili dzieci w asyście dodatkowej, drugiej pary rodziców chrzestnych.

Dziewczynkom i chłopcom nadawano imiona świętych Kościoła rzymskokatolickiego lub apostołów. Powszechne były imiona świętych patronów Polski, najpopularniejsze: Wojciech, Stanisław, a żeńskie Anna, Barbara, Maria, Ewa. Bywało, że chłopcy otrzymywali imię św. Franciszka Ksawerego - patrona krasnostawskiej parafii, w której otrzymywali sakrament chrztu. Echem monitowania bieżących wydarzeń Kościoła powszechnego są chrzciny chłopców Janów Nepomucenów w latach 30., a następnie częstsze w latach 40. XVIII wieku. Wybór rzadkiego, jak na owe czasy imienia wynikał z popularności tego męczennika na początku XVIII stulecia, wyniesionego na ołtarze w 1929 roku. Wyrazem religijności czasów są odnotowane kilkakrotnie imiona: Franciszek Salezy, Jan z Dukli, Fabian, Kajetan, Jan Chryzostom, Bonawentura, Stanisław Kostka. Na upowszechnienie imion świętych zakonników: Franciszka Salezego (jezuity), Jana z Dukli (bernardyn), Kajetana (trynitarz), Bonawentura (franciszkanin) oraz zakonnic: Brygida (franciszkanica), Klara (klaryska), Scholastyka (benedyktynka) mogli mieć wpływ światli kapłani, nauczyciele w krasnostawskim kolegium jezuickim i seminarium duchownym. Odnotowano ponadto rzadkie imiona żeńskie Vilgefotis (legendarna postać uznana przez ludową tradycję za świętą, kobietą, która została ukrzyżowana) i Honorata.

W metryce z początku XIX wieku widnieje zapis chrztu chłopca, któremu nadano bardzo rzadkie imię biblijne - Deodat. Notuje się Jana Gwalberta (imię pochodzenia niemieckiego, święty Kościoła rzymskokatolickiego, żył w XI wieku). Nie wiadomo w jakim stopniu rodzice ulegali sugestiom kapłana przy doborze imienia. Kilkakrotnie wystąpiło nadanie chłopcu chrzczonemu w ciągu stycznia imiona Kacper - Melchior - Baltazar.

Wyrazem patriotyzmu mogło być natomiast nazwanie syna imieniem Józef Napoleon. Zamieszkali w Zadworzu rodzice nazwali tak swojego syna, chrzczonego w maju 1809 roku, czyli okresie, gdy wojska dowódcy odnosiły sukcesy. W tym samym miesiącu ochrzczono Ignacego Napoleona. W roku 1809 wojska polskie pod dowództwem generała Józefa Poniatowskiego zdobyły pobliski Zamość. W wyniku tych działań powstało wspierane przez Napoleona Księstwo Warszawskie - załączek niepodległej Polski.

Grekokatolicy powszechnie nadawali dziewczynom imiona Prakseda, chłopcom - Wasyl.

Nazwiska

Dostrzega się w ciągu stu lat ciągłość nazwisk, co wskazuje, że kolejne pokolenia nieprzerwanie zamieszkiwały tę samą parafię. Są to m.in. nazwiska: Żelazny, Marucha, Ziemba, Choma, Fedorowicz, Dobosz, Smorcha, Nizioł, Cimek, Sebastyańczuk. Pochodzenie części z nazwisk wyjaśnia ich brzmienie. Sugeruje, że powstało od przezwiska, cechy fizjologicznej, czynności danej osoby. I tak mamy nazwiska:

Od wyglądu/cech fizjologicznych: Berbecka (berbec - dziecko), Bosakiewicz, Bosy, Chlustek, Chłopek, Czworthóg, Deptus, Długonożyna, Drygacz, Gębicz, Głuchowski, Karahuda, Karakuda, Knap (od knapów - zębów), Kulawiaczka, Kusa, Nosal, Obrempalska, Pypa, Pypciuk, Piętak, Piętał, Poklepina, Wysoczański.

Od zawodów: Gizewicz, Gumieny, Kapeluszy, Kowal, Kucharz, Kurdybański (kurdyban - skóra kozła lub jagnięca, wyprawiona, zdobiona malowanym, tłoczonym i niekiedy złożonym ornamentem), Maziarz, Masztalerz, Młynarz, Mołczan, Siedlarz, Stolarczyk, Pieczywek, Pieczywko, Stelmaszewicz, Stelmachiewicz, Tkaczyk, Zdunek.

Od miast, miejsc: Bychawa, Krzeszowski, Radomski, Rudniccy, Skierbiesz, Skierbieszka, Świdnicka.

Od imion: Aztecki, Furgala (od niemieckiego Frydrych), Grzesiacki, Radkiewicz.

Od czynności: Chlustek, Dymnik, Kańczuga (kańczug - skórzany bicz z krótką rękojeścią), Kociubka (kociuba - pogrzebac do opróżniania pieca chlebowego z węgla), Kołaczkowski (od wypieku kołacza - ciasta weselnego nazwanego od kolistego kształtu), Kondziel (od pęku włókien umieszczonego na kołowrotku), Parzymięs, Piróg, Polewany, Siewacz, Tokarski, Tracichleb, Winiaz, Wlazak, Zaprawa.

Od wydarzeń z otoczenia osoby, z kręgu gospodarstwa: Dymnik, Gnoiowska, Kłosiński, Piecek, Pogorzelska, Pożogowicz, Sadowszczanka, Zagrodzki.

Od rzeczy: Duszeńko (od duszy), Głabek, Kapeluszy, Kisiel, Kostkiewicz, Krzyżmowski,

Mąka, Piecek, Pirożka, Rosolek, Szczotka.

Od cech charakteru: Darmochwał, Diabełko(?), Gorący, Hałady, Krzykowski, Mataczyński, Pomagier, Szalay, Szeremeta (od nieuprzejmy), Szczyry, Sokołek, Szumowski, Wesołowski, Wielebycki, Wlizio, Zdybel (od zdybać, przylapać na złym uczynku).

Od przypadłości: Cieczka, Chychołek, Hichoł, Huk, Kostkiewicz, Kurzawka, Kwas, Mni-chówna, Siczek, Skrytka, Wyróstek, Zwielobycki.

Być może herbowe: Bereza, Pomian, Świeboda, Trzos.

Są też nazwiska: Błazucki, Bonczuga, Deyneka, Kazanowski, Kierszniewski, Laurysiewicz, Norzyński, Prus, Słotwiński, Trux.

Nazwiska sugerujące niemieckojęzyczne pochodzenie: Amerzbach, Fridrich, Szuman, Szulc, Szwajcar.

Lub inny kraj: Ricardetti.

Znamienne, że na terenie parafii Krasnystaw, której siedzibę - Krasnystaw - w pewnym stopniu generuje przepływająca przez miasto rzeka Wieprz odnotowuje się sporo nazwisk sugerujących pochodzenie od... ryb i różnych płazów wodnych: Kiełbicki (od kiełba - ryby z rodziny karpiowatych), Szczupaczek, Szczupak, Kijanka. Jest też grupa nazwisk sugerująca upowszechnienie upraw roślin: Chmielecki, Chmielowski, Gryciak (od gryki), Konopka.

Odnawiano nazwiska pochodzące od nazw zwierząt: Wiewiórek, Przepiórczanka, Wilczek, Kur, Ziemba, Chomik, Zając, Supełek. Mieszkały tu rodziny Niedziela i Poniedziałek. Z podkrasnostawskich Niedzielszczaków pochodziła żona snycerza Michała Wurtzera młodszego, zatrudnionego w warsztacie Karola Burzyńskiego. Ślub Michała, którego nazwisko zapisano Wurtcer, syna Michała i Marianny ze Lwowa z Marią Niedzielszczakówną, parafianką zamieszkałą w Zamościu, córką Antoniego i Katarzyny z *Crasnostawia* odbył się w zamojskiej kolegiacie 22 października 1778 roku.

Wschodni rodowód sugerują nazwiska: Weremko, Dmitriuk, Semeniuk, Ochimowicz, Misiurka, Misiura.

W księgach metrykalnych parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie notowani są: Potoccy, Stamirowscy z Żółkiewki, Suchodolscy, Jaślikowscy - właściciele Jaślikowa, Bobrowscy

z Bobrowa, Borzęccy. W 1772 roku przebywał w Krasnymstawie wymieniony w metryce z Józefą Dubińską Antoni Poniatowski. Sakramenty tych osób asystowali wyżsi dostojnicy kościelni. Dla przykładu, sakramentu ślubu jednego ze Stamirowskich udzielał w krasnostawskiej katedrze Melchior Jan Kochnowski, biskup chełmski pomocniczy, rektor Akademii Zamojskiej.

Mając wiedzę na temat występowania osób o danym nazwisku w Krasnymstawie i okolicy w XVIII wieku, można nakreślić migrację ich potomków w kolejnych stuleciach. I tak np. w Zamościu mieszkaly bądź mieszkają obecnie rodziny, których korzenie sięgają zapewne terenów parafii Krasnostaw. Są to rodziny o nazwiskach: Dobosz, Furgała, Kisiel, Lenartowicz, Nizioł, Sidor, Szykuła, Szwarzar, Terlecki, Wnuk.

Odnawia się Tokarskich, którzy być może w ciągu XIX i XX wieku migrowali w okolice Biłgoraja. W Hrubieszowie i Lublinie mieszkają rodziny Semeników. W okolicach starego Zamościa mieszkają Łukaszcukowie. W okolicach Turobina i Krzeszowa nad Sanem zamieszkuje rodzina Błaszczaków. W Krasnobrodzie występuje znane też z Krasnegostawu nazwisko Zdybel. Podobnie jak w Krasnymstawie, w Łaszcówce mieszkali ród o nazwisku Szyszka (obecnie też osoby o tym nazwisku mieszkają w Zamościu). W XVIII stuleciu w Zamościu notowano malarza Józefa Gadomskiego. Wiadomo, że rodzina o tym nazwisku mieszkała w tym wieku na krasnostawskim Zastawiu. W Świdniku i Lublinie mieszkają osoby o nazwisku Charmant.

Spod Krasnegostawu wywodzą się zapewne przodkowie bł. Zygmunta Pisarskiego, które to nazwisko funkcjonuje na tym terenie co najmniej od 1704 roku, oraz Stanisława Bojarczuka - fenomenalnego twórcy sonetów.

Nie spotyka się nigdzie indziej w regionie, typowego dla Krasnegostawu nazwiska Knap, pisanego też zamiennie Knapiek, Knapicek.

Odmiana nazwisk

W XVIII stuleciu powszechna była odmiana nazwisk. To samo nazwisko brzmiało inaczej, jeśli nosiła je panna, kobieta zamężna lub kobieta starsza wiekiem. Analogicznie z mężczyznami. I tak spotykamy Kucharzanki, Kucharzychy, Kucharzyków i po

prostu Kucharzy. Trudności nastroczała zapewne odmiana nazwisk dłuższych, ale to nie przeszkadzało, by rodzina Darmochwałów była zapisana następująco: Darmochwałka, Darmochwałicha, Darmochwał.

Wyznawcy innych religii

Zgodnie z obowiązującym w XVIII wieku prawem, metryki sporządzane przy parafiach rzymskokatolickich, pełniły też funkcje ksiąg stanu cywilnego. Dlatego zawierają zapisy o osobach innego wyznania. Najczęściej spoza Krasnegostawu pochodzą zapisy o grekokatolikach *ritus greci* - wiernych wyznania funkcjonującego do 1875 roku, podlegających - podobnie jak rzymskokatolicy - władzy papieża. Wyznania ewangelickiego byli zazwyczaj żołnierze zdecydowani osiąść na terenie parafii Krasnostaw (koniec XVIII wieku). Powszechne były też przechrzty Żydów opatrzone zapisem w metryce *ex judaismo*. Na przechrztę, powszechną także w XIX i bardzo rozpowszechnioną w XX stuleciu decydowały się zazwyczaj osoby dorosłe (z różnych powodów).

W przeanalizowanych księgach metrykalnych nie odnalazłam śladu obecności jakiegokolwiek artysty w XVIII wieku w tym mieście, co jednak nie oznacza, że takich twórców tu nie było. Mówiąc kolokwialnie, brak informacji bywa także informacją. A w tym przypadku wskazuje, że w mieście nie było w tym czasie warsztatu malarskiego czy też snycerskiego. Jeśli bowiem takowe by były - śladem po ich obecności byłyby zapisy o twórcach w metrykach, choćby w charakterze świadków. Brak informacji nie umniejsza jednak rangi zdobiących krasnostawską świątynię dzieł. Są to jednak prace powstałe w innych ośrodkach.

Metryki potwierdzają natomiast ważną funkcję Krasnegostawu w administracji kościelnej: spora liczba kapłanów udzielających w tym samym czasie sakramentów, różnorodność imion, szczególnie nacisk na imiona świętych Kościoła rzymskokatolickiego.

Osobliwością są nazwiska pochodzące od ryb. Miłym zaskoczeniem jest, że na łamach „Nestora” odnajduję te same nazwiska, które widnieją w metrykach Krasnegostawu sprzed 300 lat. Dowodzi to pewnej ciągłości pokoleń, przywiązania do miejsca.

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Kazimierz Stołecki

Powiat krasnostawski na łamach „Kurjera Warszawskiego” w latach 1897-1898



wód uszanowania dla jubilatów i wdzięczności za pomoc i radę, których w razie potrzeby niejednokrotnie od nich doznawali. Jubilatów pobłogosławił ks. Tarczyński, proboszcz z Turobina. Po uroczystości kościelnej jubilaci przyjmowali gości ze starodawną gościnnością.

Nr. 2. Dnia 2 stycznia.

Wtorek

Dnia 21 grudnia (2 stycznia) 1893/4 r.

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURIER WARSZAWSKI.

Wychodzi codziennie przy współpracownictwie najpierwszych sił literackich, w dni powszednie wieczorem, a w Niedziele i Święta rano.

1897, nr 11, 11 I. D. Now. wr. (nr. 7483) donosi, iż projektowana gubernja chełmska w obręb Królestwa ma się jakoby składać z następujących siedmiu powiatów: siedleckiego, białskiego i włodawskiego z gub. siedleckiej oraz chełmskiego, krasnostawskiego, hrubieszowskiego i tomaszowskiego z gub. lubelskiej.

1897, nr 22, 22 I. D. Echa z Krasnego Stawu. Korespondent nasz pisze pod d. 13-ym stycznia: „Składka na cel dobroczynny, zamiast wizyt noworocznych, przyniosła w naszym mieście rs, 26. Pokątni doradcy coraz większem cieszą się powodzeniem u chłopów. Jest to plaga, na którą należałoby zwrócić uwagę. W przyszłym tygodniu przyjeżdża tu sąd okręgowy lubelski do sądenia 10 spraw. Najważniejszą jest sprawa o rabunek, w której zawezwano 38 świadków. Kursują tutaj bilety loteryjne w języku hebrajskim”.

1897, nr 11, 11 I. D. Wedle ostatnich sprawozdań parafia ewangelicko-augsburska w Lublinie liczy 218 osób; w innych powiatach gub. lubelskiej mieszka następująca liczba osób tego wyznania: w pow. lubelskim 450, w pow. chełmskim 3,500, w lubartowskim 1,640, w nowo-aleksandryjskim 150, w janowskim 80, w krasnostawskim 15, w zamojskim 10, w biłgorajskim 6.

1897, nr 33, 02 II. D. 19-go stycznia w majątku Czernięcinie w pow. krasnostawskim pp. Ignacy i Franciszka z Lissowskich Baranieccy obchodzili jubileusz półwiekowego pożycia małżeńskiego. Na uroczystość do kościołka w Czernięcinie przybyła licznie rodzina jubilatów, wielu ziemian, oraz niemal wszyscy włościanie z tejże wsi, którzy obecnością swoją w kościele pragnęli złożyć do-

1897, nr 48, 17 II. W Krasnymstawie odrestaurowany zostanie w r.b. wikariat przy kościele miejscowym, kosztem 4,577 rs.

1897, nr 57, 26 II. Naczelnik okręgu lubelskiego pocztowo-telegraficznego donosi, iż Z rozporządzenia głównego zarządu od d. 27-go lutego przestaną kursować karetki pocztowe pasażerskie po obniżonej taksie na trakcie pocztowym od stacji kolei nadwiślańskiej Rejowiec do miasta Tomaszowa w gubernji Lubelskiej i w kierunku odwrotnym. Pragnący podróżować od Rejowca do Krasnegostawu, Zamościa i Tomaszowa, muszą odtąd opłacać całą należność, według taksy normalnej, t.j. po kop. za wiorstę i konia, i prócz tego po 10 kop. podatku skarbowego na każdej stacji pocztowej.

1897, nr 61, 02 III. Straż w Krasnymstawie. Straż ogniowa ochotnicza w Krasnymstawie istnieje od r. 1880, lecz rozporządza funduszami bardzo skromnymi, ponieważ, jak we wszystkich niemal miasteczkach, właściciele domów niechętnie płacą na utrzymanie straży. Obecnie dla straży wyjednano zasiłek z kasy miejskiej w nianie 75 rs. rocznie. Ministerjum spraw wewnętrznych pozwoliło już na wnoszenie tej sumy do budżetu m. Krasnegostawu, począwszy od r. b. Do pomocy straży ochotniczej w r. 1893 dodano utworzoną w tymże roku w Krasnymstawie straż miejską, złożoną z sześciu strażaków, a rozporządzającą czterema końmi. Do obowiązków straży miejskiej, której utrzymanie kosztuje 1.390 rs. rocznie, należy wywożenie śmieci i oczyszczanie ulic miasta, oraz wycieranie kominów, w razie pożaru dostarczanie wody i sika-wek dla straży ochotniczej.

1897, nr 68, 09 III. Leokadia 1-go ślubu Krzyżanowska, 2-go ślubu Hendigery, żona bu-downiczego m. Krasnostawu, opatrzona św. Sakramentami, zasnęła w Bogu dnia 8-go marca r.b., przeżywszy lat 45. Pozostali w głębokim smutku: mąż, córka i synowie zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na żałobne nabożeństwo, odbyć się mające w kościele WW. świętych na Grzybowie dnia 11 marca, to jest we czwartek, o godzinie 10 i pół zrana, oraz na wyprowadzanie zwłok tegoż dnia i z tegoż kościoła, o godzinie 3-ej po południu, na cmentarz powązkowski.

1897, nr 67, 10 III. Fundacja ś.p. hr. Kickiego. Testament. W testamencie własnoręcznym, otwartym i ogłoszonym przez prezesa sądu okręgowego warszawskiego w d. 19-ym lipca 1878 oraz w dodatku do tegoż testamentu, ogłoszonym 28 czerwca tegoż roku ś.p. Kajetan hr. Kicki zapisał Towarzystwu osad rolnych i przytułków rzemieślniczych cały swój majątek, przeznaczając go na fundację specjalną iw ręce komitetu Towarzystwa osad rolnych składając tytuł własności i zarząd sprawami fundacji. Majątek ś.p. hr. Kickiego składał się: 1) z dóbr ziemskich Orłów Murowany i Orłów Drewniany w gubernji lubelskiej, powiecie krasnostawskim położonych, 2) z dóbr Rzyczki w Galicji pod Rawą Ruską, 3) z dóbr Sobieszyn i Blizocin, położonych pierwszy w powiecie garwolińskim, drugi w pow. łukowskim gub. siedleckiej, 4) z kolonij wieczysto czynszowych Szamocin i Józefin w powiecie warszawskim, 5) z domu w Warszawie przy ulicy Królewskiej 33 i z domu na Pradze nr 180/61, 6) z kapitałów w papierach procentowych krajowych i galicyjskich. *(Fragment dużego artykułu, który można znaleźć na stronie internetowej Biblioteki Uniwersyteckiej, pod datą zapisaną w nagłówku).*

1897, nr 77, 18 III. Parcelacja. Majątek Borów ABCDEF w pow. krasnostawskim, należący do p. Władysławy Tabiszewskiej, sprzedany został trzem spółkom włościańskim przy pośrednictwie Banku włościańskiego. Majątek ten ma 494 morgów obszaru i przez Towarzystwo kredytowe ziemskie oceniony został na 31,830 rs. Resztę pożyczki tego Towarzystwa w sumie 14,367 rs. Bank włościański już spłacił.

1897, nr 84, 25 III. Wczoraj zmarł w mieście naszym sędziwy aktor scen prowincjonalnych,

ś.p. Antoni Krajewski. Urodzony w r. 1820-ym w Krasnymstawie, karierę artystyczną rozpoczął w trupie Chelchowskiego, zakończył u Ratajewicza, gdzie przez długi szereg lat grywał role bohaterskie. Był to jeden z wybitniejszych talentów na scenach prowincjonalnych.

1897, nr 93, 03 IV. Bruki i most w Krasnymstawie. D. 5-go kwietnia, w urzędzie powiatowym krasnostawskim, odbędzie się licytacja: 1) na wybrakowanie reszty ulicy Pawłowskiej od rs. 1,848 kop. 60; 2) na danie podłogi na moście taryfowym na rzece Wieprzu w Krasnymstawie od rs. 918 kop. 8 (wadja należy wnieść w stosunku 10%).

1897, nr 96, 06 IV. Zatwierdzeni zostali, jako sędziowie gminni z wyborów w gub. lubelskiej: Kornel Ligowski - I-go okręgu pow. lubelskiego; Gustaw Tosiński - II-go okręgu i Konstanty Łubkowski - III-go okręgu pow. lubartowskiego; Władysław Kulesza - II-go okręgu pow. krasnostawskiego; Henryk Niewiński - I-go okręgu pow. janowskiego.

1897, nr 100, 10 IV. Pożary. W gub. lubelskiej w ostatnich czasach zdarzyły się następujące większe pożary: w kolonji Krupe, w pow. krasnostawskim, spłonęły budynki Stanisława Parady, ubezpieczone na 400 rs.

1897, nr 110, 22 IV. Monopol w gub. lubelskiej. Po zaprowadzeniu monopolu wódczanego, sklepy do sprzedaży okowity urządzone będą w miejscowościach następujących: w pow. krasnostawskim: w Krasnostawie 2; po jednym: w Gorzkowic, Tarnogórze, Izbicy, Turobinie, Żółkiewce, we wsiach: Fajslawicach, Łopienniku, Częstoborowicach, Sobieskiej Woli, Starej Wsi, Siennicy Różańskiej, Kraśniczynie i Wysokiem.

1897, nr 116, 28 IV. Nadesłano nam wydany świeżo urzędowy „Pamiętnik gub. lubelskiej” na r.b. W d. 13 stycznia r. z, liczyły mieszkańców: Lublin 47.576, Lubartów 6.234, Łęczna 4.549, Nowoaleksandria 13.511, Janów 6.414, Kraśnik 5.974, Biłgoraj 8.740, Zamość 10.996, Szczecznyszyn 5.709, Krasnostaw 7.227, Chełm 12.570, Hrubieszów 12.224, Dubienka 6.255, Tomaszów 7.763. W gubernji w roku sprawozdawczym było: 98 lekarzy, 6 weterynarzy, 7 dentystów, 231 felczerów, 36 akuszerok i 53 apteki. Jeden lekarz wypadał na 12.039 mieszkańców, jeden felczer na 5.107, jedna akuszerka na 17.875, jedna apteka

na 22.260 mieszkańców. W gubernji istniało ogółem 1.580 zakładów fabryczno-przemysłowych. Zatrudniały one 7.428 robotników, produkcja ich przedstawiała wartość 10.551.615 rs. Najwięcej zakładów tych posiadał Lublin, gdyż 59, z produkcją 1.000.133 rs.; Chełm 10, z produkcją 160.894 rs.; Hrubieszów 29, z produkcją 47.530; Zamość 8, z produkcją 42.355 rs.; Lubartów 13, z produkcją 14.469 rs.; Krasnostaw 3, z produkcją 3.600 rs., Janów 6, z produkcją 1.080 rs. W ogóle w miastach było 129 zakładów, po wsiach 1.451, przy czem produkcja zakładów miejskich przedstawiała wartość 1.270.136 rs., wiejskich 9.281.479 rs. Pierwsze wśród zakładów przemysłowych miejsce zajmują: gorzelnie i cukrownie. Produkcja gorzelni w roku sprawozdawczym przedstawiała wartość do 3.111.875 rs., drugich 2.347.060 rs.

1897, nr 118, 30 IV. Lubelskie Tow. cyklistów ułożyło już program wycieczek i majówek na sezon bieżący dla członków swoich, którzy wd. 8-ym i 9-ym maja pojadą do Radomia, a w d. 6-ym i 7-ym czerwca do Siedlec, dnia 20-go czerwca do Garbowa, d. 4-go lipca do Krasnegostawu. d. 18-go lipca do Nałęczowa, d. 1-go sierpnia do Nowej Aleksandrii i Kazimieja. d. 15-go sierpnia do Chełma, a w końcu lublinianie mają zamiar odwiedzić jeszcze na rowerach i Warszawę.

1897, nr 121, 03 V. Echa krasnostawskie. Korespondent nasz z Krasnego Stawu pisze pod d. 28-ym kwietnia: „Na przebudowanie miejscowego wikarjatu wyznaczono rs. 4.000 z funduszków miasta, pobudowanie domu przytułku dla starców i kalek kosztować ma rs. 2.000. Pożądanem byłoby urządzenie w przytułku tym sali zarobkowej, gdyż żebracy krążą wciąż po ulicach miasta, a w każdy piątek całe ich bandy żebrzą po domach. Nakład na salę byłby niewielki, zbyt słomianek, koszyków i t.p. zapewniony, przędziwo zabierałyby warsztaty tkackie z odległej 8 wiorst Siennicy i Królewskiej, które dzięki staraniom tamtejszego proboszcza ks. Wiszniowieckiego niebawem zaczną funkcjonować, dając korzystny zarobek uboższym Włościanom. Z powiatów tomaszowskiego i biłgorajskiego od miesiąca przejeżdża przez nasze miasto po kilka fur dziennie, wiozących wielu ludzi na zarobki przeważnie do Warszawy. O godzinie 2-iej w nocy z d. 20 na 21-szy kwietnia widziany był tu meteor w rodzaju dużej gwiazdy, koloru czerwone-

go, przytem słyszeć się dał grzmot silny i przeciągły, zbliżony do wystrzału armatniego”.

1897, nr 131, 13 V. Przemysł tkacki. Dzięki staraniom ks. proboszcza Wiszniowieckiego we wsi Siennica Królewska, pod Krasnymstawem, włościanie zaczną wkrótce zajmować się tkactwem. Warsztaty postępowe będą włościanom dostarczone.

1897, nr 134, 16 V. *Lub. gub. wied.* donoszą, że Główny Naczelnik Kraju generał-adjutant jaśnie oświecony Książę Generał-Gubernator A.K. Imeretinski rozpocznie wkrótce objazd terytorjum warszawskiego okręgu wojennego. W dniu 27-ym maja J. O. ks. Imeretinski ma przybyć do Chełma, zkąd w dniu 28-ym maja uda się do Hrubieszowa i Zamościa, d. 29-go maja z Zamościa do Krasnegostawu; ztąd uda się do Rejowca, a następnie kolejną nadwiślańską powróci do Warszawy. W dniu 4-ym czerwca J. O. pociągiem rannym przybędzie do Lublina, zkąd nazajutrz pociągiem nocnym uda się do Nowej Aleksandrii, a następnie do Iwangrodu. Głównemu Naczelnikowi Kraju w tej wycieczce towarzyszą: naczelnik sztabu okręgu generał-lejtnant A. K. Puzyrewski, pozostający do szczególnych poruczeń podpułkownik W. J. Hurko, oficerowie sztabu okręgu podpułkownik A. W. Mawrin i W. A. Orłów i urzędnik do szczególnych poruczeń M. E. Jaczewski.

1897, nr 139, 21 V. Na ostatniem posiedzeniu zarządu Towarzystwa opieki nad zwierzętami, w d. 18-ym b.m. odbytem, zaproszeni zostali na członków: z Warszawy pp. Wincenty Sowiński, Piotr Linke, Mikołaj Kowalewski; z pow. grójeckiego (gub. warszawska) ks. Henryk Przeździecki; z Radomia Lucjan Laskowski; z pow. krasnostawskiego ksiądz Władysław Wiśniowiecki.

1897, nr 154, 05 VI. Jak donoszą *Lub. Gub. wied.*, J. O. ks. Imeretinski w czasie objazdu gub. lubelskiej zwiedził następujące zakłady naukowe: W Chełmie gimnazjum męzkie, szkołę Maryjską żeńską i seminarjum nauczycielskie z internatem; w Teratynie szkołę elementarną ogólną; w Hrubieszowie progimnazjum męzkie, szkołę dwuklasową elementarną; w Zamościu szkołę jednoklasową żeńską i oba progimnazja męzkie i żeńskie; wreszcie w Krasnymstawie szkołę elementarną żeńską jednoklasową.

1897, nr 186, 08 VII. Zmiana własności. W dniu 2-im b.m. dobra Niedziałowice w pow. chełmskim, mające 31 włók obszaru, od p. Jadwigi Grabowieckiej nabył p. Ksawery Janisławski z Krasnego-Stawu za 80.000 rs.

1897, nr 194, 16 VII. Sprzedaż drzewa. D. 19-go lipca, w urzędzie powiatowym krasnostawskim, odbędzie się licytacja na sprzedaż dwóch poręb w lesie Borek i Lipniak, będących własnością kasy miejskiej krasnostawskiej, od rs. 2,109 kop. 36 (wadjum wynosi rs. 211). *** Dzierżawa mostu. D. 19-go lipca, w urzędzie powiatowym krasnostawskim, odbędzie się licytacja na dzierżawę trzyletnią mostu taryfowego na rzece Wieprzu w Krasnymstawie od rs. 1,312 rocznie (wadjum rs. 131).

1897, nr 195, 17 VII. Sprzedaż dóbr. P. Eugenjusz Sommer folwark swój Celinin w pow. krasnostawskim, mający 448(?) morgów obszaru, sprzedał p. Augustynowi Janisławskiemu, właścicielowi dóbr Wola Żółkiewska za 25.000 rs.

1897, nr 200, 22 VII. Donosiliśmy o projekcie budowy nowej linii kolejowej od stacji Rejowiec kolei nadwiślańskiej do granicy austriackiej w obrębie gub. lubelskiej. O koncesję na budowę tej kolei stara się Maurycy ordynat hr. Zamoyski. Otóż ministerjum skarbu, po porozumieniu się z ministerjum komunikacji postanowiło wydać pozwolenie hr. Zamoyskiemu, na przeprowadzenie studjów w ciągu roku bieżącego nad budową tej linii, Hr. Zamoyski zadeklarował wybudowanie kolei swoim kosztem bez gwarancji rządowej, jako najbardziej zainteresowany w przeprowadzeniu linii, długości 105 wiorst, z których 60 wiorst przebiega przez ziemie ordynacji Zamoyskich. Kolej przetnie powiaty: krasnostawski, zamojski i tomaszowski, lecz nie mniej ważne ma znaczenie dla sąsiednich powiatów: hrubieszowskiego, janowskiego, biłgorajskiego oraz lubelskiego. W okolicach projektowanej kolei wywóz ziarna wynosi około dwóch milionów pudów, oprócz tego okolica ma sporą liczbę młynów i zakładów przemysłowo-rolnych, pomiędzy którymi znajduje się nowo założona cukrownia Klemensów, należąca do M. hr. Zamoyskiego, i fabryka przetworów leśnych w Zwierzyńcu ordynackim.

1897, nr 202, 24 VII. Laboratorium. W d. 13 sierpnia 1894 r. otwarte zostało w Lublinie na

lat trzy laboratorium chemiczno-bakterjologiczne. Koszta utrzymania w sumie rs. 1.400 rocznie rozłożono na dwanaście miast gub. lubelskiej, ze względu na to, że laboratorium przeznaczone jest dla potrzeb wszystkich miast tejże gubernji. Na utrzymanie laboratorium płaciły miasta: Lublin rs. 449, Zamość rs. 300, Chełm rs. 240, Krasnostaw rs. 140, Hrubieszów rs. 85, Janów rs. 65, Tomaszów rs. 35, Biłgoraj rs. 30, Lubartów rs. 20, Kraśnik rs. 20, Szczepieszyn rs. 8, Łęczna rs. 8.

1897, nr 205, 27 VII. Petycja. Obywatele miasta Krasnegostawu, jak donoszą Lub. gub. wied., zwrócili się do J. O. generała gubernatora warszawskiego z prośbą: a) o pozwolenie na rozszerzenie działalności Towarzystwa kredytowego miasta Lublina także i na Krasnostaw, b) o przyspieszenie operacji bankowych w krasnostawskiej kasie powiatowej, c) o otwarcie w Krasnymstawie czteroklasowej szkoły realnej. W petycji swojej obywatele oświadczają, że połowę wydatków na utrzymanie szkoły pokryje kasa miejska, resztę obywatele sami. Do wniesienia dwu pierwszych próśb skłaniania obywateli fatalny stan ekonomiczny mieszkańców, spowodowany brakiem taniego kredytu. Z tej to przyczyny przemysł i handel rozwinać się w Krasnymstawie nie mogą, obywatele miejscy od pożyczek hipotecznych płacić muszą nadmierne procenty.

1897, nr 208, 30 VII. Zmiana własności. W d. 26-ym b.m., właściciel dóbr Jastków w gub. lubelskiej, p. Nikodem Budny, kupił od p. Ignacego Budnego dobra Zakrzewa, w pow. krasnostawskim. Nabywca za 3.020 morgów zapłacił 150.000 rs.

1897, nr 212, 03 VIII. Zmiana własności. Majątek Równianki, w pow. krasnostawskim, od p. Augusta Iwańskiego nabył p. Stanisław Kołaczkowski. Nabywca za 550 morgów zapłacił 38.400 rs.

1897, nr 226, 17 VIII. Nowe posady weterynarzy powiatowych otrzymali: w pow. lubelskim p. Fortunat Chelchowski, w pow. lubartowskim p. Jan Zaniewicki, w pow. tomaszowskim p. Ludwik Malon, w pow. krasnostawskim p. Zygmunt Zyglar, w pow. janowskim p. Walerian Kamocki.

1897, nr 228, 19 VIII. Echa krasnostawskie. Grono mieszkańców Krasnegostawu, jak pisze Gazeta lubelska, zwróciło się do J. O. ks. Imereńskiego z prośbą w sprawie połączenia Krasnegostawu traktem szosowym z miastami Janowem,

Hrubieszowem i Chełmem. Nadto obywatele w prośbie swojej wyrażają życzenie, aby połączenie to mogło być uskutecznione w ten sposób, ażeby jedna szosa szła na osadę Gorzków, Żółkiewkę i Turobin do Janowa, druga przez Kraśniczyn do Wojsławic, a ztąd do Chełma i Hrubieszowa. Takie ułatwienie komunikacji z sąsiednimi miastami powiatowemi przyniosłoby dla Krasnegostawu korzyści duże. Niezależnie od tego petenci proszą o zwrócenie im zajętego od niejakiego czasu na plac musztry a należącego do miasta jedynego pastwiska miejskiego „Błonie”, mającego około 40 morgów przestrzeni i o urządzenie natomiast placu musztry na gruntach folwarku miejskiego Lubańki, położonego w pobliżu miasta pod lasem, i mającego przeszło 200 morgów przestrzeni. Miejsce to, zarówno ze względu na swoje położenie, jak i obszar, zdaniem mieszkańców, jest odpowiedniejsze na ten cel, aniżeli pastwisko miejskie, którego brak daje się mieszkańcom dotkliwie uczuwać.

Echa krasnostawskie. Z Krasnegostawu piszą do nas: „Żniwa w naszej okolicy ukończone. Z powodu częstych deszczów w lipcu, żyto i pszenica w wielu miejscowościach porosły. Dopiero w połowie żniw pogoda się ustaliła. Zdaje się, że zbiory będą zadawalniające. Kartofle obrodziły obficie; owoców niewiele, w dodatku jabłka i gruszki zaczynają psuć się na drzewach. Skutkiem grasujących epidemicznie chorób nóg i języków u bydła, nabiał drogi. Świeżo mianowany weterynarz powiatowy ma od razu praktykę dużą. Wymowny to dowód, jak bardzo był potrzebny w Krasnymstawie weterynarz, którego do tej pory musiano sprowadzać aż z Lublina. Do naszego miasta przybyło aż dwu obrońców sądowych, którzy rozpoczęli energiczną walkę z pokątnymi doradcami. Oby tylko nie ustali w walce z tymi wyzyskiwaczami ciemnego ludu, oby nie zniechęcali się tak, jak lekarze, którzy, uprzykrzywszy sobie ustawiczną walkę z felczerami, Krasnymstaw opuszczali, pozostawiając nas bez opieki lekarskiej na wypadek choroby. Lekarzy mamy tu niewielu, więc nowy lekarz może zdobyć utrzymanie dostatnie, tem łatwiej, że okolica jest zamożna i dobrze zaludniona. Z powodu zbliżającego się monopolu wódczanego, szynkarze już obecnie starają się wprowadzać w użycie napoje gazowe, limonady owocowe i t.d. Nicby przeciwko temu mieć nie można, lecz byłaby po-

żądaną kontrola nad owemi wodami, do których handlarze używają sacharyny, sztucznych soków i w ogóle składników zdrowia szkodliwych”.

1897, nr 238, 29 VIII. Ogłoszenie. W kancelarii Zarządu Dóbr Orlów w pow. Krasnostawskim gub. Lubelskiej, odbędzie się dnia 8 (20) września r.b. o godzinie 11-ej; przed południem licytacja, na tegoroczne poręby zawierające przestrzeni 25 mórg 24 prętów. Reflektanci mający zamiar przystąpić do licytacji obowiązani złożyć, jako vadium rs. 400 oraz ofertę w zapieczętowanej kopercie z oznaczeniem ceny. Bliższe warunki przejrzeć można w kancelarii Zarządu.

1897, nr 258, 18 IX. Inżynier i budowniczy powiatu krasnostawskiego, p. Cieszkowski, przeniesiony został na taką samą posadę do Zamościa.

1897, nr 264, 24 IX. Dnia 27-go sierpnia r.b. w dobrach rodzinnych Mościska, powiecie krasnostawskim, oddała Bogu ducha, przeżywszy lat 74, opatrzona św. Sakramentami, ś.p. z Czyżewskich Zofja Załęska po Romanie wdowa, pełna cnót chrześcijańskich niewiasta, całem życiem swem, jako córka, żona, matka, a w końcu, jako babka wzorowa kobieta.

1897, nr 284, 14 X. Zarządzający fabryką klinkieru w Zamościu, inżynier Józef Zborowski, uzyskawszy na to pozwolenie władzy właściwej, jak sam pisze, za pośrednictwem Warsz. Dniewn. podaje bliższe wiadomości o zastosowaniu w naszym kraju cegły prasowanej do budowy dróg bitych. Dowiadujemy się ztamtąd, że szosa zamojsko-lubelska, usypana z klinkieru w r. 1884-ym, nie wymagała ani razu naprawy i znajduje się dotąd w dobrym stanie. Podobnież ma, się rzecz z drogami ubitemi później. Wobec tego warszawski okrąg komunikacji postanowił założyć kilka nowych fabryk klinkieru i w tym celu w r. 1895-ym wysyłał p. Zaborowskiego za granicę. Przede wszystkim ma być otwarta nowa prasownia cegły pod Krasnymstawem. Klinkier zamojski nie ustępuje pod względem twardości granitowi, ma czarną barwę i nie wchłania wcale wody. Dowiadujemy się zarazem, że fabryka w Zamościu wyrabia rocznic około 5,000 sążni sześciennych żwiru ceglanego, i to wyłącznie na potrzeby okręgu komunikacji, tak, że nawet dla m. Zamościa odmówiła dostarczenia klinkieru.

1897, nr 285, 15 X. Sprzedam z wyrobioną klientelą istniejący od lat 14 jedyny w mieście powiatowym zakład, w którym się mieszczą razem piekarnia, cukiernia, restauracja, bilard, z ogródkiem dla gości, dający przyzwoite utrzymanie licznej familji; mam dostać monopol, stale konsystuje pułk wojska, na lato zawsze przybywa dywizja piechoty, dywizja kawalerji i artyleria. Lokal obszerny, ze stajnią płacę rocznie 300 rs. Adresować: A. Łubiński w Krasnymstawie, gub. lubelska.

1897, nr 299, 29 X. Lekarzem powiatu krasnostawskiego na miejsce p. Wojciecha Skawińskiego, który otrzymał emeryturę, mianowany został lekarz szpitala krasnostawskiego, p. Wincenty Orłowski.

1897, nr 313, 12 XI. Echa krasnostawskie. Korespondent nasz pisze pod d. 30-ym października: „Mieszkańcy tutejsi wystosowali podanie do J. O. ks. Imeretńskiego o pozwolenie otwarcia szkoły realnej w Krasnymstawie. Obecnie rząd gubernjalny lubelski zażądał od władzy miejscowej informacji, jakie fundusze mogą być przeznaczone na ten cel. Dnia 23 go października grono znajomych zebrało obiadem wyjeżdżającego do Zamościa budowniczego p. Cieszkowskiego, Cieszący się ogólną sympatją i zasłużonem uznaniem lekarz powiatowy dr. Skawiński, przesłużywszy oznaczony czas przez prawo, podał się do emerytury, miejsce jego zajmuje dotychczasowy lekarz szpitala miejscowego, p. Orłowski. Ceny zboża i kartofli znacznie się podniosły. Omlót zbóż i urodzaj kartofli nieświeży”.

1897, nr 314, 13 XI. Biblioteka ludowa. W osadzie Tarnogórze, w pow. krasnostawskim, w dniu 13-ym b.m. odbędzie się akt otwarcia pierwszej w gub. lubelskiej rosyjsko-polskiej biblioteki ludowej przy tamtejszej szkole elementarnej. Bibliotekę tę zaopatrzone, w 201 tomów książek religijnych, popularno-naukowych i beletrystycznych, oraz z dziedziny higieny i gospodarstwa wiejskiego i t.d. Główny zarząd nad biblioteką poruczono zarządowi szkoły miejscowej, dozór nad nią komisarzowi do spraw włościańskich. Z chwilą otwarcia biblioteki w Tarnogórze liczba bibliotek ludowych przy szkołach elementarnych w okręgu dyrekcji naukowej chełmskiej wzrosło do 13. Dwanaście istniejących już bibliotek rosyjskich przy szkołach w tym okręgu założono w r. 1896-ym i 1897-ym.

1897, nr 324, 23 XI. Tkactwo pod strzechą wieśniaczą. Słusznem będzie zanotować ze wszech miar pocieszający fakt przyjęcia się przemysłu domowego tkackiego we wsi Siennicy Różanej, położonej o 16 wiorst od Rejowca, a 8 od Krasnegostawu. Wieś to duża, sto kilkanaście domów licząca, obok niej równolegle o ćwierć wiorsty ciągnie się taka sama wieś Wola Siennicka, tuż obok prawie równie liczne są wsie. A ludność tych wiosek, przeważnie uboga, grunt dzieli pomiędzy wciąż tworzące się nowe rodziny, sporo też można tu spotkać przymusowo uprawiających jarstwo; w święta dzieci spożywają potrosze tłuszców, rodzina nigdy, bo niema za co; kartofel tu wszystkim. Na wstawiennictwo miejscowego proboszcza, ks. Wiśniowieckiego, delegacja a obecnie sekcja przemysłu domowego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu przed kilku miesiącami przysłała tu instruktora tkackiego. Dziś 20 warsztatów jest tu już w ruchu; tkacze robią, płótna, ceity na ubrania dla mężczyzn włościan oraz na cięższe suknie dla kobiet, robią też serwety, obrusy, ręczniki, które mają zbyt wśród okolicznej ludności i w kilku sklepach: w Krasnymstawie, Rejowcu i t.d. Obecnie zawiązała się tu spółka tkacka. Na jej fundusz zakładowy właściciel Siennicy, ks. St. Lubomirski, ofiarował sto rubli, inni udziałowcy złożyli 230 rs., a włościanie tkacze, o ile w tej porze mogą, składają na tenże fundusz zarobki swoje z tkactwa w całości lub częściowo. M. Malinowski. W Siennicy Różanej w pow. krasnostawskim, 20-tu włościan zaczęło używać ulepszonych warsztatów. Obecnie zarabiają oni około 40 kop. dziennie, co więcej, zawiązali nawet spółkę, celem sprowadzania bawełny. Zaczęli wyrabiać wałtuchy, na które mają zbyt zapewniony.

1897, nr 326, 25 XI. Wedle danych urzędowych, dochód właścicieli ziemskich z prawa propinacji w obrębie gub. lubelskiej, wynosi 115.376 rs. rocznie: w pow. lubelskim 13.850 rs., w lubartowskim 13.524 rs., w nowo-aleksandryjskim 23.300 rs., w chełmskim 11.000 rs., w hrubieszowskim 13.180 rs., w krasnostawskim 7.000 rs., w janowskim 17.100 rs., w biłgorajskim 5.052 rs., w zamojskim 5.800 rs. w tomaszowskim 3.570 rs. *** Z powodu ustania zarazy w pow. krasnostawskim, pozwolono na wywóz trzody chlewnej z tego powiatu.

1897, nr 354, 23 XII. Echa krasnostawskie. Korespondent nasz pisze d. 20-go grudnia: „W dniu 12-ym b.m. odbyły się wybory straży ogniowej ochotniczej; prezesem wybrano p. Migurskiego, naczelnikiem p. Certowicza, pomocnikiem naczelnika p. Piechowicza i kasjerem p. Zyglera. Mianowany w d. 1-ym listopada lekarzem powiatu dr. Orłowski, poprzednio lekarz miejscowego szpitala, dotąd jeszcze spełnia poprzednie swoje obowiązki. *** W dniu 18-ym b.m. w Gorzkowie odbył się pojedynek pomiędzy p. Skawińskim a p. Lemańskim; pierwszy strzał pana L. trupem położył pana S.; świadkowie zameldowali władzy o fakcie dokonanym. Sędzia śledczy rozpoczął śledztwo. *** W nocy z d. 19-go na 20-ty b.m. pożar zniszczył na przedmieściu Krakowskim dom, stodołę, zabudowania gospodarskie; 9 sztuk bydła, trzy konie i nierogacizną stały się pastwą płomieni. Przyczyna pożaru dotąd niezbadana”.

1897, nr 355, 24 XII. Pojedynek. Czytamy w *Warsz. dzienniku*: „Donoszą nam z Lublina, że d. 19-go b.m. rozesła się po mieście pogłoska o pojedynku, który się odbył w pow. krasnostawskim pomiędzy dwoma obywatelami ziemskimi, a którego następstwem była śmierć jednego z przeciwników. Pogłoska okazała się, niestety! prawdziwą, przyczem wyjaśniono, że walczyli z sobą obywatele ziemscy: Marceli Skawiński i Józef Lemański i że Skawiński padł trupem na miejscu po pierwszym strzale. Pojedynek odbył się d. 18-go grudnia, o godz. 10-ej zrana, na granicy dóbr Wielobycz i Wielkopole, w pow. krasnostawskim. Przeciwnicy strzelali jednocześnie z odległości 15-tu kroków. Pomiedzy nimi zaszło nieporozumienie z powodu rozrachunków pieniężnych; podczas rozmowy w tym przedmiocie p. Lemański obraził czynnie p. Skawińskiego, który też skutkiem tego wyzwał p. Lemańskiego na pojedynek. Sekundantami p. Skawińskiego byli pp. Grabowski i Estreicher, p. Lemańskiego - pp. Chądzyński i Umieniecki”.

1897, nr 354, 23 XII. Sprzedaż dóbr. Majątek Liszno A, w powiecie chełmskim, mający 1.400 morgów obszaru, od p. Gołębiowskiego kupił za 85.000 rs. Joel Wegmajster. Majątek Zygmuntów, w pow. krasnostawskim. 930 morgów, od p. Adolfa Koehlera nabyli włościanie przy pomocy banku włościańskiego za 91.750 rs.

1898, nr 52, 21 II. Komisje propinacyjne. Wszystkie już gubernjalne komisje propinacyjne w obrębie Królestwa Polskiego są utworzone i rozpoczęły swoją działalność. Ostatnio J. O. generał-gubernator warszawski zatwierdził dwóch przedstawicieli ziemiaństwa w komisji lubelskiej pp. Eustachego Świeżawskiego, prezesa dyrekcji szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Lublinie, właściciela dóbr Franusin i Hołubię w pow. tomaszowskim oraz Niele dew w pow. hrubieszowskim, i p. Józefata Budnego właściciela dóbr Rejowiec w pow. chełmskim i Zakrzew w pow. krasnostawskim, korzystającego z prawa propinacji.

1898, nr 79, 20 III. Miasta w gub. lubelskiej. W 13 miastach, mieszkańcy mieli w r.z. zapłacić podatek miejski 296.941 rs. (w tej sumie Lublin 162.921 rs.), wpłynęło z tego źródła 210.975 rs. W r.z. wydano na utrzymanie miast 195.000 rs.:

Miasto	Utrzymanie miast		Kapitał zapasowy		Kapitał żelazny	
Biłgoraj	6760	3,5%	8304	6,0%	1143	0,9%
Chełm	21790	11,2%	16054	11,6%	2731	2,2%
Dubienka	3190	1,6%	18693	13,5%	3117	2,6%
Hrubieszów	7384	3,8%	8462	6,1%	414	0,3%
Janów	4780	2,5%	6979	5,1%	807	0,7%
Krasnostaw	16361	8,4%	14562	10,5%	2660	2,2%
Kraśnik	4870	2,5%	3699	2,7%	0	0,0%
Lubartów	5908	3,0%	2042	1,5%	0	0,0%
Lublin	97061	49,8%	32807	23,7%	97817	80,1%
Łączna	3459	1,8%	8557	6,2%	3557	2,9%
Szczebrzeszyn	2305	1,2%	3042	2,2%	0	0,0%
Tomaszów	4660	2,4%	9896	7,2%	307	0,3%
Zamość	16467	8,4%	5071	3,7%	9583	7,8%
RAZEM	194995	100%	138168	100%	122136	100%

1898, nr 107, 19 IV. O pojedynek. Na dzień 20-ty maja r.b. sąd okręgowy lubelski wyznaczył termin sprawy p. Józefa Lemańskiego, właściciela dóbr Gardzienic, powiatu krasnostawskiego, oskarżonego o zabójstwo Marcela Skawińskiego

w pojedynku, który w dniu 18-ym grudnia r.z. odbył się w lesie pod miasteczkiem Gorzkowem w pow. krasnostawskim. Szczegóły tego pojedynku czytelnicy Kurjera mają niechybnie w pamięci. Przypominamy więc tylko, że źródłem jego było zajście, jakie dnia 20 listopada r.z. w biurze dyrekcji szczerzowskiej Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Lublinie zaszło (z powodu rachunków pieniężnych) pomiędzy zmarłym Marcelim Skawińskim a Józefem Lemańskim. Podczas tego zajścia Skawiński zelżył słownie Lemańskiego, ten odpowiedział czynną obelgą. Skawiński wyzwał Lemańskiego na pojedynek, który odbył się na pistolety z metą na 15 kroków. Przeciwnicy wystrzelili jednocześnie i Skawiński padł na miejscu.

1898, nr 111, 23 IV. W ministerjum spraw wewnętrznych mianowano: lekarza Kamińskiego - lekarzem szpitala św. Franciszka w Krasnymstawie.

1898, nr 142, 24 V. Sprawa o pojedynek. Pod obrady sądu okręgowego w Lublinie, w piętek ubiegły przyszła sprawa o pojedynek pomiędzy dwoma obywatelami ziemskimi z lubelskiego, który się zakończył śmiercią jednego z nich, ś.p. Marceliego Skawińskiego, właściciela majątku Krobosz w pow. chełmskim. Oskarżonym o zabójstwo w pojedynku był p. Józef Lemański z Borek, w powiecie krasnostawskim. Powodem pojedynku - według aktu oskarżenia - było nieporozumienie, jakie zaszło pomiędzy p. Lemańskim, a ś.p. Skawińskim w dniu 20-ym grudnia r.z. w gmachu dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Lublinie. Wywiązała się tam pomiędzy nimi sprzeczka, w której toku ś.p. Skawiński nazwał pana L. „błaznem”, pan L. wyrzucił mu obelgę czynną. Wówczas ś.p. Sk. posłał p. L. sekundantów w osobach pp. Antoniego Estreichera i Henryka Grabowskiego. P. Lemańskiemu sekundowali pp. Adam Umieniecki i Florjan Chądzyński. Lemański, jak twierdzili zbadani następnie w toku posiedzenia sekundanci, starał się w jakikolwiekby sposób zapobiedz pojedynekowi. Starania jego jednak rozbiły się o stanowczość ś.p. Skawińskiego, który, pomimo wielokrotnie ponawianych propozycji, nie zgodził się na zakończenie sprawy sądem polubownym. Prokurator w mowie swej dowodził, iż przyczyną pojedynku był niewątpliwie p. Lemański, który, jako człowiek starszy i doświadczony, nie powinien był się unosić i po-

suwać do obelgi czynnej. Wobec tego oskarżyciel publiczny żądał uznania winy pana L. z ust. 1 art. 1503 kod. kar. Obrońca oskarżonego utrzymywał, iż przyczyną pojedynku był nie Lemański, lecz Skawiński, który nie miał nawet prawa upominać się o spłatę długu, należnego nie jemu samemu, lecz jego matce; dług ten nadto jest w zupełności uregulowany. W konkluzji obrońca wnosił o zakwalifikowanie czynu oskarżonego z ust. 2 art. 1503 kod. kar. z przedstawieniem wyroku do łaski Monarszej. Pojedynek odbył się d. 18-go grudnia r.z. w lesie wielobockim, pod Gorzkowem w powiecie krasnostawskim. Strzelano się na pistolety z odległości 15-tu kroków. Ugodzony kulą ś.p. Skawiński padł na miejscu. Zaraz na początku rozpraw sądowych, p. Lemański przyznał się do winy, zarzucając mu w akcie oskarżenia. Wobec tego prokurator rzekł się badania świadków. Obrona atoli była innego zdania; sąd przychylił się do jej prośby, i świadków przesłuchano. Zupełnie zgodnie brzmiały zeznania świadków pp. Wiktora Bogusławskiego i Józefa Dąbrowskiego, którzy byli obecni przy zajściu w gmachu dyrekcji Towarzystwa kredytowego. Według opowieści tych świadków naocznych, zajście owo wywołał sam ś.p. Skawiński, który w sposób wręcz nieprzystojny, a nawet obelżywy, dopominał się u p. Lemańskiego zapłaty sumy, należnej matce Skawińskiego. P. Lemański odparł spokojnie, że nie tu jest miejsce do upominania się o należność. Wskutek natarczywości Skawińskiego rozmowa przybrała charakter gwałtowny i doprowadziła do skutków, o których już wspominaliśmy powyżej. Po powtórnej przemowie prokuratora i replice obrońcy, sąd udał się na narady, poczem ogłosił wyrok, skazujący szlachcica, Józefa Lemańskiego, z ust. 2 art. 1503 kod. kar. na dwuletnie zamknięcie w twierdzy. Sąd zażądał, celem zabezpieczenia osoby skazanego, kaucji 500 rubli w gotówiznie, którą p. Lemański złożył zaraz na miejscu.

1898, nr 153, 05 VI. W r. z. najwięcej pożarów było: w pow. hrubieszowskim, bo 74, następnie w pow. chełmskim 66, nowo-aleksandryjskim 42, zamojskim i lubelskim po 41, janowskim i tomaszowskim po 37, krasnostawskim 33, biłgorajskim 24, lubartowskim 18. Kapitał wzajemnych ubezpieczeń w d. 13 stycznia r.b. wynosił ogółem 1.004.365 rubli.

1898, nr 161, 13 VI. Dowóz wełny dziś ożywił się znacznie. Nadeszły już następujące partje wełny [1 pud = 16,38 kg]: z Uchania (pow. hrubieszowski 133 pud., z Rejowca (pow. chełmski) Budnego 90 p., z Tarnogóry (pow. krasnostawski) 105 p., z Werbkowic (pow. hrubieszowski) Antoniego Szydłowskiego 182 p., z Kosmowa i Wiereszyna (pow. hrubieszowski) 69 p., z Łańcuchowa (pow. chełmski) Ligowskiego 126 p., z Rybczewic (pow. krasnostawski) 348 p.

1898, nr 162, 14 VI. z Krasnego (pow. chełmski) Leona Przanowskiego 74 pud., z Gardzienic (pow. krasnostawski 85 p., z Wierzbicy (pow. krasnostawski) 77 p., z Turobina (pow. krasnostawski) Krzencewskiego 90 p.

1898, nr 163, 15 VI. Z Orłowa (pow. krasnostawski) 135 pud., z Zakrzewa (pow. krasnostawski) Nikodema Budnego 120 pud., z Sienicy Różanej (pow. krasnostawski) Andrzeja Podczaskiego 66 pud.

1898, nr 166, 18 VI. z Maszowa (pow. krasnostawski) Antoniny Fleszyńskiej 30 pud., z Olaszanki (pow. krasnostawski) 72 pud.

1898, nr 185, 07 VII. W tych dniach w 3-ech powiatach: hrubieszowskim, krasnostawskim i Janowskim srożyła się burza gradowa w połączeniu z orkanem powietrznym. Szkody poczynione w polach i lasach ogromne. P. Edward Chrzanowski, właściciel rozległych dóbr w hrubieszowskim, poniósł przeszło 100.000 rb. straty, z powodu gradu. P. Augustowi Janisławskiemu orkan powywracał w Wólce Żółkiewskiej wszystkie budynki i porobił nieobliczone szkody w lesie i polu. Niemniej ucierpiały majątki: Hrebenne, Dąbie, Żółkiewka, Markiewiczów, Modliborzyce i wiele innych.

1898, nr 187, 09 VII. Burza szalała w dniu 27-ym z.m. w pow. krasnostawskim i zamoy skim. Trąba powietrzna rozpoczęła się w lasach ordynackich koło Wysokiego i nałamawszy mnóstwo drzew, przeszła do Żółkiewki. Tu zerwała dach z kościoła, z synagogi, oraz z kilku domów. W Średniej Wsi zerwała dach ze stodoły i wyrzuciła oborę. Największe szkody zrzędziła jednak w Woli Żółkiewskiej. Tu obaliła stuletnie topole i lipy, cztery budynki murowane, pokryte papą lub gontem, oborę, owczarnię, spichlerz. Całe odłamy dachów znajdowano w odległości 500 kroków od budynków. W lesie potężne sosny wicher wyrwał

z korzeniami; padło około 3.000 sztuk sosen. Straty w tym majątku wynoszą do 20.000 rb. We wsi Olchowiec burza wyłamała całą aleję topolową, las spustoszyła doszczętnie. W nocy tegoż dnia burza gradowa przeszła przez Surhów, Siennicę, Brianą, Borów, Żdżanne i Zwierzyniec, wybiwszy doszczętnie zasiewy. Z tego powodu zboże zaczęło kosić na paszę. W majątku Łosień od uderzenia pioruna zgorzał cały folwark. W Darlecie, Pilaskowicach, Krzywem i Bobrowem, orkan poczynił straszne spustoszenia w zasiewach. Straty obliczają ogółem na 200.000 rb.

1898, nr 188, 10 VII. Kłęska gradowa. *Lub. gub. wiadom.* podają nowe szczegóły o strasznej burzy i gradzie, które w dniu 27 czerwca szalały w pow. krasnostawskim o godz. 5 po południu i 10 wieczorem. Straty wynoszą: W gm. Turobin 2.100 rb., w Żółkiewce 15.009 rb., prócz tego połamane zostały i wyrwane z korzeniami 3.000 sztuk drzewa w lasach majątków Wólka Żółkiewska, skutkiem czego poniesiono strat na 10.000 rb., w Olchowcu 4.200 sztuk wartości 12.000 rb., w lesie gminnym 220 sztuk wartości 500 rb. Na folwarku Wólka Żółkiewska, runęło 5 budynków wartości 4.000 rb., w gm. Średnia wieś 5 budynków wartości 2.000 rb., we wsi Różki 3 śpichrze wartości 300 rb. W osadzie Żółkiewka runęły 3 śpichrze, nadto dachy zerwane zostały z synagogi, rzeźni i 6 domów. Straty wynoszą 1.000 rb. Straty, zrzęzione przez grad, wynoszą: w Gorzkowie 43.360 rb. (we wsi Orchowcu 12.860 rb., na folwarku Orchowiec 16.609 rb.), w Krasnymstawie 6.600 rb., w Rudce 60.943 rb., (na folwarku Siennica Różana 30.250 rb., na folwarku Toruń 7.050 rb., na folwarku Żdżanne 6.150 rb.), w Czajkach 2.010 rb. w Izbicy 17.535 rb. W lasach majątku Surhów, wicher połamał 1.000 sztuk drzewa, w. 1.700 rb., w lasach majątku Orłów, wicher zniszczył drzewa na przestrzeni 350 morgów, zrzędzając szkody na sumę 4.000 rb. Na folwarku Marjanka runął śpichrz, wartości 1.740 rb. W ogóle wedle danych urzędowych, straty właścian wynoszą 74.537 rb., straty obywateli 115.270 rubli. Straty właścian w kilku wsiach są bardzo dotkliwe, gdyż grad wytłukł im zboże zupełnie, a nie posiadają żadnych zgola zapasów. Grad w nocy d. 27 czerwca zniszczył zasiewy, tak ozime jak jare na polach gmin: Horodło, Jarosławiec i Hrubieszów: w Horodle na przestrzeni 7.000 morgów,

w Jarosławiu 2.000 m., w gm. Hrubieszów 2.300 m., na terytorjum m. Hrubieszowa na przestrzeni 635 morgów.

1898, nr 194, 16 VII. Budowa szkoły. D. 25-go lipca, w urzędzie powiatowym krasnostawskim, odbędzie się licytacja na budowę domu drewnianego dla szkoły początkowej we wsi Czernięcinie od rb. 2.320 kop. 67.

1898, nr 200, 22 VII. Klęska gradowa. Wedle obliczeń urzędowych, straty, zrządzone skutkiem gradobicia i wichury w dniu 27 czerwca, w powiatach: hrubieszowskim, chełmskim, zamojskim, biłgorajskim i krasnostawskim, wynoszą około pół miliona rubli. Grad stłukł zboże na przestrzeni 2.200 morgów. Poczyniono kroki, celem wyjednania pozwolenia na zbieranie ofiar na rzecz dotkniętych gradem włościom w powiatach: hrubieszowskim, zamojskim i krasnostawskim.

1898, nr 204, 26 VII. Kancelarja Zarządu Dóbr Orłów, w powiecie Krasnostawskim gub. Lubelskiej, odbędzie się licytacja w dniu 4 (16) Sierpnia r.b. o godzinie 11-ej przed południem na tegoroczne poręby zawierające przestrzeni 25 mórg 247 prętów, oraz na 855 sztuk starodrzewu. Reflektanci mający zamiar przystąpić do licytacji obowiązani złożyć, jako vadium Rb. 1000 oraz ofertę w zapieczętowanej kopercie z oznaczeniem *ceny*. Bliższe warunki przejrzeć można w Kancelarji Zarządu Dóbr.

1898, nr 219, 10 VIII. Grad. W dniu 29 lipca r.b. w gm. Żółkiewka, w pow. krasnostawskim, grad stłukł na polach majątku Wólka Żółkiewska, p. Janisławskiego, owies, groch, koniczynę i kartofle. Straty wynoszą około 2.110 rb. Szkody w lesie wynoszą około 100. Nadto wicher obalił budynek drewniany, oceniony na 150 rb.

1898, nr 231, 22 VIII. Dowodzący wojskami okręgu, generał-adjutant J. O. książę A. K. Imieretinski, wyjeżdża na manewry wojsk, obozujących pod Krasnymstawem, dziś, o godz. 11-ej m. 4 wieczorem, powraca do Warszawy we wtorek, d. 23-go sierpnia, o godz. 11-ej m. 45 wieczorem.

1898, nr 233, 24 VIII. Sprawozdanie urzędowe o żniwach w gub. lubelskiej opiewa, jak następuje: „Zbiór pszenicy ozimej i żyta ukończono wszędzie przy pięknej pogodzie. Urodzaj tych gatunków zboża: w pow. lubelskim, nowoaleksandryjskim, lubartowskim, hrubieszowskim, to-

maszowskim i zamojskim - piękny; w pow. krasnostawskim - lepszy od średniego; w powiatach chełmskim, janowskim i biłgorajskim - zadawalniający. Zbiór pszenicy jarej i jęczmienia ukończony, sprzęt innych gatunków zbóż odbywa się wśród pomyślnych warunków. Urodzaj zbóż jarych wogóle piękny. Trawy i ogrodowizny udały się dobrze. Braku rąk do pracy nikt nie uczuwa, Owadów szkodliwych dla zboża nie zauważono”.

1898, nr 236, 27 VIII. W ministerjum spraw wewnętrznych mianowani: młodszy budowniczy wydziału budowlanego czernihowskiego rządu gubernjalnego, inżynier cywilny, r. dw. Poklewski-Koziełło - krasnostawskim budowniczym powiatowym i inżynierem (od d. 30-go maja).

1898, nr 260, 20 IX. Komitet gubernjalny lubelski ochrony leśnej, nadzór nad lasami, wolnemi od służebności włościńskich ustanowił, jak następuje: W pow. krasnostawskim: lasy w gminach: Łopiennik, Fajslawice, Gorzków i Krasnystaw - pod nadzór leśniczego lubelskiego; pozostałe gminy pod nadzór naczelnika pow. krasnostawskiego; gmina Rudka pod nadzór leśniczego chełmskiego.

1898, nr 261, 21 IX. J. O. Jenerał-Gubernator warszawski zatwierdził następujących przedstawicieli właścicieli lasów i ziemiaństwa w komitetach gubernjalnych ochrony leśnej: p. Józefa Florkowskiego, właściciela dóbr Fajslawice, w pow. krasnostawskim.

1898, nr 275, 05 X. Sprzedaż dóbr. W dniu 11-ym b.m. p. August Iwański, dobra Wierzbica, w pow. krasnostawskim, mające 1.240 morgów obszaru, sprzedał p. Wacławowi Kiwerskiemu. Nabywca zapłacił po rb. 3.000 za włókę.

1898, nr 291, 21 X. Dom na szkołę. D. 25-go października, w urzędzie powiatowym krasnostawskim, odbędzie się licytacja na budowę we wsi Łatyczowie domu murowanego na szkołę początkową i szopy drewnianej od rb. 2.835 kop. 26.

1898, nr 296, 26 X. W 41-ym nrze organu ministerialnego znajdujemy wiadomość o zatwierdzeniu d. 22-go sierpnia r.b. ustawy Stowarzyszenia zaliczkowo-oszczędnościowego we wsi Siennica Różana w pow. krasnostawskim.

1898, nr 304, 03 XI. Echa krasnostawskie. Korespondent nasz pisze d. 24-go października: „W dniu 20-ym b.m. parostopniowy mróz przeraził

gospodarzy, którzy nie ukończyli kopania kartofli i buraków. Zimno i silny wiatr zmusił do przerwania robót, straty z tego powodu są znaczne. W nocy z d. 19-go na 20-ty zdarzył się smutny wypadek na szosie pomiędzy Izbicą a Krasnymstawem: wiatr złamał topolę, która, padając na przejeżdżającą furę z żydami, jednego z nich zabiła, innych mniej lub więcej pokaleczyła. Konie i furman wyszli bez szwanku. Tej samej nocy wybuchnął pożar tuż pod miastem; przeciwnemu kierunkowi wiatru zawdzięczać należy, że całe miasto nie poszło z dymem. Z dnia 23-go na 24-ty znów spaliła się stodoła na końcu miasta, lecz między budynkami stojąca, co groziło również rozszerzeniem się pożaru. Energetyczny ratunek zapobiegł niebezpieczeństwu, ale brak narzędzi utrudniał bardzo działanie straży ochotniczej, toteż grono osób dobrej woli gorliwie stara się o urządzenie szeregu przedstawień amatorskich, w celu zdobycia funduszu na zakupienie brakujących a niezbędnych dla straży narzędzi. W celu zachęcenia do zapisywania się na członków czynnych straży, urządzono wieczór tańczący składkowy dla warstw uboższych, w którym liczny udział wzięła inteligencja miejska”.

1898, nr 312, 11 XI. Dnia 7-go b.m. odbyło się posiedzenie komitetu gubernialnego ochrony leśnej w Lublinie. Postanowiono na niem powściągnąć rabunkowy wyręb lasów w pow. lubelskim, krasnostawskim i nowo-aleksandryjskim, oraz ułożyć program czynności na rok 1899-ty w ten sposób, ażeby posiedzenia zwyczajne odbywały się, co miesiąc.

1898, nr 318, 17 XI. Komitet ochrony leśnej w Lublinie na ostatniem posiedzeniu zatwierdził plany gospodarstwa leśnego w Strzyżowicach, w pow. lubelskim i postanowił wstrzymać wyręby pustoszące w powiatach nowo-aleksandryjskim, lubelskim i krasnostawskim.

1898, nr 320, 19 XI. Kolej tomaszowska. Studja przygotowawcze kierunku i terenu przyszłej kolei tomaszowskiej są już prawie ukończone. Długość nowej kolei od Lublina przez Turobin, Szczepieszyn do Zamościa wynosi 87,2 wiorsty. Od Chełma do Zamościa przestrzeń trasy kolejowej wynosi 61,5 wiorsty; wreszcie od Zamościa do Bełżca na granicy austriackiej - 44,3 wiorsty. Ogólna zatem długość kolei tomaszowskiej z Chełma z odnogą od Zamościa do Lublina mierzyć będzie 193 wiorsty.

1898, nr 327, 26 XI. Krasnostaw 26-go listopada, (T. pr. K. W.) Wczoraj, we wsi Siennica Różana (w pow. krasnostawskim), nastąpiło otwarcie Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, założonego na zasadzie ustawy wzorowej. Obecnych było 135 członków. Rada i zarząd nowego Towarzystwa wysłały do p. ministra finansów telegram, zawiadamiając o otwarciu i wyrażając podziękowanie za zatwierdzenie statutu. Jest to pierwsze tego rodzaju stowarzyszenie wiejskie w kraju tutejszym.

1898, nr 334, 03 XII. Delegaci taksowi. W obrębie dyrekcji szczegółowej lubelskiej Towarzystwa kredytowego ziemskiego mianowani zostali delegatami taksowymi na okres dwuletni: na pow. krasnostawski pp. Eugenjusz Sommer z Dąbia, Augusty Janiński z Woli Żółkiewskiej.

1898, nr 351, 20 XII. W gronie duchowieństwa rzymsko-katolickiego, jak donosi *Warsz. dzienn.*, zaszły następujące zmiany: mianowani: wikarjusz parafii Krasnostaw, ks. Feliks Żelaźniak - administratorem parafii Łopiennik, w pow. krasnostawskim; wikarjusz parafii Bełżyce, w pow. lubelskim, ks. Wacław Kupść - na wikarjusza parafii Krasnostaw; zmarli: administrator parafii Łopiennik, w pow. krasnostawskim, ks. Antoni Borowski.

1898, nr 354, 23 XII. Na korzyść Towarzystwa Krzyża Czerwonego 1898-go r.: od sędziego pokoju miasta Krasnostawu 33 rb. 26 kop.

1898, nr 357, 28 XII. *Warsz. dzienn.* donosi, że P. Główny Naczelnik kraju zatwierdził listę 1.309 kandydatów na członków protektorów komitetów trzeźwości w gub. kaliskiej, dodatkową listę 392 kandydatów z pow. zamojskiego, krasnostawskiego, lubartowskiego i nowo-aleksandryjskiego gub. lubelskiej, oraz listę 310 kandydatów z pow. łomżyńskiego i szczuczyńskiego gub. łomżyńskiej.

dr Kazimierz Stolecki

Opracowanie ze zbiorów e-Biblioteki
Uniwersytetu Warszawskiego (pisownia oryginalna).

Józef Stępień

Dzieje zapomnianego dworku w Baranicy



Miejscowość powstała w I połowie XIX w. Nie wymieniała jej jeszcze tabela z 1827 r., natomiast w 1845 r. istniała tu karczma, która nie używała patentu na dalsze prowadzenie wyszynku. Wówczas wieś należała do gminy Czysta Dębina. W 1858 r. Baranicę wraz z Czystą Dębiną i Antoniówką nabyła Zofia z Matczyńskich Stróżyńska. W 1876 r. dobra te nabył na publicznej licytacji za 108 340 złotych polskich Roman Okulicz Kozaryn, od którego jeszcze w tym samym roku odkupił je za 24 000 rubli Antoni Bajkowski. W 1891 r. istniał tutaj folwark, który należał do Marianny Kowalik. Spis z 1921 r. wykazał we wsi 51 domów i 325 mieszkańców, w tym 1 Ukraińca i 6 Żydów. Natomiast w Kolonii były 2 domy, w których mieszkało 10 Polaków.

W bliskiej odległości od naszego domu w Antoniówce znajdował się dworek należący do dóbr wsi Baranica, którego właścicielami byli Antonina Bajkowa i Stanisław Korczak. Korczakowie byli właścicielami Baranicy do II wojny światowej. Stanisław Korczak był lekarzem medycyny i posiadał prywatną praktykę w Zamościu. Jego syn Jerzy, porucznik Wojska Polskiego mieszkał we dworze aż do 1943 r., kiedy to wskutek denuncjacji miejscowego folksdojca został aresztowany przez gestapo i zamęczony na Zamku Lubelskim w listopadzie 1943 r. Po śmierci Jerzego Korczaka, na zarządcę dworu przybyła pani Nowakowska, która przyprowadziła dość liczne stado bydła opasowego.

W tym czasie w Antoniówce dość często pojawiali się partyzanci, zarówno polscy jak i radzieccy. Z opowiadań moich rodziców Stanisławy i Józefa Stępników zapamiętałem, iż grupy partyzantów, szczególnie nocą „zaopatrywały się” w potrzebne im do przetrwania artykuły spożywcze. Mama dość często wspominała tamte lata, kiedy to pewnego razu do naszego domu przyszła grupa partyzantów radzieckich z niezwykle przystojnym dowódcą, który przyniósł kupon materiału i pytał mamę, czy potrafi uszyć mundur wojskowy, za któ-

ry obiecał wynagrodzenie. Mama w czasie wojny, jak większość kobiet w tym okresie, umiała szyc, dlatego chętnie się zgodziła. Po pewnym czasie dowódca przybył do tzw. przymiarki. Jego ocena musiała dość dobrze wypaść, ponieważ jako wynagrodzenie zostawił złotą 10-rublowkę. Niestety, mama cieszyła się zapłatą tylko do wieczora, gdyż w nocy pojawili się trzej tajemniczy osobnicy, którzy rozkazali oddać złoty pieniążek. Kto to był, czy to „nasi” czy „obcy” - trudno powiedzieć.

Kiedy już dość dobrze było słyszać huk dział i front zbliżał się do naszych miejscowości, pani Nowakowska, jako dziedziczka okropnie bała się radzieckich żołnierzy. W związku z czym, mając na uwadze bliskość naszych zabudowań od dworu, zwróciła się z prośbą do moich rodziców, czy nie mogłaby u nas pomieszkać przez ten trudny i niebezpieczny dla niej czas. Rodzice się zgodzili, mama opowiadała, że dziedziczka spała w tzw. „łóżku z szufladą”, które w nocy służyło do spania, natomiast w dzień, po założeniu specjalnego wieka, jako ława do siedzenia. Pani Nowakowska mieszkała u moich rodziców około 2 miesiące, okręcając się mamy chustą tzw. „pluszówką”. Na pożegnanie pani Nowakowska w podzięce przyprowadziła do nas żrebaka z uprzężą oraz pług skibowiec. Niestety, również i tym razem w nocy przybyło kilku osobników, którzy to wszystko zabrali.

Po pewnym czasie ojciec rozpoznał uprzęż, którą razem z koniem i skibowcem zabrano z naszego gospodarstwa. Pewien pan mocno zmieszał się, widząc jak ojciec dość ciekawie przygląda się uprzęży na jego koniu. Po kilku latach, będąc już na łożu śmierci, ten pan kazał zawezwać mojego ojca. Mój tata, nie znając powodu zaproszenia udał się z wizytą do tego pana. Kiedy przybył do mieszkania, ten człowiek uniósł się na łożu i wyciągnął rękę, prosząc o przebaczenie, mówiąc te słowa: „Józiu, my Tobie zrobiliśmy krzywdę”, tato rękę podał i wybaczył, mówiąc te słowa: „Choć czasy ciężkie, chleba naszej rodzinie nie brakowało”.

Po przejściu frontu za Wisłę, pani Nowakowska udała się w nieznanym dla nas kierunku. Dworek przejęło państwo, przeznaczając na szkołę. Po przeniesieniu szkoły w inne miejsce, dworek rozebrano i wybudowano z niego remizę strażacką we wsi Antoniówka.

syn Józef Stępień

Lech Dziedzic

Meryty, demeryty i ośła korona księdza Wężyka. 220 lat szkolnictwa w Gorzkowie



*Choćby nauczyciel sam umiał pisać,
czytać i rachunki, jeszcze się przecież
nauczycielem zwać nie powinien,
bo to i konował umieć może a przecież
do leczenia koni, nie zaś do uzdrowienia
ludzi jest determinowanym.*

ks. Grzegorz Wężyk¹

Nie wiemy kiedy powstała pierwsza szkoła w Gorzkowie. Być może już w czasie fundacji parafii gorzkowskiej przez biskupa Mikołaja Trąbę, jednak nie zachowały się żadne dokumenty potwierdzające ten fakt. Najstarsza wzmianka o budynku szkoły pochodzi z akt Trybunału Koronnego w Lublinie z 1644 r. Dokument ten mówi o przeznaczeniu przez fundatorów placu pomiędzy szkołą (szholą) a kościołem na chałupę dla plebana². Pewnym śladem, że w Gorzkowie już w XVI w. mogła istnieć szkoła jest informacja o pochodzącym z Gorzkowa studencie Akademii Krakowskiej³. Według opinii J. Chachaja, pomimo istnienia budynku, szkoła przed 1797 rokiem nie funkcjonowała⁴. Pewne jest natomiast, że szkoła parafialna

Meryty, demeryty i ośła korona księdza Wężyka.

w 1797 r. działalność taką podjęła. Działalność tę bardzo skrupulatnie opisał w 1820 r. jej założyciel ksiądz Grzegorz Wężyk w książce zatytułowanej *ORGANIZACYA SZKOŁY GORZKOWSKIEJ TOWARZYSTWU PRZYJACIÓŁ NAUK w Lublinie w celu rozszerzenia oświecenia publicznego, a nayszczególniej rozkrzewienia SZKOŁ ELEMENTARNYCH* zawiązanemu i przez Komisją Rządową Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dnia 7go Lipca 1818 roku zatwierdzonemu, do roztrząśnienia podana i dla łatwiejszego postrzeżenia niedogodności drukiem wyjaśniona⁵.

Ksiądz Grzegorz Wężyk objął parafię gorzkowską w 1796 roku. Był on, jak na ówczesne czasy człowiekiem i kapłanem niezwykle. Jak wskazuje nazwisko, wywodził się z rodziny, która dała polskiemu Kościołowi wielu kapłanów w tym Jana Wężyka, herbu Wąż arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski w latach 1632-1633, sekretarza królewskiego Zygmunta III Wazy, a po jego śmierci interreksa Królestwa Polski oraz Walentego Franciszka Salezego Wężyka biskupa chełmskiego i przemyskiego.

Grzegorz Wężyk urodził się w 1764 r.⁶ na Wołyniu, ukończył Gimnazjum Lubelskie i Seminarium Duchowne w Lublinie, studiował także w Krakowie i Warszawie. Nowy proboszcz bardzo energicznie przystąpił do naprawy wielokrotnie wykazywanego w wizytacjach uchybienia polegającego na braku szkoły parafialnej. W tym celu już w 1796 r. przeznaczył budynek plebanii na taką szkołę. W następnym roku szkoła rozpoczęła swoją działalność. Ksiądz Grzegorz Wężyk wspierał młody (22-letni) dziedzic dóbr Gorzków i Wielkopole Józef Darowski, który uczynił zapis na rzecz szkoły, oraz zobowiązał się do zapewnienia dwuizbowego lokalu dla nauczyciela i szkoły⁷.

¹ G. Wężyk, *ORGANIZACYA SZKOŁY GORZKOWSKIEJ TOWARZYSTWU PRZYJACIÓŁ NAUK w Lublinie w celu rozszerzenia oświecenia publicznego, a nayszczególniej rozkrzewienia SZKOŁ ELEMENTARNYCH* zawiązanemu i przez Komisją Rządową Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dnia 7go Lipca 1818 roku zatwierdzonemu, do roztrząśnienia podana i dla łatwiejszego postrzeżenia niedogodności drukiem wyjaśniona, Lublin 1820, s. 2.

² Archiwum parafialne parafii św. Stanisława w Gorzkowie, Księga Wizytacji, summariusz fundusów praw odmian obligacji Kościoła Gorzkowskiego z księgi Dekretów Wizyty wzięty... Dnia 24 8bris 1796, dalej cytowane jako APG.

³ J. Chachaj, *Łacińskie szkolnictwo parafialne na Rusi Koronnej od XVI do XVIII wieku*, Lublin 2003, s. 136.

⁴ J. Chachaj, *Łacińskie szkoły parafialne na terenie metropolii lwowskiej w epoce nowożytnej*, Lublin 2005, s. 14, Konsultacja mailowa z J. Chachajem 18.05.2016 r.

⁵ Publikacja dostępna w bibliotece cyfrowej KUL, <http://dlibra.kul.pl/dlibra/doccontent?id=1830> i Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Lublinie, wydanie uzupełnione m.in. o mowę ks. Wężyka na otwarcie szkoły, <http://bc.wbp.lublin.pl>.

⁶ Z. Góralski, *Instrukcje ekonomiczne probostwa w Gorzkowie z 1800 i 1815 roku*, *Kwartalnik Historii Kultury Materialnej*, R. XII, nr 1, 1964, s. 78.

⁷ APG, *Etat szkoły parafialnej M. Gorzkowa w powiecie Krasnostawskim guberni Lubelskiej na rok 1845, 1846, 1847 od 1 Stycznia 1845 do ostatniego Grudnia 1847*.

Pierwszymi uczniami szkoły czyli studentami, jak ich nazywał założyciel, w latach 1797-1798 byli⁸:

- Maciej Krawczyk, lat 10, syn Antoniego z miasta Gorzkowa,
- Antoni Mielnicki, lat 9, syn Andrzeja i Zofii z Gorzkowa,
- Józef Szczudło, lat 13, syn Stanisława z Gorzkowa,
- Tomasz Kwapiński, lat 13, syn Jana organisty (przyjęty przez gorzkowskiego proboszcza w 1800 r. *do koni* na folwarku plebańskim, dla którego książd Wężyk napisał specjalną instrukcję obowiązków)⁹,
- Agnieszka Kwapińska, lat 7, także córka Jana,
- Antonina Traczewska, lat 8, córka pisarza miejskiego i pierwszego dyrektora szkoły,
- Katarzyna Mielnicka, lat 11, córka Macieja i Zofii(?) z Gorzkowa (sierota pod opieką wuja Lubeli, prymuska i *cenżorka* szkoły, w 1809 r. wyszła za mąż za Macieja Wójtowicza stangreta u Darowskich, właścicieli Gorzkowa i Wielkopola, miała pięcioro dzieci: Mariannę, Kacpra, Józefa Wojciecha, Antoniego i Wawrzyńca),
- Franciszka Łysakowska, lat 7, z Gorzkowa (córka młynarza?),
- Marcin Jaworski, lat 6, syn Antoniego z Gorzkowa,
- Marianna Kowalska, lat 9, córka Józefa z Gorzkowa,
- Katarzyna Jaworska, lat 8, córka Franciszka z plebanii,
- Aniela Mrozek, lat 6, córka Jakuba z Gorzkowa,
- Stanisław Policha, lat 8, (syn Józefa i Doroty) z Gorzkowa,
- Wojciech Kowalski, lat 12, syn Szczęsnego z Gorzkowa,
- Tekla Chodor (Chodorowska), lat 6, córka Jana z Gorzkowa,
- Marianna Makuch, lat 9, (córka Ignacego i Katarzyny) z Gorzkowa,
- Marianna Lipska, lat 9, (córka Piotra i Zofii) z Gorzkowa,
- Franciszek Fidecki, lat 7, (w tabeli przyjętych na naukę błędnie podano imię Franciszka, syn Walentego i Marianny Kowalskiej) matka wdowa z Gorzkowa,
- Barbara Kędzierska, lat 12, (szlachcianka w 1802 r., w wieku 14 lat wyszła za mąż za Michała Sobieszczańskiego) z Borowa,
- Walenty Gąsiorowski, lat 9, (szlachcic, syn Laurencjusza (Wiktor) i Wiktorii Kędzierskiej) z Borowa,
- Franciszek Polisyński, lat 10, (być może chodzi o Franciszka Polichę, w tabeli przyjętych na naukę błędnie podano imię Franciszka, w 1808 r. *przyjęty do koni* (ksiądz Wężyk napisał dla niego specjalną instrukcję obowiązków) z plebanii.
- Franciszek Rogoziński, lat 11, (szlachcic, w tabeli przyjętych na naukę błędnie podano imię Franciszka, być może syn Józefa i Mariany) z Borowa,
- Feliks Rogoziński, lat 8, z Borowa (szlachcic, być może syn Józefa i Marianny),
- Wojciech Szymniewski, lat 10, szlachcic z Borowa,
- Klara Szymniewska, lat 11, szlachcianka z Borowa,
- Wojciech Żuk, lat 10, (syn Tomasza i Marianny) z Gorzkowa,
- Antoni Grzebuliński, lat 7, (chodzi tu zapewne o Antoniego Grzebule syna Andrzeja i Jadwigi) z Wiśniowa,
- Adam Cichosz, lat 11, (syn Tomasza i Rozalii, ur. w Chorupniku) z Chorzyn?,
- Michał Wrona, lat 7, (syn Józefa i Ewy) z Chorupnika,
- Andrzej (Jędrzej) Czapliński, lat 7, (syn Jakuba i Ewy) z Chorupnika,
- Dominik Kochański, lat 12, z Sobieskiej Woli,
- Karol Zubrzycki, lat 7, (szlachcic, syn Jakuba ekonoma w Orchowcu i Rozalii) z Orchowca,
- Karol Matysiński, lat 11, (szlachcic) z Żółkiewki,
- Stanisław Polisyński, lat 9, (być może chodzi tu o Stanisława Polichę syna Józefa i Doroty) z Gorzkowa,
- Maciej Krawczyński, lat 11, z Gorzkowa,
- Agnieszka Cejlanówna, lat 7, z Gorzkowa,
- Barbara Świetlikowska, lat 10, z Gorzkowa,

⁸ G. Wężyk, *Organizacja...*, tabela, s. 37.

⁹ Z. Góralski, *Instrukcje...*, ss. 81-83.

- Agnieszka Mielnicka, lat 15, (córka Macieja i Zofii, siostra Katarzyny, w 1805 r. wyszła za mąż za szlachcica Franciszka Modzelewskiego) z Gorzkowa,
- Filip Zakrzewski, lat 12, z Gorzkowa.

Jak się wydaje, w pierwszym roku działalności naukę w szkole prowadził osobiście ksiądz proboszcz, bo dopiero od 19 lipca 1798 r. zatrudnił on nauczyciela, zwanego w owym czasie dyrektorem¹⁰. Został nim Paweł Krzewiecki, pisarz miejski w Gorzkowie. Otrzymywał on wynagrodzenie w wysokości 120 zł polskich. Jednocześnie z kontraktem otrzymał on od ks. Wężyka wykaz 27 uchybień względem regulaminu szkoły, za które wyznaczone były kary pieniężne w łącznej wysokości także 120 złotych polskich¹¹. Jeśli chodzi o dodatkowe nagrody dla nauczyciela, to ks. Wężyk napisał tak:

Za nagrodę zaś

1. *będzie miał pomoc JX proboszcza w naukach,*
2. *będzie miał ofiarowaną książkę instrukcji,*
3. *zyska rekomendacją, przyjaźń i względy etc.*

Dodatkowo za sporządzanie miesięcznych raportów o uczniach dla założyciela szkoły, nauczyciel otrzymywał *ordynaryję* czyli wynagrodzenie w naturze w postaci pięciu korcy zboża (jeden korzec to około 120l, więc otrzymywał miał około 400 do 500 kg zboża), które fundował folwark w Wielkopolu (w latach późniejszych było to 6 korcy).

W procesie edukacyjnym nauczyciela wspierali uczniowie, zwani *cenzorami*¹². Cenzorów wpisywano do specjalnej księgi. Cenzorowie i cenzorki mieli do pomocy uczniów, zwanych *audytorami*. *Audytorowie* prowadzili ewidencję zdobywanych przez uczniów punktów dodatnich - *merytów* i punktów ujemnych - *demerytów*. Ewidencja ta była prowadzona w specjalnej księdze zamykanej w szafce na klucz. Innymi jeszcze pomocnikami nauczyciela byli *instytutorowie*. Byli oni wskazywani przez *cenzorów*. Podstawowym obowiązkiem *instytutorów* była pomoc wskazanym uczniom

w nauce oraz zastępowanie *audytorów*. Pomocnicy nauczyciela cieszyli się wieloma przywilejami, mogli uniknąć niektórych kar, na przykład klęczenia, co więcej - mieli prawo wstawiać się za innymi uczniami skazanymi na taką karę. Powód wprowadzenia tego swoistego samorządu uczniowskiego ksiądz Grzegorz Wężyk uzasadniał tak: *Tu już otwieram myśl moją, dlaczego te prawa i urzędy cenzorskie, etc aby uczniowie za wczasu uprawiali się składać rzecz pospolitą sprawować urząd, słuchać prawa i porządnie czynić*. Pierwszą *cenzorką* szkoły była Katarzyna Mielnicka¹³.

Uczeń, jeśli już rozpoczął naukę, to nawet za zgodą rodziców nie mógł bez bardzo ważnej przyczyny zrezygnować z uczęszczania do szkoły. W takim przypadku uczniowie szkoły mieli obowiązek takiego delikwenta pochwytać i przyprowadzić do szkoły, gdzie po otrzymaniu 10 plag zostawał on ze szkoły relegowany.

Proces edukacyjny wspierany był systemem kar i nagród. Za postępy w nauce, właściwe zachowanie itp. uczniowie otrzymywali *meryty*, czyli punkty dodatnie zamieniane niekiedy na nagrody pieniężne (za *merytów* 10 - 1 grosz) najwyższą formą nagrody była pochwała publiczna przed rodzicami i gośćmi oraz prawo do noszenia zielonej kokardki. Za brak postępów oraz niewłaściwe zachowanie otrzymywali uczniowie *demeryty*, czyli punkty ujemne. Niewłaściwe zachowanie karane było stanieniem lub klęceniem koło kominka (kominek znajdował się w rogu sali), najbardziej niepoprawni uczniowie otrzymywali kary cielesne, czyli plagi. Za każde 10 *demerytów* można było otrzymać 1 plagę. Każdy uczeń, poprawiając swoje postępy w nauce lub swoją postawę mógł liczyć na anulowanie kar. Rekordzistą w zbieraniu i unikaniu plag był Andrzej Czapliński z Chorupnika¹⁴. Za szczególne przewinienia szkoła przewidywała karę honorową, czyli oślą koronę¹⁵. Ksiądz Grzegorz Wężyk tak uzasadniał wprowadzenie tej kary: *Sława człowiekowi uczciwemu jest tym, czym się wydaje zdrowie dla żyjącego, drożey on ią szacuje niżeli bogactwa, dla sławy i honoru swego wielu poświęcało swój majątek... i śmiercią pogardza-*

¹⁰ Ibidem, s. 80.

¹¹ Ibidem, s. 23.

¹² Ibidem, s. 51.

¹³ Ibidem, s. 12.

¹⁴ Ibidem, tabela, s. 25.

¹⁵ Ibidem, s. 70.

to... ktoby więc z uczniów nie dbał o dobrą sławę, pogardzał pochwałą, nie miał wewnętrznego wstydu i punktu honoru, ten niewart zwać się uczniem szkoły Gorzkowskiej.

Ośła korona miała być *instrumentem zawstydzenia*, kiedy już inne kary nie przynosiły efektu. Ośła korona była nakryciem głowy wykonanym ze słomy. Czapka ta przyozdobiona była czerwoną chorągiewką z napisem - *Gnuśny i niedbały*, na samej czapce umieszczano napis - *Król Ośłów*. Do korony przymocowywano na nitkach kartkę z napisem *kara na honorze* i rodzajem przewinienia. Na karę oślej korony mógł skazać ucznia jedynie specjalny trybunał składający się z księdza proboszcza, nauczyciela i trzech uczniów *assessorów*. Wyrok, czyli *dekret* musiał mieć formę pisemną i zostać odczytany przed całą szkołą w obecności ukaranego, kłęczącego ucznia. Jeden z uczniów nakładał koronę na głowę obwinionego i wręczał mu krzywy i sękaty kij jako berło. Ostateczną karą było relegowanie ze szkoły.

Pomieszczenie szkoły składało się z jednej izby (druga miała być zapewne przeznaczona na mieszkanie dla nauczyciela), a miejsce, jakie przysługiwało uczniowi zależało od tego, jak był przez szkołę oceniany. Cała szkoła dzieliła się na strony i porządki. Strony były dwie: po prawej ręce dyrektora przy oknach była strona nazywana *rymską*, zaś po lewej jego ręce była strona zwana *grecką*. Po stronie *rymskiej*, nazywanej też starszą, siedzieli uczniowie osiągający lepsze postępy w edukacji, zaś po *greckiej* - słabsze. Porządkiem lub dystynkcją nazywał ksiądz Wężyk przydział miejsc dla uczniów. Najbliższe nauczycielowi miejsca nazywane były *senatem*, tam mieli prawo siedzieć tylko *cenzorowie* i najwybitniejsi z uczniów, za ich plecami siedział *audytor*, *assessorowie* i *instytutorowie*. Najbliżej drzwi znajdowały się miejsca zwane *oślimi*. Uczniowie siedzący po stronie *greckiej* mogli awansować na stronę *rymską*, poprawiając swoje wyniki w nauce, zaś uczniowie ze strony *rymskiej*, opuszczając się w nauce, przechodzili na stronę *grecką*. Taka weryfikacja odbywała się raz w tygodniu, w sobotę.

Władza i sąd w szkole były trójinstancyjne. Pierwszy, najniższy stopień stanowił *cenzor* wraz ze szkołą, drugą instancją był nauczyciel wraz z trzema uczniami, których nazywano *assessorami*,

trzecią i ostatnią instancją był ksiądz proboszcz. Uczniowie mieli prawo odwoływania się od decyzji pierwszej i drugiej instancji, decyzja księdza proboszcza była ostateczna. Uczniowie w przypadku, gdyby dyrektor chciał ukarać kogoś z nich niesprawiedliwie lub w gniewie, mieli prawo zwrócić się o wstawiennictwo do *cenzora*, a jeśli to wstawiennictwo nie skutkowało, to cała szkoła wraz z *cenzorami* miała prawo opuścić szkołę i udać się ze skargą do księdza proboszcza.

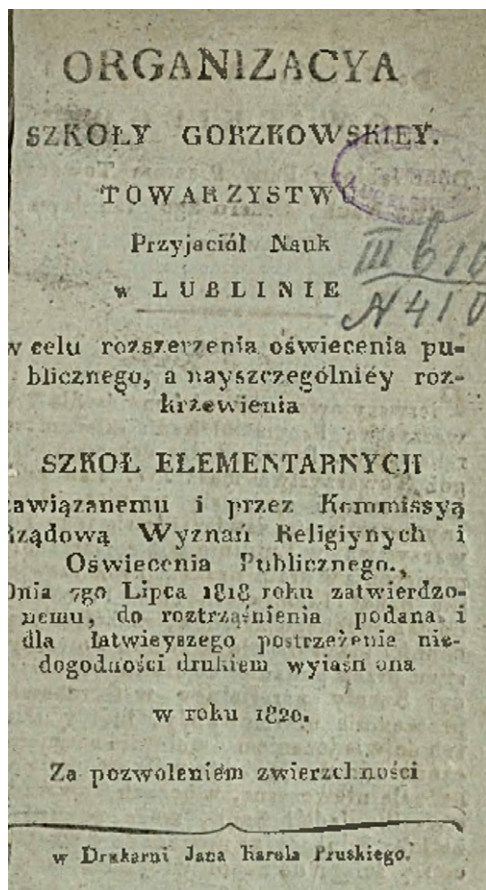
Na zakończenie nauki szkoła wystawiała świadectwo zwane *zaświadczeniem uwolnienia*. Znamy treść takiego zaświadczenia wydanego dla prymuski tej szkoły Katarzyny Mielnickiej¹⁶. *Okazana zdatność i aplikacja JP. Katarzyny Mielnickiej tym więcej skłoniły zwierzchność szkolną do uwielbienia zasługi, im widoczniej przekonywała się też zwierzchność o przykładowym iey nadal w towarzystwie sprawowaniu. Że wiek dziecinny jest skłonny do przyjęcia wszelkich cnoty albo wady wyobrażeń, iuż tym samym zaraz łatwo poznać daie iakie wdalszym życiu z osoby powziąć można nadzieie; i dlatego z prawdziwą serca pociechą spoglądała zwierzchność na tę latorostkę, która z dobrego gatunku wszczepiona i pięknie rosła i dobrych postępów swoich obiecywała owoc. Przychylając się zatym do praw szkolnych i żądania JP. Mielnickiej losu swego, w opiece JP. Lubeli wuia swego wyglądającej następujące daie zaświadczenie; (1)ż też po ciągłym i przykładowym przez lat 2. szkoły gorzkowskiej traktowaniu ostatni w czerwcu rb. zyskała na osob(ę) swoją dyrektora rapport. Z(ż)e JP. Katarzyna Mielnicka z uczciwych rodziców zrodzona córka dostatecznie się wyuczywszy pacierza nauki wiary katolickiej postąpiła w czytaniu przyzwoitym do kommy, w pisaniu z właściwą ortografią, w historii starego i nowego testamentu, z prawdziwą rozumem otwartością i pamięcią. W arytmetyce, co się tyczy ad-dycyi, numeracyi, subtrakcyi, multiplikacyi, dywizyi. z naywiększą łatwością: w attentowaniu szkoły z troskliwą regularnością: w dopełnianiu praw i reguł obyczajności, z chwalebnym podziwieniem; w sprawowaniu urzędów szkolnych z przykładową pilnością zręcznością, zgoła w raporcie pomienionym naznaczona charakterem duszy swoiey iż*

¹⁶ Ibidem, s. 81.

iest roztropna i szczerę serce maia. Ten cały tey panienki zaszczyt w księgi szkolne wpisany i na wzór innym zostawiony, śmiało ściaęną rękę moia do podpisania tey opinii, iż prócz uczenia się robot kobiecych nic ieę więcej z instrukcyi nie brakuie. - Datta w Gorzkowie 19 Jull 1799. roku przy pieczęci kościelney. Podpis WJX. Wężyka Proboszcza Gorzkowskiego.

Szkoła założona przez ks. Grzegorza Wężyka funkcjonowała jedynie dwa lata, jednak już po opuszczeniu przez niego parafii w 1812 r., w oparciu o jej uposażenie wznowiła swoją działalność, która trwa nieprzerwanie do dziś.

Lech Dziedzic



Strona tytułowa książki ks. G. Wężyka z 1820 r. (na podstawie skanu biblioteki cyfrowej KUL).

Stanisław Bojarczuk



Na gospodzie

I

Srul, potomek Izraela,
trzymał karczmę w końcu wioski.
Tu lud „topił” swoje troski
w czas pogrzebu, chrzcina, wesela.

Tu zatargi, tu miłostki,
tu pozyskać przyjaciela,
tu wstydliwych się ośmiela.
Był to zwyczaj praocjowski.

Po kościelnych, karczmy progi
przekraczono uroczyście -
gdzie „gospoda” będą spędzać.

Starzy piją lub gawędzą...
A młódź tańczy tak siarczyście
aż się sypią skry z podłogi.

II

Co za tańce w owym czasie
sielskiej chłopskiej młodzi były!
Rozkosz patrzeć... Boże miły!
Jak się puszcza w obertasie!...

Skrzypeczki zarzępoliły,
Antek ujął Hankę w pasie,
tupnął butem na obcasie
i pięć pary zatańczyły.

Furczą wstążki, kółka brzęczą,
pary zda się górą noszą
w wirze, jak skuci obręczą,

z jakąś werwą sił młodzieńczą.
Dzisiaj tańce się panosząc -
lecz śmiesznością swoją dręczą.

Anna Kamieńska

Tamten świat

Nie wierzę w tamten świat

Ale i w ten świat nie wierzę
jeśli nie przesywa go światło

Wierzę w ciało kobiety
potrąconej przez samochód na ulicy

Wierzę w ciała
zatrzymane w pośpiechu
w geście w dążeniu
jakby właśnie miało się zdarzyć
oczekiwane od dawna
jakby za chwilę
sens miał podnieść
wskazujący palec w górę

Wierzę w oko ślepe
w ucho głuche
w stopę kulawą
w zmarszczkę u skroni
w czerwony ogień na policzku

Wierzę w ciała leżące
w ufności snu
w cierpliwość starości
w słabość nieurodzonych

Wierzę we włos zmarłego
pozostawiony na brązowym berecie

Wierzę że blask
rozmnóżony jest cudownie
na wszystkie rzeczy

Nawet na chrabąszcza
co gmera się na grzbiecie
bezzadny jak mały szczeniak

Wierzę że deszcz
zszywa niebo z ziemią

i że z deszczem tym aniołowie
zstępują widzialnie
jak żaby skrzydlate



Nie wierzę w ten świat
pusty
jak dworzec nad ranem
gdy wszystkie pociągi odjechały
do tamtego świata

Świat jest jeden
zwłaszcza gdy budzi się w rosie
a Pan przechadza się
między krzewami
zwierzęcych i ludzkich snów

Ślub

Biorę sobie ciebie za żonę
Wobec ciemności i wobec ciała

Nie ślubuję miłości
bo było ich za wiele

Nie przysięgam wierności
bo jest wymysłem kobiet

Nie obiecuję szczęścia
bo coś nim jest albo nie jest

Tak biorę sobie ciebie
na nietrwałość chwili i pewność odejścia

Bądź cierpliwa jak Sara
skrzętna jak Rebeka
upragniona jak Rachel
chytra jak Lea
pokorna jak Hagar

Taka jest gorzka mądrość rzeczy



nys. Robert Znajomski

Wołanie

Przemów otwórz swoją przestrzeń
odnów się ty co tylekroć musisz się rodzić
jeszcze starczy ci na jedne narodziny
na jeszcze jedną księgę marność
umrzyj sobie aby narodzić się komuś
ruszaj nie wolno stać na drodze
stratują cię dni i godziny
znowu i znowu bądź

Wychodzę na szeroką plażę
idę pośród psów pijanych przestrzenią
chłopiec rzuca kamyki do wody
morze uprzejmie podchodzi
jestem bo jesteś

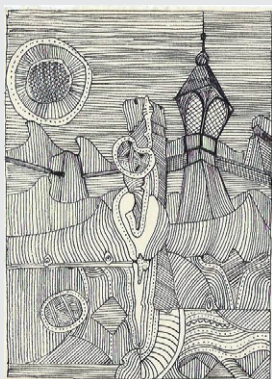
W szpitalu

Przy starej babci
która umiera na korytarzu
nikt nie stoi

Wpatrzona w sufit
już od tyłu dni
ręką pisze w powietrzu

Nie ma płaczu gwałtu
rąk łamania
za mało jest dyżurnych aniołów

Są śmierci uprzejme i ciche
jakby kto ustąpił miejsca
w zatłoczonym tramwaju



rys. Robert Znajomski

Babcia

Wołam

Babcu babuniu

Stoi przy mnie
maleńka krucha
jest w moich ramionach

Czemu czemu tak długo

Nie mogłam
to wszystko było okropne
wysłam za męża
potem były dzieci
potem on umarł
i ten straszny młyn

A ja czekałam
nikt nie był dla mnie dobry
wyobraź sobie
zostawili mnie samą w szpitalu
i uwierzyli że umarłam
powiedz ile razy można umierać
w nocy tak bez żadnego pożegnania
niech umrę wreszcie porządnie
z różańcem
z krwią na języku
aby już w snach twoich win
nie wracać

Rzeczy widzialne i niewidzialne

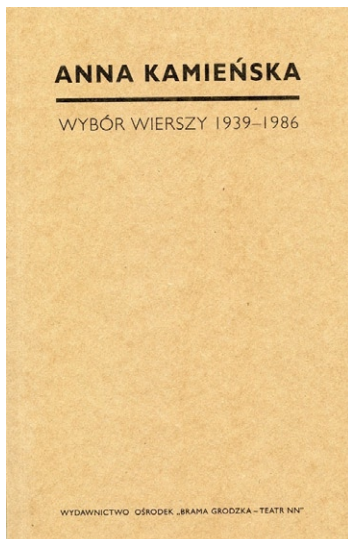
Obróć się świecie ukaż to co niewidzialne
jabłko widzialne ukaż niewidzialne jabłko
świerku widzialny rzuć cień niewidzialnego
widzialna chmuro spuść deszcz niewidzialny
koniu widzialny zarzyj snem grzywiastym niewidzialnym
rzeko widzialna pluśnij niewidzialną falą
wszystkie rzeczy widzialne tryśnijcie niewidzialną głębią
utkany z obu przeciwnych widzialności
widzialny w splocie z niewidzialnym świat prawdziwy
to co ogląda niewidomy wewnętrzny okiem
co słyszy głuchy uchem skrytym
co kocha człowiek nie sercem ale samotnością

Marzena Mariola Podkościelna

Paweł Śpiewak w Muzeum Literackim im. J. Czechowicza w Lublinie



W ramach tegorocznego festiwalu Miasto Poezji wzięłam udział w wyjątkowym wieczorze poświęconym wielkiej poetce - Annie Kamieńskiej. Bardzo ważnej dla krasnostawian, ponieważ Krasnystaw jest miejscem jej urodzenia. W piątkowy, czerwcowy wieczór postać Anny Kamieńskiej wspominali zaproszeni na spotkanie do muzeum goście: Piotr Mitzner, Piotr Matywiecki, lecz przede wszystkim syn Anny Kamieńskiej Paweł Śpiewak, który promował zbiór poezji Anny Kamieńskiej „Wybór wierszy 1939-1986”.



Oto pierwszy fragment ze wstępu Pawła Śpiewaka do wyboru wierszy jego matki:

Mamę pamiętam, jak siedzi w skromnym fotelu o jasnych nóżkach, przy czarnym sekretarzyku delikatnie rzeźbionym, z ustawioną na prawo, na podwyższeniu, wysoką lampą. [...]

Jej zdolność koncentracji, zorganizowanie i pracowitość były czymś absolutnie imponującym. To nie była narzucana sobie dyscyplina, ale nawyk, konieczność. W tym był jej ład, którego nic, nawet najtrudniejsze chwile nie mogły zaburzyć. Nad wszystkim unosił się gęsty zapach świeżo

parzonej kawy. Wokół niej w pokoju stały książki w dwóch rzędach, głównie słowniki i tomiki wierszy oraz liczne bożki, drewniane świątki o dużych, wpatrzonych w nieskończoność oczach, gliniane ptaki i oderwane od jakiejś nieznannej rzeźby dwa złote skrzydła. Kiedy żył mój ojciec, w tym samym pokoju godzinami pracowali oboje. Każde w swoim rytmie i na swój sposób.

[...] W tych wierszach jest całe jej życie. Pierwsza kula, która spadła na Lublin we wrześniu 1939. Jest dom. Rodzinny Lublin i Krasnystaw.

Spotkanie cieszyło się bardzo dużym zainteresowaniem. Przybyło wiele osób, m.in. Eda Ostrowska, Adam W. Kulik, Konrad Grochecki, a także jako pierwszy, którego zastałam w pustej jeszcze, a później pełnej słuchaczy sali, Marian Janusz Kawałko - laureat pierwszej edycji Konkursu im. J. Śpiewaka i A. Kamieńskiej oraz XII Konkursu im. A. Kamieńskiej w bieżącym roku.

Powiedziano wiele podczas tamtego ciepłego i pełnego wspomnień wieczoru o samej poetce, o osobach, z którymi była zaprzyjaźniona lub tylko się zetknęła, przywołano przebyte rozmowy, po których zostało wiele złotych myśli, jak choćby jedna z nich: *Nie ma tak złego spowiednika, na którego człowiek by nie zasługiwał.*

Takie spotkania są koniecznością i mają głęboki sens. Są siłą sprawczą ożywiania poety i jego poezji, która jest plastrem-balsamem na naszą oschłą, zabieganą codzienność.

i wiersze nasze oczyszczone z niepotrzebnych ciał milczące nagie czekać będą zmartwychwstania

*(***, nie wiem czy starczy nam milczenia)*

A. Kamieńska.

Jestem szczęśliwa jeszcze z jednego bardzo ważnego powodu. Otóż Paweł Śpiewak obiecał mi, że przyjedzie do Krasnegostawu na moje zaproszenie. Żywię więc głęboką wiarę, że w roku, w którym w Krasnymstawie wspominaliśmy Annę Kamieńską, w 30 rocznicę jej śmierci, będziemy gościć również profesora Pawła Śpiewaka, jej syna.

Marzena Mariola Podkościelna

Konrad Grochecki

Spotkanie z Jarosławem Trzeźniewskim-Kwietniem w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie



O Annie Kamieńskiej, polskiej poetce i pisarce, mówi się już coraz mniej. Niestety, poetów pamiętają i czytają przede wszystkim osoby zainteresowane sztuką literacką. Panuje opinia, iż poezja to najmniej komercyjna dziedzina sztuki, zresztą słusznie. Jest to jednak smutne, że dzisiejszy świat opiera się przede wszystkim na popkulturze. Sami poeci bardzo często uważani są za wrażliwych dziwaków, snujących często niezrozumiałe opowieści, zazwyczaj w kilkunastowersowej formie. Ta opinia należy jednak do zapędzonych, bezrefleksyjnych osób, jednak nie do końca można ich obwiniać o taki stan - trudno bowiem wysiąść w pędzie z pociągu poruszającego się coraz szybciej i szybciej. Nierzadko tylko poprzez sztukę można podjąć bunt przeciwko władzy, nie tylko totalitarnej. Bardzo ważna rola przypadła poetom po wielkiej apokalipsie XX wieku, czyli drugiej wojnie światowej, gdzie Dekalog nie miał swojej pełnej racji. Pokazali oni wówczas, że w ludziach zostało jeszcze wiele z człowieczeństwa. Dzięki tym, którzy czuli więcej i posiadali głębokie pokłady tego, co ludzkie, tego, co nie dało się wyrwać z ich wnętrza, mamy w sobie dziś wiele dobra. Wiersze z ciemnych czasów to takie okruchy ludzkości, które dziś czynią z nas zaporę przed globalnym złem. To chyba jest najlepszy argument, żeby myśleć o sztuce, czytać ją i cenić. Może wtedy, gdy przyjdzie refleksja nie tylko poeci będą czytali poetów, a może nawet nie tylko poeci będą pamiętali poetów oraz ich ważne myśli i oceny.

Obecnie w Krasnymstawie kończy się Rok Anny Kamieńskiej, poetki-prorokini. Takie upamiętnienie zostało zainicjowane przez redakcję „Nestora”. Z całą pewnością był to wartościowy wybór i - jak miemam - zostanie on w ludziach, którzy będą dalej chcieli opowiadać innym o pisarce. Powiedzmy sobie jeszcze raz, że Anna Kamieńska urodziła się w Krasnymstawie 12 kwietnia 1920 roku i to jest ważne dla nas, mieszkańców tego miasta. Je-

śli fakt ten byłby bez znaczenia dla poetki to czy powstałby taki wiersz?

Krasnystaw

Urodziło mnie miasteczko o dzikiej nazwie półruskiej - Krasnystaw odbijał zachody jarzębinowym pluskiem. Szli zakurzeni żołnierze, chcieli się napić i umyć. Zmienić zawieszoną koszulę, a potem choćby umrzeć. Ciągnęły drogą wozów uciekinierskich pochody I niedojone krowy ryczały. A ojciec jeszcze młody Miał dziką brew jak drzewo osmalone burzami I gniewał się, i jego gniew jak wojna szedł za nami. A matka moja z twarzą ciemną niby Maria Częstochowska Siedziała na tobołach, podróżna jak Polska. I szedł nasz wóz z innymi i skrzyział i zgrzytał, I krzykiem niemowlęcym Niepodległą witał. Lubelszczyzna - najbardziej polska z ziem ojczystych - Podawała łagodne piersi wzgórz i mlekiem czystym Płynęły jej rzeczulki mroczne, dziś odarte Z trzepotu gęsich skrzydeł. Przez wrota otwarte. Patrzył pies zapomniany w budzie przez człowieka I boki wpadłe lizał i nie miał sił szczekać. Urodził mnie ten rok wojenny. Bujne chwasty Wyrosły wyżej okien, a łęk - w posąg zastyl.

(z tomu „Pod Chmurami” 1957)



Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie.
Spotkanie Marzena M. Podkościelna oraz jej gość
Jarosław Trzeźniewski-Kwiecień (Fot. K. Grochecki, 2016 r.).

Będąc pod nastrojem wiersza, zaczniemy mówić o spotkaniu związanym z Anną Kamieńską, która 9 maja 2016 roku o godzinie 16.00 znów odwiedziła Krasnystaw, tym razem w słowach Jarosława Trzeźniewskiego-Kwietnia (prawnika, poety, prozaika, eseisty, publicysty, sędziego, historyka).

Dziewiąty maja nie był przypadkową datą, tego dnia wypadała wigilia 30 rocznicy śmierci poetki. Jednak wszystko ma swój początek i swoje powody, żeby zaistnieć. Wydarzenie to mogło odbyć

się dzięki Marzenie M. Podkościelnej, która zaprosiła gościa na spotkanie do Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie. Trzeba powiedzieć, że dużą otwartością wykazała się pani dyrektor biblioteki Elżbieta Patyk.



Jarosław Trześniewski-Kwiecień opowiadający o korespondencji z Anną Kamieńską (Fot. K. Grochecki, 2016 r.).

Już od momentu, kiedy ogłoszono Rok Anny Kamieńskiej, Marzena M. Podkościelna chciała do miasta sprowadzić osobę bezpośrednio związaną z pisarką. Los sprawił, że знаła ona taką postać, sama o tym nie wiedząc. Okazało się, że jej znajomy z portali poetyckich Jarosław Trześniewski-Kwiecień był właśnie taką osobą. Wiadomość tę organizatorka uzyskała podczas luźniej rozmowy z Jarosławem tuż po jego wieczorze autorskim, który miał miejsce w październiku 2015 roku w Lublinie. Marzena wykazała się niezwykłą determinacją, by to spotkanie doszło do skutku i miało miejsce właśnie w naszym mieście.

Wigilia rocznicy śmierci Anny Kamieńskiej rozpoczęła się od przeczytania przez organizatorkę listu Jakuba Śpiewaka, wnuka poetki. Zaproszony przez Marzenę M. Podkościelną, nie mógł przyjechać tego dnia. Powodem jego nieobecności była msza rocznicowa za duszę poetki. Warto jednak tutaj przytoczyć fragment jego listu:

Żałuję, że nie ma mnie dziś z Państwem, ale wierzę głęboko, że jeszcze będzie okazja do spotkania. Dziękuję z całego serca za Waszą pamięć o mojej Babci. Dziękuję wszystkim, dzięki którym udało się zorganizować to rocznicowe spotkanie.

Z najserdeczniejszym pozdrowieniem, Jakub Śpiewak.

Zakończenie listu wydaje się więc początkiem, być może kolejnego wydarzenia kulturalnego w naszym mieście związanego z osobą interesującej nas pisarką.



Teresa Sobiesiarczyk opowiada o świątecznych losach Anny Kamieńskiej (Fot. K. Grochecki, 2016 r.).

W dalszym ciągu spotkania jego bohater przedstawił nam postać Anny Kamieńskiej. Dowiedzieliśmy się, że miała ona wpłynąć na jego dalszą poetycką drogę, była - mówiąc krótko - jego fizycznym przewodnikiem w początkach jego twórczości. Gość zaprezentował nam też swoją korespondencję z Anną Kamieńską. Między innymi bardzo ciekawy list, w którym dawała wskazówki dotyczące pisania wierszy, wówczas młodemu adeptowi sztuki poetyckiej. Jarosław Trześniewski-Kwiecień opowiedział również o przyjaźni Anny Kamieńskiej z księdzem Janem Twardowskim. Pokazał też nam początek swojej znajomości, jak i również chwilę kiedy dowiedział się o jej śmierci. Nie chcę zdradzać szczegółów tej opowieści, ponieważ mam nadzieję, że już niedługo w „Nestorze” ukaże się wspominiowy tekst Jarosława Trześniewskiego-Kwietnia.

Należy też dodać, że podczas tego popołudnia wiersze Anny Kamieńskiej oraz gościa czytane były przez Julię Gień. Te czytania zrobiły na mnie duże wrażenie. Ich interpretacja nie zamazywała odbioru, przekaz bez zakłóceń - tak można nazwać ich prezentację.

Osoby, które nie były na wydarzeniu mogą jedynie żałować tego, że przez ponad dwie godziny można było dotknąć wspomnień o Annie Kamieńskiej - zatonać w nich i się wcale nie utopić. To było naprawdę ciekawe spotkanie. Dzięki tej inicjatywie, obchody Roku Anny Kamieńskiej dopełniły się, do miasta przyjechała osoba, która znała poetkę, która - mówiąc metaforą - karmiła się jej sercem. Tym samym na zakończenie obchodów powstał początek, mam nadzieję, głębszej pamięci o tej niezwykłej postaci, jaką była Anna Kamieńska, poetka-prorokini.

Konrad Grochecki

Protokół z posiedzenia jury XXII Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej, Krasnystaw 2016

Na XXII Konkurs Poetycki im. Anny Kamieńskiej, odbywający się w roku 2016, zgłoszono 16 tomików poezji wydanych w roku 2015.

Zgodnie z regulaminem, jury ocenia wyłącznie tomiki poetów mieszkających obecnie w województwie lubelskim. Regulamin stanowi ponadto, iż podlegać ocenie mogą tomiki nowe, zawierające teksty, które dotąd nie były publikowane w innych tomach.

Z uwagi na powyższe wymogi regulaminowe, 3 spośród nadesłanych tomików nie mogły podlegać ocenie jury: tomik wierszy Bartosza Konstrata, deklarującego obecnie zamieszkanie w Warszawie, tomik wierszy Stanisława Żurka, który jest wyborem tekstów z wcześniejszych tomików oraz tomik wierszy Zbigniewa Strzałkowskiego, który jest wierną reedycją tomiku z roku 1993.

Ostatecznie jury oceniło zatem 13 tomików wierszy, różnicowanych zarówno w formie edytorskiej, jak i samej poetyckiej wypowiedzi.

Forma edytorska zasługuje w ocenie jury na kilka słów omówienia. Nie od dziś wiadomo, iż słowo poetyckie wymaga odpowiedniej oprawy, zatem na uznanie zasługuje fakt, iż kilka zgłoszonych tomików wyróżnić można za staranną, przemyślaną i nietypową formę edytorską, która skomponowana z poetyckim słowem, będąca jego odzwierciedleniem lub uzupełnieniem, wpłynęła korzystnie zarówno na lekturę wierszy, jak i pozytywne słowa uznania, zarówno pod adresem twórcy, a zwłaszcza wydawcy. Formy publikacji były bardzo różnicowane w tej oto materii, bo obok tradycyjnej, acz wysmakowanej formy graficznej (przemyślana okładka konwenująca z tekstem poetyckim, nierzadko operująca skrótem myślowym; barwa okładki również często wprowadzająca w klimat tekstów; dobór koloru papieru i czcionki; rozłożenie tekstu na stronie), wykorzystano tu nowoczesne formy edytorstwa, przejawiające się m.in. w nietypowych formatach czy rodzaju papieru.

Teksty poetyckie zgłoszone na konkurs były bardzo różnicowane. Od fraszek począwszy, poprzez wiersze, piosenki, limeryki, aforyzmy, na poematach skończywszy. Do oceny trafił również tomik, w którym obraz zdominował tekst. Przeważała jednak bardzo osobista liryka, subtelna i intelektualna. W wielu tekstach pojawiały się odniesienia do motywów i wartości chrześcijańskich. Często również pojawiał się motyw miłości, śmier-

ci, a nawet elementy ezoteryki. W wielu tekstach podziwiać nam przyszło erudycję autorów, ich odczytanie, „oswojenie kultury” - dawnej i współczesnej.

Wśród nadesłanych tomów znajduje się kilka publikacji, których autorkami są kobiety - debutantki, jak i autorki z dorobkiem wydawniczym. Nominowana do nagrody jest Marta Konarska za tom „Kobieta i chmury” (Wydawnictwo Polihymnia). Poetka potrafi malować słowem ładne obrazy poetyckie oddające kreowaną sytuację liryczną.

Nominowana do nagrody jest również Anna Łyczewska „Poza czasem” (Wydawnictwo Norbertinum) za opanowany do perfekcji warsztat poetycki i wielką siłę literackiej kobiecości.

Jury uzurk także tom poezji, który wymaga od czytelnika szerokiego spektrum znajomości kultury - tak humanistycznej, jak i z zakresu nauk ścisłych, któremu nieobca jest realistyczna, jak i magiczna wizja świata, w którym poeta niezwykle sprawnie czerpie z dziedzictwa kulturowego tak poetyckiego, jak i muzycznego, gdzie kultura dawnych wieków zderza się z percepcją człowieka będącego „białym krukiem” współczesności. Za tę ekwilibrystykę erudycji i artyzmu słowa poetyckiego nominujemy tom wierszy „Biały Kruk” Mariana Janusza Kawałki (Wydawnictwo VEDA Sp. z o.o.).

Zainteresowanie jury wzbudził ponadto tom wierszy zatytułowany „Umysł na posyłki i wiersze na przechadzki”, których autorem jest Wojciech Dunin-Kozicki (Wydawnictwo Koziara Tararara - Jarosław Koziara). Liryki osobiste budowane na prozie poetyckiej rozpisanej na wersety z bardzo częstym wykorzystaniem przerzutni wersetowej i międzystroficznej, co urozmaica język wypowiedzi poetyckiej, zasłużyły w opinii jury na nominację.

Nominację otrzymuje także tom wierszy Marka Gędka „Niedokończony poemat” (Wydawnictwo Norbertinum) - za osobisty, wysoce spersonalizowany wymiar tekstów, za umiejętne puentowanie paradoksem, skromnych wierszy bez tytułów, za sztukę zmierzenia się słowem z tym, co ostateczne w życiu człowieka.

Pięć nominacji - jedna nagroda.

Tę nagrodę otrzymuje tom Mariana Janusza Kawałki „Biały Kruk” (Wydawnictwo VEDA Sp. z o.o.).

Decyzję - jednogłośnie - podjęło jury w składzie: Ewa Hadrian - przewodnicząca jury, ks. prof. Krzysztof Guzowski - członek jury, Henryk Radej - członek jury.

Krasnystaw, 20 kwietnia 2016 r.

Nagroda Kamieńskiej dla Mariana Janusza Kawalki

W środę, 20 kwietnia 2016 r. o godz. 17, w sali konferencyjnej Krasnostawskiego Domu Kultury odbyło się uroczyste rozstrzygnięcie XXII edycji Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej na najlepszy zbiór poezji województwa lubelskiego wydany w 2015 roku. W tym roku o nagrodę ubiegało się 16 tomików wierszy wydanych przez 10 wydawnictw.

Spotkanie powitaniem przybyłych gości rozpoczął dyrektor Krasnostawskiego Domu Kultury Damian Kozyrski. Następnie głos zabrała burmistrz Krasnegostawu Hanna Mazurkiewicz, która pogratulowała autorom zgłoszonych książek, wrażliwości i odwagi w „obnażaniu duszy”. Po niej, moderujący spotkanie Stanisław Kliszc, zaprosił zebranych do zapoznania się ze słuchowiskiem poetyckim złożonym z wierszy Anny Kamieńskiej pt. „Domy dzieciństwa”. Audycji zrealizowanej przez Polskie Radio towarzyszył pokaz starych zdjęć Krasnegostawu i okolic.

W dalszej kolejności przedstawiono ideę „Gry miejskiej - Kamieńska”, która od tego roku będzie integralną częścią kolejnych edycji konkursu. Jej pierwsza odsłona została rozegrana 18 kwietnia na terenie Krasnegostawu. Celem akcji było przybliżenie młodzieży postaci urodzonej w Krasnymstawie Anny Kamieńskiej, popularyzacja jej twórczości, a także kształtowanie aktywnej postawy wobec dziedzictwa literackiego i kulturowego. W grze wzięło udział jedenaście trzyosobowych zespołów reprezentujących szkoły z powiatu krasnostawskiego. Postawione przed nimi zadania ułożone zostały w logiczną trasę wyznaczoną śladami Anny Kamieńskiej. Gra łączyła różne formy aktywności - od sprawnościowych przez artystyczne po multimedialne. Najlepsi okazali się uczniowie II Liceum Ogólnokształcącego im. C. K. Norwida w Krasnymstawie. Zwycięstwo przypadło „Drużynie C. K.”, drugie miejsce zajęli „Leonardo i Donatello” z tej samej szkoły, trzecie *ex aequo* przypadło „Atomówkom” (także z „Norwida”) i drużynie „Panowie” z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 im. Bartosza Głowackiego w Krasnymstawie. Pomysłodawca gry Stanisław Kliszc podkreślił bardzo wyrównany poziom drużyn. Dodał, że rozgrywka przebiegła w atmosferze zdrowej rywalizacji, łączącej zabawę z edukacją.

Nagrody ufundowane przez Krasnostawski Dom Kultury, Urząd Miasta Krasnostaw i Czasopismo Artystyczne „Nestor” zwycięzcom „Kamieńskiej” wręczyli: burmistrz Hanna Mazurkiewicz, przewodniczący Rady Miasta Edward Kawęcki, dyrektor KDK Damian Kozyrski i redaktor naczelny „Nestora” Andrzej Misiura.

Kolejnym punktem programu była prezentacja nadesłanych tomików i ich autorów. Krótkie noty biograficzne oraz wybrane fragmenty wierszy odczytał Stanisław Kliszc. Recytacji towarzyszyła wizualizacja z okładkami zbiorów, z których zostały zaczerpnięte.

Następnie odbyła się najważniejsza część wieczoru, czyli odczytanie werdyktu. Jury, w skład którego weszli: ks. prof. dr hab. Krzysztof Guzowski (pracownik naukowy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, laureat XII edycji Konkursu), Ewa Hadrian (Dział Informacji i Promocji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie) i Henryk Radej (polonista, publicysta, recenzent, redaktor książek poetyckich), po wnikliwej lekturze nadesłanych na konkurs tomików poetyckich postanowiło nagrodą główną uhonorować tomik Mariana Janusza Kawalki „Biały Kruk” wydany przez Wydawnictwo VEDA Sp. z o.o. z Warszawy. *Jury urzekł tom poezji, który wymaga od czytelnika szerokiego spektrum znajomości kultury - tak humanistycznej, jak i z zakresu nauk ścisłych, któremu nieobca jest realizm, jak i magiczna wizja świata, w którym poeta niezwykle sprawnie czerpie z dziedzictwa kulturowego tak poetyckiego, jak i muzycznego, gdzie kultura dawnych wieków zderza się z percepcją człowieka będącego „białym krukiem” współczesności.* Nagrody laureatowi i wydawnictwu wręczyli: burmistrz Hanna Mazurkiewicz, dyrektor KDK Damian Kozyrski i dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie Małgorzata Antoniak.

W ścisłym finale konkursu znalazły się także tomiki: „Kobieta i chmury” Marty Konarskiej (Wydawnictwo Polihymnia), „Poza czasem” Anny Łyczewskiej (Wydawnictwo Norbertinum), „Umysł na posyłki i wiersze na przechadzki” Wojciecha Dunina-Kozickiego (Wydawnictwo Koziara Tarara - Jarosław Koziara) i „Niedokończony poemat” Marka Gędko (Wydawnictwo Norbertinum).

W protokole jury przeczytać możemy, że *teksty poetyckie zgłoszone na konkurs były bar-*

dzo zróżnicowane. Od fraszek poczynawszy, poprzez wiersze, piosenki, limeriki, aforyzmy, na poematach skończywszy. Do oceny trafił również tomik, w którym obraz zdominował tekst. Przeważała jednak bardzo osobista liryka, subtelna i intelektualna. W wielu tekstach pojawiały się odniesienia do motywów i wartości chrześcijańskich. Często również pojawiał się motyw miłości, śmierci, a nawet elementy ezoteryki. W wielu tekstach podziwiać nam przyszło erudycję autorów, ich odczytanie, „oswojenie kultury” - dawnej i współczesnej.

Oceniający docenili także wysoką jakość edytorską zgłoszonych zbiorów wierszy: *Kilka zgłoszonych tomików wyróżnić można za staranną, przemyślaną i nietypową formę edytorską, która - skomponowana z poetyckim słowem, będąca jego odzwierciedleniem lub uzupełnieniem - wpłynęła korzystnie zarówno na lekturę wierszy, jak i pozytywne słowa uznania, zarówno pod adresem twórcy, a zwłaszcza wydawcy. Formy publikacji były bardzo zróżnicowane w tej oto materii, bo obok tradycyjnej, acz wysmakowanej formy graficznej (przemyślana okładka konweniująca z tekstem poetyckim, niezrządkiem operująca skrótem myślowym; barwa okładki również często wprowadzająca w klimat tekstów; dobór koloru papieru i czcionki; rozłożenie tekstu na stronie), wykorzystano tu nowoczesne formy edytorstwa, przejawiające się m.in. w nietypowych formatach czy rodzaju papieru.*

Po ogłoszeniu werdyktu, krótkie przemówienie wygłosił zwycięzca konkursu Marian Janusz Kawałko. W kilku zdaniach przedstawił mniej znane fakty z życia Anny Kamieńskiej oraz odczytał kilka wierszy z nagrodzonego tomiku.

Na zakończenie przewodniczący Rady Miasta Edward Kawęcki podziękował Krasnostawskiemu Domowi Kultury i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie za organizację imprezy, która już od ponad 20 lat przyczynia się do promocji poezji, nie tylko na Lubelszczyźnie.

Po części oficjalnej goście mogli spotkać się z laureatem, otrzymać autograf oraz porozmawiać o poezji.

Komunikat KDK

Tom wierszy M.J. Kawałki jest dostępny w hurtowni książek ATENEUM.

Marian Janusz Kawałko - ur. 25.03.1947 r. w Rybiem, pow. chełmski. Poeta, tłumacz poezji Rainera Marii Rilkego, krytyk literacki, publicysta, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii nowożytnej, sprawny organizator oświatowy, posiadający wielostronne zainteresowania. W latach 1994-1998 był dyrektorem Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego przy Ambasadzie RP w Wiedniu, a w latach 2010-2013 pełnił funkcję kierownika Szkolnego Punktu Konsultacyjnego przy Ambasadzie RP w Berlinie.

Jego ważniejsze dokonania literackie:

1. opublikowane zbiory wierszy: „Matnia” (Wyd. Lub. 1974), „Moje wesole miasteczko” (Czytelnik 1977 - nagroda literacka im. J. Czechowicza), „Korzec” (Wyd. Lub. 1986), „Ptak, pokrzyk i miłość” (Wyd. IBIŚ, Warszawa, 1994) - nagroda literacka „Głosu Nauczycielskiego”, „Zmienna ogniskowa” (Kraków 2002 - nagroda literacka im. A. Kamieńskiej, tomik dobrze oceniony m.in. przez Czesława Miłosza), monografia popularnonaukowa pt. „Historie ziołowe” (KAW 1986 - ponad 500 stron druku), wybór wierszy dawnych i nowych pt. „Osuwisko” (Polihymnia 2014),
2. laureat ponad 40 edycji najważniejszych ogólnopolskich konkursów poetyckich (w tym: Warszawskiej Jesieni Poezji, Festiwalu Poezji w Łodzi, Łódzkiej Wiosny Poetyckiej, Konkursu Poetyckiego im. Śpiewaka w Świdwinie, Złotej Lampki Górniczej w Wałbrzychu, Konkursu Poetyckiego im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi),
3. współautor licznych antologii poetyckich, autor wielu recenzji i posłowi do zbiorów wierszy innych pisarzy,
4. autor tekstów piosenek do muzyki Marka Andrzejewskiego (Lubelska Federacja Bardów), Piotra „Kuby” Kubowicza (Piwnica pod Baranami w Krakowie) i Macieja Turkowskiego (Siedlce) - wydane płyty z tekstami poetyckimi,
5. praca przekładowa: poezja metafizyczna Rainera Marii Rilkego (przekłady posłużyły artystom z Piwnicy pod Baranami do stworzenia misterium granego na różnych scenach w Polsce oraz w Wiedniu),
6. autor monodramu opartego na „Spowiedzi”, dziennikach i listach Lwa Tołstoja z tekstami własnych songów do muzyki Piotra „Kuby” Kubowicza z Piwnicy pod Baranami, na podstawie prozy Lwa Tołstoja pt. „Ostatnia godzina” (grał go Teatr KTO w Krakowie w latach 2009-2010).

Marian Janusz Kawałko



Ruchoma przystań. Otwarcie

pielgrzymie nocy
lunarny biały kruku nie-codzienny
z kamienną twarzą
witaj

świadku koronny świadku Boski
żrenico tracących pamięć o wieczności
suflerze siwogłowych
klęczników
gruß Gott

ruchoma przystani dla artystów
i agnostyków
lampo dla
kluczających bezdomnymi ulicami
świata
witaj

sługo dnia książkę nocy
agoro meteorów
zmienniku pulsujących we mnie
kobiecych pocałunków
zszywaj nasze usta w udrękach

poręczycielu nieoczekiwanych w szabat
młoteczniku dla nieskorych
do nawrócenia
bracie przyrodni lży skrzęcej się
na powiece krematorium
szalom

odwieczny towarzyszu białych
płam i czarnobrodych proroków
zenitujących nad moim
domem

szalom

z Ziemi powstałeś
w wiersz się obracaj

Sarkofagi pamięci

już od zarania kwadry biały kruk
markotny i oddalony od
liryki

do dziś nie potrafi uporać się
z uwierającymi sumienia poetów
teczkami skrupulatnie zapełnianymi
ich lękiem pozostawianym
na przypiekającym krześle
III departamentu

niczym są tu zakamarki piekła
w rozumieniu Pana Cogito
ani diabły cierpiące na bóle
rogów

takie metafory nie prostują
sumień zalewanych
gorącym lakiem na podobieństwo
sarkofagów z truchłami
najemników

ich odciski dręczą prześladową
nie zablźniają się
nigdy

proch z palonych nocami
życiorysów nie umiera

nie rozwieją go żadne wiatry
rodowej niepamięci
ani pasaty nad głowami
świętych

biały pątnik nieboskłonu
wyzierając spoza niedokończonych
wierszy
pulsuje jak spazm
Bożego Syzyfa z Golgoty

ciernie przeszłości ranią je
niczym włócznia
rzymskiego despoty

Am Graben (pólerotyk)

Jo-Ann spotkałem nieprzypadkowo
spowitą chłodem Pilgramowskiej
katedry i suknią
której dekoltu nie pamiętam
lecz z pewnością wyprzedzała
moje pożądanie

Wiedeń skrzył się monotonią
najbielszym śniegiem w Europie
środkiem świetlistego Placu
świętego Szczepana przejeżdżały
najdroższe dorożki a ja udawałem
najczerwieńszą różę

kawiarnia przy Am Graben przekwitała
wraz z dopijaną
przez nas kawą i czerwonym winem
woń drogich perfum przebiegała
coraz mniej dyskretnie po mojej
skórze nadchodziła pora skaleczenia
ust nieuleczalnym pocałunkiem

biały kruk księżycy
odbity w oczach Jo-Ann i barokowym lustrze
niczym mnisi szkaplerz zawisł między
serdecznym jej palcem
a płomiennością styczniowego chłodu
osiadającego na moich powiekach

żadne słowo nie wytrzymałoby
takiej pokusy

nasze oddechy nieporadnie wskrzeszały
porażane światłami lamp
królestwo nienasycenia

Matecznik inkwizytora

biały kruk od kilku kwadr
nie może usnąć
choć na moim widnokręgu
ani jednej mrugającej powieki

śpią sinusoidy serca i encefalografy
głęboko hibernują praszczury naszych
przodków snami dzielą się nuty
i viole da gamba portrety trumienne
i stare srebra ołtarzy nie przebierają
w snach łóżka odchodzących staruszek
śnią katafalki i chrzcielnice tkają sny
pajęczaki i bezdomne strzygi

a biały kruk każdej jesieni cierpi
na dyktaturę bezsenności

to specjalne służby pilnują
aby nie zatracił pamięci
o denuncjacjach na zamówienie
i o dreszczach przebiegających
oniemiałą młodość
mojej generacji

konfraterni dyslektycznych złudzeń
i karłowatych pomówień formacji wierszy
udających czerwone krawaty do białych koszul
inkwizytorów

pokolenia z powikłaniami

biały kruk rozpamiętuje czas przeszły
już głuchoniemy ale jeszcze wierny
już piętnowany i gorzkawy w smaku
lecz niepodobny do żadnej zniewagi

nie sposób usnąć w takim
mateczniku - - -

Grypsy donikąd

biały kruk
księżycy niczym siodło
dla rumaka dumnie ugina
swoją krzywiznę

bliższy mu koń skrzydlaty
niżeli osiołek
palmowy

jestem apostatą powtarza
przy pokwitaniu każdej
pierwszej kwadry
to ja cofnąłem morze
przed moją śmiercią i jego
buntownikami to ode mnie
spływa moc
poczucia

błogosławią mnie gwiazdy
moje aureole zorze
odprawiają dla mnie jutro
usypiam swary
budzę nietoperze
wiktoria królewskie nie widzą
beze mnie świata

mógłbym dać więcej gdyż
mniej to rozrzutność
lecz komu nocą do mnie będzie blisko
z jasną supliką
z wykpionym kadiszem

mógłbym dać
wszystko lub więcej niż
wszystko

ale nie tobie który
grypsy pisze

do nieba to znaczy

donikąd

Na Grinzingu

jesienne profile ramion Jo-Ann dostojniały
z każdym kolejnym winobranem
gdy sączył się młody grüner veltliner
namagnesowany półmrokiem
w rozgwarzonym heurigerze
na Grinzingu

jedynie tutaj mogłem przebiegać
w kolorystyce zapachów w odmianach

białego kruka wieczoru wędrującego
z twarzy na twarz z jodlerów Hochtirolu
na covery Andrei Berg
i niepotrzebna mi była cała Europa
do zniewolenia
duszy

wystarczyły jesienne profile ramion Jo-Ann
wykupione z mojej zachłanności
łagodną świetlistością jej oczu
abym ocalał siebie przed
własną nikczemnością

abym wypogadzał czas
przed osieroceniem

Dnia szóstego

gdy w listopadowym transie
dni galopujące ku wieczorom
tracą oddech i aromaty
wówczas nachodzą mnie gorące
naręcza słów

kreślę je sekretnym atramentem
i przenoszę do sennych scenariuszy
pod okiem białego kruka - inspicjenta
w moim teatrum

słowa wychodzą
z podziwu z własnych znaczeń
i nieprzemijalności
a ja przy nich stoję się
ledwie zbiorem rozedrganych
molekuł posługujących
Ukrytemu w Żrenicy Kosmosu

i nie wiem już czy nadal jestem
nosicielem samego siebie
czy jedynie nieudolnym streszczeniem
szóstego dnia narodzenia
świata

Jan Henryk Cichosz

Biały kruk współczesności



Według encyklopedii - „biały kruk” to osobowość, rzadkość, unikat, oraz określenie używane głównie w odniesieniu do rzadkich i cennych książek. Natomiast u poety Mariana Janusza Kawałki biały kruk, to współczesny człowiek, który świadom kulturowego bagażu minionych wieków, w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że jest coraz bardziej osamotniony w tym, jakże drapieżnym świecie. W jego najnowszym tomie wierszy „Biały Kruk”, Księżyc, który przez poetę nazwany jest Białym Krukiem, jest tylko metaforycznym narzędziem, za pomocą którego poeta Kawałko widzi, wie i przeczuwa o wiele więcej.

*Biały kruk
coraz bardziej nieufnie
przepatruje każdą plamkę rzęsy
w moim stawie
każdy werset parkowego podbiału*
(„Porażenie”, s. 10)

Marian Janusz Kawałko wie, że - w dobie satelitów i różnego rodzaju urządzeń elektronicznych, które w ewidentny sposób zdominowały nasz świat i kawałek kosmosu i które na plan dalszy odsuwają i już odsunęły istotne wartości - obowiązkiem poety jest mówienie o tym, co jest ważne w historycznych i współczesnych dokonaniach człowieka, tego z dużej i małej litery.

*biały kruk księżycu wciąż powraca
nad wyzębiony barak kryjący wstydliwie
pukle włosów judzkich niewiast
i dziecięcych osieroconych lalek
którym poskąpiono cyklonu B*
(„Bezgłośny telegram”, s. 78)

Czy nie jest tak, że coraz bardziej stajemy się zakładnikami siebie samych, nieopatrznie rezygnując ze swojego „ja” na rzecz zapatrzenia się w błahostki i błyskotki? Poeta Kawałko doskonale o tym wie, jednakże nie moralizuje, nie ostrzega

i nie cenzuruje, a jedynie przypomina jak bardzo złożoną istotą jest człowiek ze wszystkimi swoimi plusami i minusami. Poeta Kawałko broni jego wartości i wielkości, zarazem ukazując jego małość i upadłość, nie oszczędzając samego siebie.

*misja białego ateusza nie jest
w tych scenariuszach
dostatecznie jasna (mimo jego
świetlistych kolein na moim
czole)
ta wieloznaczność zachowań
mnożąca się w kwadry na kwadrę
wyostrza moje skojarzenia
z tajnym oficerem prześwietlającym
internetowe domeny i biegle
rozczytującym kurzą ślepotę
niektórych poetów*
(„Wierny przybłąda”, s. 88)

Jeśli prawdą jest to, że świat należy do odważnych, to poeta Kawałko jest jednym z nich. Bo jak inaczej nazwać fakt, że próbuje wadzić się z samym Panem Cogito?

*białemu pątnikowi
nie po drodze
z Panem Cogito uwodzicielem
gnostyków i wróżbitów
o helleńskich skłonnościach*

*jakże mi rozsądzać kim jest
gdy się w wielu przygląda
młodzieńcach także w tym
obrzezanym
i ochrzczonym*
(„Jakże”, s. 84)

Jednakże to poetyckie wadzenie ma głęboki i logiczny sens, albowiem Kawałko w zakończeniu tego wiersza stawia zasadnicze pytanie: *jakże z jego przepastnych słów/ ułożyć nowy alfabet/ którym opisałbym prapoczątek/ Wiekuistego/ albo kołatanie dusz/ do własnych sumień/ skoro dziś nie ujawnił Cogito/ w jakim języku Spinoza kusił/ Boga.*

Marian Janusz Kawałko swoim „Białym Krukiem” wpisuje się w kulturę śródziemnomorską nie jako klakier, lecz jako rozważny i utalentowany

poeta, który jest świadom wielkości swej najnowszej twórczości, również niepozbawionej znaczących rys i niedomówień. W zakończeniu wiersza „Ruchoma przystań. Otwarcie” (s. 5), otwierającym omawiany tom, zawarte są jakże ważne słowa: *po-ręczycielu nieoczekiwanych w szabat/ maceczniku dla nieskorych, do nawrócenia/ bracie przyrodni tzy skrzęcej się/ na powiece krematorium/ szalom/ odwieczny towarzyszu białych/ plam i czarnobrodych proroków/ zenitujących nad moim/ domem/ szalom/ z Ziemi powstałeś/ w wiersz się obracaj.*

Lubię i doceniam takich poetów, jak Marian Janusz Kawałko, albowiem ich poezja ocala to, co jest w nas najważniejsze, a jednocześnie stanowi drogowskaz - w jakże rozkrzyczanej otaczającej nas coraz bardziej rzeczywistości - do wielokulturowości.

Jan Henryk Cichosz

Andrzej David Misiura

Ujrzeć Białego Kruka



Marian Janusz Kawałko jest autorem zaledwie kilku tomów poezji, ale każda książka zaskakuje odmiennością tworzywa poetyckiego i jego artystycznym balansem. Poprzedni zbiór „Zmienna ogniskowa”, chociaż tytułowy tekst tego nie podpowiada, obrazuje odwieczne piękno i bogactwo miłości, nakreślone wyszukaną formą dojrzałego twórcy i przekorną grą filozoficznego języka. Autor pozwala czytelnikowi dowolnie ustawiać znaki przestankowe w utworach, czyniąc go współtwórcą swej poezji. Nie widziałem, aby ktoś w polskiej liryce w ten sposób eksperymentował, chociaż od dawna już rezygnowano z interpunkcji w poezji - koniec wersu zastępował przecinek, kropkę podwójna interlinia itp. M.J. Kawałko zastosował natomiast dłuższe wersy, pozwalając je dowolnie dzielić. Odważył się i sięgnął po sukces - nagrodę im. Anny Kamieńskiej i nawet pochlebną opinię samego Czesława Miłosza, co może potwierdzać zdjęcie, na którym noblista pozuje z tomem „Zmiennej ogniskowej” w rękę. Warto

ryzykować w eksperymentowaniu słowem, metaforą, przerzutnią, onomatopeją i bezlikiem innych środków artystycznego kreowania rzeczywistości. Kawałko tak robi.

Musiło minąć kilkanaście lat zanim ukazał się „Biały Kruk”. Ku zdumieniu, przyniósł dla Kawałki kolejną nagrodę im. Anny Kamieńskiej. I ten tom okazał się interesującym eksperymentem literackim lubelsko-chełmsko-krasnostawsko-rejowieckiego poety. Już sam fakt, że autor jest także twórcą nieco zaskakującego projektu okładki, pozwala doszukać się podtekstów zawartych w zbiorze: pełnia i nów - taka kolej rzeczy? Nie całkiem jednak dowierzam poecie, gdy księżycowi przypisuje imię Białego Kruka. Kawałko raczej wkłada w jego słowa własne przesłania, których jest wiele w tym tomie. Wydaje się oczywiste, że pióra tytułowego ptaka przybiera on sam - autor. Ale czy tylko przy księżycowej poświacie?

Fragment wiersza, swoistej litanii otwierającego zbiór:

[...] świadku koronny świadku Boski
żrenico tracących pamięć o wieczności
suflerze siwogłowych
klęczników
grüß Gott

*ruchoma przystani dla artystów
i agnostyków
lampo dla
kluczających bezdomnymi ulicami
świata
witaj [...]*

(„Ruchoma przystań. Otwarcie”)

Cytat pokazuje bogactwo i odmienność metaforyki, jej głębię wieloznaczności. Na podstawie tego utworu można byłoby napisać sporą rozprawkę, a może nawet nowy cykl wierszy.

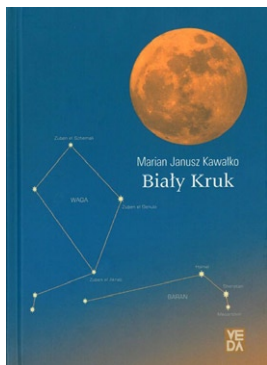
„Biały kruk księżycza” - to taki minikosmiczny towarzysz nocnych rozmów z poetą. Tropiciel naszej rzeczywistości, nie tylko polskiej, ale i europejskiej. Wystarczy zajrzeć do „Białego Kruka”, aby ujrzeć sugestywnie pisane obrazy z jednej strony i nierzadko przejmujące - z drugiej, co jest niewątpliwym znakiem, że autor z każdym tomem wyrasta ponad siebie. Jakby nadrabiał zaległości - z klasą.

Nie moim zamiarem jest pisanie recenzji „Białego Kruka”. Powinni uczynić to lepsi znawcy literackiego tworzywa. Obawiam się jednak, po lekturze tego bardzo spójnego poetycko zbioru, że mogą mieć pewne kłopoty, ponieważ do jego analizy potrzeba zgola innych narzędzi badawczych, niż te, którymi starsze pokolenie krytyków się posługuje. Przykładem mógł być Wacław Tkaczuk podczas promocji tomu w warszawskim Domu Literatury, gdy skupił się na poprzednich zbiorach wierszy M.J. Kawałki, odnosząc się do ówczesnych trendów literackich. Niewiele jednak powiedział na temat „Białego Kruka”. Podobny dylemat miał Adam Kulik podczas promocji w lubelskim Muzeum Literackim im. J. Czechowicza.

Wielowarstwowa poezja Kawałki wymaga uważnej lektury, aby dojrzeć jej właściwe przesłanie. By zderzyć się np. z oglądanym w muzeach martyrologicznych Holocaustem, z problemami wiary, z pytaniami ponadegzystencjalnymi i chociażby z odważną polemiką z Herbertowskim Panem Cogito, z rozważaniami o teofanii, a nawet o trudnej miłości do astralnej Wagi, której książka jest dedykowana... itd. Poetyka pełna symboliki i nieodzownego piękna jest przykładem solidnego warsztatu - udziału serca i myśli. Tych wierszy nie sposób zignorować. Kawałko, podejmując swoje wyzwanie musiał przeczuwać trudności w interpretowaniu wielopłaszczyznowych tekstów, ponieważ na własnej stronie internetowej zamieścił kilkudziesięciohasłowy „Słowniczek objaśnień”. Ułatwia on penetrację kulturowej przestrzeni „Białego Kruka”. Zachęcam do niej, bo naprawdę warto.

A autorowi winszuję powracającej weny.

Andrzej David Misiura



Marian Janusz Kawałko, „Biały Kruk”. Wydawnictwo VEDA, Warszawa 2015, s. 96. Nagroda im. Anny Kamińskiej za rok 2015.

Jan Henryk Cichosz

Moje pięć spotkań z Bojarczukiem



Moje pierwsze spotkanie ze Stanisławem Bojarczukiem miało miejsce w roku 1964. To wówczas pani od polskiego Maria Chaładajowa, która w młodości była żeglarką i współautorką słów do hymnu „Pod żaglami Zawiszy”, zaprowadziła całą naszą klasę do krasnostawskiego, wówczas jeszcze maleńkiego muzeum, w którym zobaczyłem w jednej z gablot, otwarty na stronie z wierszem „Wesele w Rońsku”, tomik „Blaski i dźwięki” zmarłego siedem lat wcześniej Stanisława Bojarczuka. To od tamtej chwili zaczęła się we mnie rodzić fascynacja poetyckim światem. Oliwą do ognia, to też za sprawą śp. Marii Chaładajowej, był wyjazd do Teatru Ziemi Mazowieckiej na spektakl „Chłopi”.

Moje drugie spotkanie z Bojarczukiem miało miejsce w Gminnej Bibliotece Publicznej w Gorzkowie, w której moja ciocia Maria Kowalczyk, wypożyczyła mi wspomniany tomik „Blaski i dźwięki”. Pamiętam jak z zapartym tchem czytałem zawarte w nim wiersze o moich najbliższych okolicach, w tym jakże poetycki sonet o wycieczce Stanisława Bojarczuka i Jego pierwszej miłości na odpust do Gorzkowa.

*Ósmego maja w piękny poranek
(Mazgaj by chyba hamletyzował)
Samowtór z Zochną więc do Gorzkowa
Szlim bez kolegów i koleżanek.(...)*

*Wzgórzystym skrawkiem leśnej nadłączy
Wiodła nas tedy drobna ścieżyna,
Gdzie kępy bagnisk, jaru wężyna,
Którą się lasów Białki cień kończy.*

*Tu się urywa leśna wyżyna,
„Mądre” z źródełkiem czci zabobończej...
U stóp podgórze rzeczka się sączy
I pod urwisko leśne się wżyna.*

Wspomniany sonet „Wycieczka”, z którego wybrałem powyższe trzy zwrotki, to bez wątpienia jeden z najpiękniejszych sonetów, jakie napisał poeta Stanisław Bojarczuk.

Jeśli już o tomiku „Blaski i dźwięki”, to warto wspomnieć, jak swego czasu w krasnostawskich i okolicznych bibliotekach pytałem o ten tom wierszy. I pamiętam, jak te moje pytania wzbudziły po płoch, albowiem w większości „Blaski i dźwięki” były już wycofane z czytelní. Jednym słowem „niepo-trzebny” (nieczytany) Stanisław Bojarczuk miał być przeznaczony na przemiał.



Spotkanie trzecie ze Stanisławem Bojarczukiem, a tak naprawdę z Jego wnuczką Krystyną Husową miało miejsce pod koniec lat siedemdziesiątych minionego wieku. To wówczas p. Krystyna opowiedziała mi bardzo dużo o swoim dziadku i podarowała mi kilka Jego rękopisów. To również wtedy, po kilkudniowych poszukiwaniach na krasnostawskim cmentarzu, odnalazłem zaniedbaną mogiłę, na której, obok uszkodzonego żelaznego krzyża, leżała mało już czytelna trumienna tabliczka Bojarczuka. Pamiętam, jak drżącą ręką wyciągałem ją spod warstwy śniegu i lodu. Dzisiaj w tym miejscu jest piękny pomnik, za co słowa uznania należą się rodzinie poety.

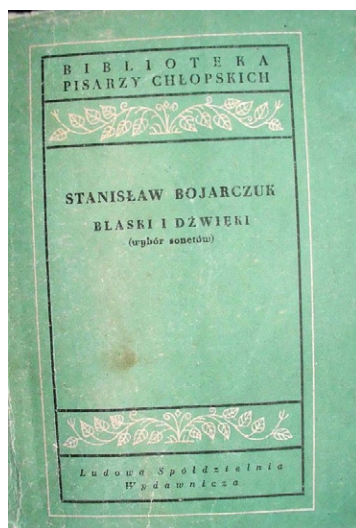
Spotkanie czwarte z Bojarczukiem to moje oprowadzanie Marii Brzezińskiej po śladach poety: nagrana rozmowa z Krystyną Husową w szkole na Krakowskim Przedmieściu. Spacer ścieżkami i drózkami poety, oraz zamyślenia nad Jego mogiłą. Pamiętam, że były to ostatnie dni sierpnia 1982 roku. I pamiętam, jak po skończonym nagrywaniu zawitaliśmy do mojego domu. I pamiętam, że wówczas Maria Brzezińska powiedziała mi, że nagrywany przez nią dzisiejszy materiał jest tzw. materiałem zastępczym, ponieważ cenzura nie pozwala redaktor Brzezińskiej wyemitować jej audycji o Łobodowskim.

W tym czasie w „Tygodniku Chełmskim” i „Posłowi” - organie prasowym Grupy Literackiej

„Słowo” pisałem o Bojarczuku. Ponadto „Słowiarze” wpadli na pomysł ogłoszenia konkursu poetyckiego Jego imienia, co też uczynili. O Bojarczuku pisał także na łamach „Zielonego Sztandaru” Edward Cimek, a ja także zamieściłem o Bojarczuku słów kilka w „Kulturze i Życiu” oraz kilkakrotnie w „Tygodniku Zamojskim”.

Spotkanie piąte to moje, jakże mozolne szukanie kliszy i autora zdjęć, na których został utrwalaony po raz ostatni w lipcu 1955 roku, Stanisław Bojarczuk. To dzięki Władysławowi Fedorowiczowi, ówczesnemu dyrektorowi Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie, który udzielił mi celnej wskazówki, odnalazłem w Chełmie na osiedlu tzw. Dyrekcji, pana Jerzego Tyburka - notabene siostrzeńca Józefa Nikodema Kłossowskiego. O ile pamięć mnie nie myli, było to w roku 1986. To wówczas, po jakże uroczym spotkaniu, z rąk Jerzego Tyburka otrzymałem kliszę, z której u Leszka Zdżyłowskiego zrobiłem odbitki. Rok później kliszę wraz ze zdjęciami przekazałem do lubelskiego muzeum na ręce Józefa Zięby, z prośbą, bo takie było życzenie autora zdjęć, aby w razie ich publikacji było wiadomo kto jest ich autorem. Niestety, do chwili obecnej, a piszę o tym z przykrością, fakt ten jest przez wspomniane muzeum, a także tych wszystkich, którzy pisząc o Bojarczuku, publikują te zdjęcia, pomijany.

Jan Henryk Cichosz



Zuzanna Guty

O sybarycie w drewniakach i długich butach z mocnymi cholewami



Bojarczuka warto przypominać szczególnie teraz, w sześćdziesiątą rocznicę śmierci poety, przypadającą 31 grudnia 2016 roku. Dążyły przecież do tego krasnostawskie grupy poetyckie „Słowo” oraz A4. Grupa A4 w 2006 roku opublikowała własnym nakładem specjalne wydanie „Poetyckich Łanów” w całości poświęcone twórczości Bojarczuka. Próby podejmowane po wydaniu tomu „Linie liryki”, przygotowanego przez Józefa Ziębę, powodują, że odkrywa się go wciąż na nowo. Batalia o upowszechnienie kolejnego zbioru trwała bowiem pół wieku. Kolejne inicjatywy przyniosły sesję popularnonaukową poświęconą utworom poety, dzięki inicjatywom śp. Mariusza Kargula. W sesji tej, określonej wówczas jako „Festiwal Sztuk Krasnych”, brali udział badacze - literaturoznawcy oraz pisarze Andrzej Stasiuk, Stefan Darda czy Sławomir Rudnicki. Po tym festiwalu Radio Lublin wyemitowało obszerną reporterską relację w terenie, z wykorzystaniem nowych technik redaktorskich. Poprowadziła ją Maria Brzezińska, obecnie emerytowana, aczkolwiek czynna autorka słuchowisk kulturalnych. Brzezińska pojechała tam wtedy, by przejść drogą miejsc znanych i ukochanych poety. Efektem tego okazał się reportaż z udziałem m.in. Leszka Janeczka, Dariusza Włodarczyka i Mariusza Kargula. Corocznie w Krasnymstawie odbywa się konkurs „O sonecianą skibkę”, w którym bierze udział uzdolniona literacko młodzież. Rok 2014 krasnostawskie czasopismo „Nestor” ogłosiło Rokiem Stanisława Bojarczuka. Także obecnie nie brakuje inicjatyw związanych z przypomnieniem tej twórczości. Dość jednak o inicjatywach. Jedną z nich był przygotowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną, poprowadzony przeze mnie wykład „Twórczość Stanisława Bojarczuka w świetle archiwaliów”. Był zwieńczeniem ponad już ośmioletnich badań nad tą liryką. Poezja Stanisława Bojarczuka wydała mi się niegdyś wyjątkowa - z wielu powodów, nade wszystko chyba z powodu nieznanej mi opozycji:

chłopskiej przynależności i w tajemniczy sposób podjętej formie sonetu, wyrastającej, co prawda, z liryki ludowej, niemniej uznawanej za klasyczną, trudną i wyrafinowaną. Dlatego też postanowiłam dziś pokusić się o krótką refleksję dotyczącą krasnostawskiego lirnika.

Jeśli Bojarczuk żyje w świadomości czytelników, to w ramach obiegowych schematów. Wokół tych sonetów był budowany specyficzny mit, który okazał się bardzo nośny. Okazuje się, że trwa do dzisiaj. O składnikach tego mitu będzie mowa poniżej. Pierwszym elementem tego mitu jest propagowanie stwierdzenia, iż Bojarczuk był dziwakiem, który poświęcał się pisaniu poezji w każdym miejscu i czasie, nawet pasąc krowy na pastwisku. Wówczas miała mu służyć za stolik podeszwa buta. Bardzo zastanawiające jest to pisanie na podeszwie buta. Niecodzienna metoda, zauważona w szkicu Józefa Nikodema Kłosowskiego, napisanym ponad ćwierćwiecze temu, okazuje się kolejnym składnikiem mitu. Skąd taka refleksja? Otóż spuścizna po Stanisławie Bojarczuku znajduje się w Muzeum Literackim im. Józefa Czechowicza w Lublinie. Była przedmiotem wieloletnich badań Józefa Zięby, dyrektora tej placówki. Zaowocowało to artykułami drukowanymi na łamach czasopism oraz redakcji tomu „Linie liryki” w 2009 roku. Znajdujące się tam materiały pozwalają dostrzec w Bojarczuku nie tylko autora tysiąca sonetów, jak głoszą obiegowe opinie, ale również poematów lirycznych i nieznanego szerszemu gronu odbiorców pamiętnika „Dzieje grzechu”. Materiały te pozwalają ponadto zweryfikować sposób przedstawienia tej spuścizny, układ zbioru czy trafniej określić skodyfikowane przecież założenia sztuki poetyckiej. Założenia - dodajmy - programowe.

Wróć jednak do kwestii buta. Nie jestem w stanie stwierdzić, jakiego rozmiaru byłby taki but, jak miałby wyglądać (krowy są pasane przecież w okresie letnim), niemniej jaki by nie był, to karta formatu A4 czy nawet zeszytowego się na nim nie zmieści. Może się na nim zmieścić natomiast kartka mała, coś w rodzaju fiszki. Takowe karteczki w zbiorach Bojarczuka w muzeum można znaleźć, co więcej noszą znamiona rękopisów, pisane małą estetycznym, na tle innych, pismem mogą okazać się utworami pisanymi na podeszwie buta. Takową, wątpliwą wszakże tezę siliłam się postawić

w tym wystąpieniu, szukając ciągle dowodów na to, że jest to niemożliwe. Moje niejako ogromne problemy, wynikające z górnolotnego języka Kłossowskiego oraz tego, jak często dąży się do zbudowania poetyckiego mitu, rozwiązała bardzo krótka wypowiedź wnuczki poety, która wydobywała ze swojej pamięci sytuację, gdy dziadek pasał krowy. Pani Krystyna Hus, jako wnuczka niejednokrotnie w tym zajęciu uczestniczyła i nie pamięta takich okoliczności tworzenia sonetów. Jak zaznacza, o wiele bardziej prawdopodobne jest to, iż robił to wieczorami, gdy cała społeczność wiejska gromadziła się w celach można powiedzieć towarzyskich, grano wtedy w karty i rozmawiano. Stanisław Bojarczuk w takich spotkaniach nie uczestniczył, być może stąd opinia dziwaka. Należy też pamiętać, że w tamtych czasach wyedukowane były dzieci jedynie krasnostawskiej inteligencji, kiedy chłopskie nie miały właściwie szansy na rozwijanie własnych pasji, umiejętności. Dwie klasy szkoły powszechnej równały się wówczas z umiejętnością pisanie i czytania. Nie dość tego, jak twierdzi pani Krystyna, osoby wypowiadające się na ten temat są zupełnie pozbawione wyobraźni odnośnie realiów panujących na wsi w regionie lubelskim jeszcze w jednym aspekcie. Stanisław Bojarczuk nie mógł pisać na podeszwie buta, ponieważ... go nie miał. Mógł mu służyć do tego bat specyficznie zakończony, tak aby stworzył „coś w rodzaju pulpitu”.

Nie miał, ale miał, jak poświadcza zdjęcie z 1925 roku, Bojarczuk posiadał całkiem przyzwoity strój. Elementem tego „wyściowego” stroju (odświętnego wszakże) są długie buty, na które zwrócił uwagę Andrzej Stasiuk w rozmowie z Mariuszem Kargulem wydrukowanej na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Stasiuk podkreślał wtedy ich wartość: *Bo buty to ważna sprawa. Takie buty mój dziadek nosił. Dziadek Piotr ze strony ojca. Wysokie do kolan. Pamiętam te buty, ich pastowanie, dbanie. Były artykułem prestiżowym, jak dzisiaj samochód.*

Drugą częstokroć podejmowaną i już sprowowaną kwestią jest rzekomy brak działalności społecznej. Jak bardzo jest to mylące, pokazuje artykuł Artura Borzęckiego ogłoszony na łamach „Nestora”, a potem uzupełniony w „Zapiskach Krasnostawskich”. Autor prezentuje tam działalność samorządową i polityczną Bojarczuka. Zmienia to

w moim przekonaniu powszechnie panujący obraz poety wylaniający się z literatury, z badań nad tą twórczością. Zmienia właśnie w podobny sposób, jak opinia Stasiuka dotycząca nieszczęsnych butów. Stanisław Bojarczuk w latach trzydziestych i czterdziestych, był, choć mniej wykształcony, ale poważany wśród krasnostawskiej inteligencji.

Wskazane dwa elementy, jak pokazują badania, stały się bardzo ważnymi składnikami mitu poety. Powodowały zwrócenie uwagi na biografię, zamiast zbliżać czytelnika do wyjaśnienia zawikłanych problemów poetyki tych dzieł czy wytłumaczyć jej autentyczną odmienną. Pochylenie się nad tekstem i rękopisem daje taką możliwość. Mit, choć intrygujący, miał na celu zwrócić uwagę środowiska lubelskiego i może swój cel już spełnił, może należy sięgać obecnie do relacji świadków życia poety, aby pewne wątpliwości wyjaśnić i przestać mówić o Bojarczuku jako o „chłopskim Petrarce piszącym sonety na pastwisku”, ale o erudycie, który dzięki niezwyklej chłonności intelektualnej zdecydowanie przekroczył własne możliwości, przypadku socjologicznym wartym badań i poszukiwań. Na pewno jest jeszcze wiele do wyjaśnienia.

dr Zuzanna Guty

Monika Nagowska



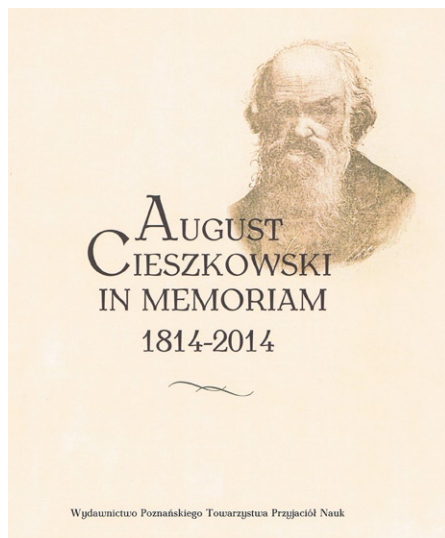
In memoriam



August Cieszkowski - XIX-wieczny filozof, reformator oświaty rolniczej - prowadził aktywne życie wypełnione działalnością naukową, społeczną i patriotyczną. Jego dokonania doczekały się upamiętnienia i szczególnego uhonorowania w 2014 roku, kiedy to obchodzono uroczystości 200. rocznicę urodzin i 120. rocznicę śmierci tego wielkiego Polaka. Najnowsza publikacja mu poświęcona stanowi zbiór referatów wygłoszonych na Walnym Zgromadzeniu Członków Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk oraz na konferencji naukowej zorganizowanej przez PTPN wspólnie z Wydziałem Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu

im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wydarzenia te miały miejsce 18 grudnia 2014 roku na zakończenie obchodów jubileuszowych. Środowisko naukowe uczciło pamięć Cieszkowskiego nie tylko ze względu na jego znaczące dokonania, ale również dlatego, że był on współzałożycielem PTPN oraz trzykrotnie jego prezesem. W publikacji znalazły się opracowania na temat jego relacji z Krasińskim, Mickiewiczem i Norwidem oraz teksty o prowadzonej pracy organicznej i programie społecznym, a także mesjanizmie charakterystycznym dla filozofii Cieszkowskiego. Analizie poddano treści zawarte w dziełach filozofa - „Ojczyzna nasza”, „O ochronach wiejskich”, a nawet w pamiętniku pisanym w latach 1837-1839. Swoje referaty opublikowali: Jerzy Fiećko, Elżbieta Lijewska, Przemysław Matusik, Wiesław Ratajczak, Zbigniew Przychodniak, Andrzej Wawrzynowicz, Katarzyna Fedorowicz oraz nieoceniona Joanna Pietrowicz - kustosz zbiorów specjalnych Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. To dzięki zbiorom fotografii i dawnych publikacji założyciela, jubileuszowe wydawnictwo zostało wzbogacone ciekawym materiałem ilustracyjnym.

Monika Nagowska



„August Cieszkowski in memoriam 1814-2014”. Red. Katarzyna Meller. Poznań: Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 2015, ISBN 978-83-7654-310-9, ss. 173.

Monika Nagowska

Mędrca szkiełko i serce poety



Wiersze bywają jak niewysłane listy - czekają na właściwy moment publikacji, ukryte lub zapomniane. Zbiór poezji Józefa Banaszaka zatytułowany w taki właśnie wymowny sposób - „Jak niewysłany list” - powstawał w ciągu wielu lat i został opatrzony podtytułem „Wiersze starsze i nowe”.

Autor nie spieszył się z poetyckim debiutem. Jest kierownikiem Katedry Ekologii w Instytucie Ochrony Środowiska Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Jego życie zawodowe od początku związane było z nauką, a w szczególności z naukami biologicznymi. Pracował m.in. w Zakładzie Biologii Rolniczej i Leśnej PAN w Poznaniu oraz instytutach badawczych związanych z ochroną przyrody. Był też rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy. Jest wybitnym specjalistą z dziedziny ochrony przyrody i środowiska oraz autorem (współautorem lub redaktorem) 50 książek, w tym podręcznika akademickiego i katalogów owadów zapylających. Prowadzi w tym zakresie badania naukowe, również w odległych zakątkach świata i jest redaktorem naczelnym „Polskiego Pisma Entomologicznego”. Energii wystarcza mu również na twórczość zupełnie innego rodzaju - literaturę faktu i poezję. Najpierw ukazał się tomik „Zachwycenie czasem” (2004), potem powstawały kolejne utwory i to one złożyły się na tę ciekawą publikację opatrzoną posłowiem Dariusza Tomasza Lebiody i obszerną notą biograficzną. W dorobku autora są też wspomnienia „Czas nie przeszedł obok” (2008), dzienniki „Wybrałem Bydgoszcz” (2011) i książka „Pochwała codzienności” (2013). Józef Banaszak wiedzie pracowite i twórcze życie, zgodnie z przesłaniem pewnego filozofa - coraz bardziej znanego czytelnikom „Nestora” - Augusta Cieszkowskiego. To właśnie dawnemu właścicielowi dóbr w Surhowie i Wierzenicy poświęcił część swojej aktywności. W 2003 roku stworzył Klub Profesorów „Wierzenica”, który oprócz prowadzenia działalności naukowej i wydawniczej, upowszechnia idee wyznawane

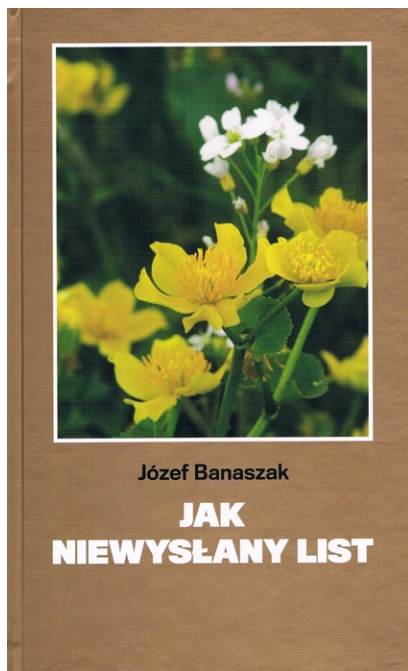
przez Augusta Cieszkowskiego i honoruje osoby propagujące dokonania tego wielkiego Polaka. Sam Józef Banaszak jest autorem, współautorem lub redaktorem interesujących wydawnictw: „Spacer Aleją Filozofów. August Cieszkowski i jego intelektualna spuścizna” (2004), „Co po Augustcie Cieszkowskim? Spojrzenie po 120 latach” (2012), „Nie tylko Wierzenica. O Augustcie Cieszkowskim w dwusetną rocznicę urodzin” (2014). Gdy w 2014 roku ukazała się książka „Na skrzydłach myśli... August Cieszkowski i ziemia wierzenicka w poezji”, nie mogło w niej zabraknąć utworów Józefa Banaszaka.

W najnowszym tomiku wierszy również znaleźć można pełne natchnienia wędrówki po Wierzenicy i okolicach. To nie tylko zasługa Cieszkowskiego. Autor pochodzi z tych stron i są one dla niego nieustającym źródłem inspiracji i wspomnień. Oprócz motywu czasu i wszechogarniającej przyrody, jest to stały element tej poezji, choć interpretowany wciąż na nowo, w odmienny sposób.

Rozważania o upływie czasu przewijają się przez kolejne wiersze i stanowią dla tego zbioru swoistą klamrę. Tom rozpoczyna wiersz „Zachwycenie czasem”: *Czas nas zabija./ Zatrzymał się na starej fotografii./ kiedyś... zatrzyma się dla mnie.* Stara fotografia jest niczym wrota czasu, przez które widać dawny świat, gdzie można spotkać się z nieżyjącym ojcem („Było - minęło”, „Ojciec”). Autor podkreśla, jak krótkie i kruche jest życie: *Gramy codzienną rolę życia./ czekając na to prawdziwe,/ aż stanie się wspomnieniem* („Prawdziwe życie”), *Miedzy wczoraj a jutrem/ - jedno dzisiaj, jak życie jętki/ [...] Moje teraz jak oddech krótkie* („W poszukiwaniu dzisiejszego czasu”), *Czekając na lepsze jutro./ zgarniamy codzienność/ jak okrusz chleba na dłoń* („Okrusz życia”). W zbiorze można odnaleźć wiersze o przemijaniu, starości, niedomaganii, a także wspomnienia o osobach, które już odeszły i o miejscach, w których kiedyś się było szczęśliwym. Wiersze o tym, jak tracimy w biegu kolejne dni i że wspomnienia mają ozdrowieńczą moc, są jak opatrunki na serce. Ostatni utwór w tomie, to „Przyszłość”, w którym autor przywołuje imię syna siedzącego w czerwcową noc na tarasie: *A ja./ no cóż, z mojej gwiazdy/ będę miał taką dobrą perspektywę.* Pomiędzy początkową niepokojącą frazą o destrukcyjnej roli czasu a końcowym

pogodzeniem z tym, co niesie przyszłość jest całe spektrum refleksji, obserwacji zdarzeń, namysłu nad otaczającym światem i własnymi przeżyciami oraz wyraźnie odczuwalny... stoicki spokój.

Skąd taka właśnie postawa? Warto przyrzec się filarom podtrzymującym ducha autora, one sprawiają, że jego przesłanie pełne jest pozytywnych treści. Najbliżej, tuż przy boku poety jest ktoś niezwykle - kto wodzi na pokuszenie i sprawia, że ziemską rzeczywistość staje się siódmym niebem („Wspomnienie”, „Dedykacja dla zielonookiej”, „Zielonooka boginka”). Oparcie daje też autorowi wszechobecna przyroda - narcyzy z dawnego ogrodu przy domu rodzinnym, astry, lwie paszcze, po wielokroć wspomniane kaczęce (które zdobią również okładkę tomiku), kwitnące drzewa, pszczoły, motyle i ptaki. Obserwacja przyrody dostarcza odpowiedzi na wiele pytań ogólnej natury, pozwala lepiej zrozumieć świat i samego siebie oraz dostrzec prawidła, według których rozgrywa się wielki spektakl życia. Przyroda nie stanowi jedynie pola do obserwacji. Naukowiec podczas tej poetyckiej wędrówki zostaje w domu, a wyrusza osoba poszukująca odpowiedzi na pytania o przyczynę zdarzeń znaczących ludzki los. Okazuje się, że natura, która jest przez niektórych utożsamiana z dzikością, nieposkromionym żywiołem - jest tu przykładem boskiej harmonii. Nie tylko kobiety są darem Boga, ale darem takim są również kwitnące sady, łąny rzepaku. Pszczoły to wysłanniczki nieba, migdałowiec opowiada o Bogu kwitnąc. Dla poety przyroda jest czymś uświęconym: *Wróciłem ze świątyni./ Jedna z jej kolumn/ to jesion wyniosły./ Druga z jej kolumn/ to sosna zwyczajna./ Po społu z dębem obłoki wspierają./ Czwarta i setna to graby i buki/ w świeżę obleczone zieleń/ na obrzęd odwieczny* („Świątynia”). Nie tylko drzewa w aureoli zieleni budują tę sakralną przestrzeń, cała przyroda jest elementem boskiego planu i to czyni ją silną i niepokonaną: *Daję wiarę zielonej trawie./ która miętko ściele się pod stopami./ A gdy zajdzie potrzeba/ rozsadza twardy asfalt* („Wiara i Nadzieja”). Siła natury, za którą stoi Stwórca nie tylko daje wiarę i nadzieję, ale uczy też pokory: *Pokorniej na wiosnę./ gdy każesz hiacyntowi pachnąć./ I przywołujesz czajkę, która koziołkuje z radości powrotu* („Pokora”), *I znów mam ochotę uklęknąć/ przed bładozielonym krzewem./ przed*



Józef Banaszak, „*Jak niewysłany list: wiersze starsze i nowe*”.
Bydgoszcz: Związek Literatów Polskich Oddział Bydgosko-Toruński,
2015, ISBN 978-83-65150-18-9, Biblioteka „Tematu” nr 104, ss. 93.

cudem życia,/ i tajemnicą przemijania („Wiosenny spacer przez park”). Dzięki przyrodzie Bóg świadczy o swoim istnieniu: *Patrzę na odradzającą się/ zieleń,/ wychodzę pod nocne niebo/ i wiem,/ wiem że jesteś!* (***)Fascynujesz mnie, niewidzialny...). Poeta dostrzega Boga nawet w środku pola, gdy przystaje *pod parasolem skowronka/ zastępującego [...] organy* („W oczekiwaniu Wielkiej Nocy”). Tak pojmując świat - podległy boskim prawom i upływowi czasu - Józef Banaszak nie tylko prowadzi pracę naukową, ale też poszukuje środków wyrazu w języku poezji. Zdaje się przez to mówić, że dowód naukowy to nie wszystko: *Słowa mają moc życia/ i moc śmierci./ Słowa stają się ciałem* („Tak i nie”).

Niezapisane myśli pozostają w ukryciu, jak niewysłany list. Dobrze się stało, że przesłanie autora - naukowca i poety - poczta dostarczyła do Krasnegostawu na czas.

Monika Nagowska



Józef Banaszak

Było - minęło

Odwiędziłem stary dom w Wierzenicy.
Chodziłem po rozbitym szkle okien,
w których próżno wypatrywałem rodziców.
I ciotka nie stała na progu.
Na zarośniętym podwórku nie grzebały kury.
Żeby chociaż ogród pozostał,
w którym powinny zakwitać narcyzy.
Poszedłem nad staw,
spotkałem już inne motyle.
Tylko drogą szedł ojciec.
Dobrze go widziałem.
Tak, my się stale spotykamy
na tej fotografii.

Kicin, 3.03.2003 r.

Stare kobiety

Wypalone kobiety
nie rozpościerają sieci spojrzeń,
idą skrajem chodnika
przytłoczone wspomnieniami.
Wypalone kobiety
niosą swoją mądrość jak garb
razem z siatkami wypełnionymi warzywami.
Wypalone kobiety
są smutne smutkiem pustych wierzb nad strumieniem
zazdrosne o młode pędy
przeglądające się w wodzie.
Wypalone kobiety
budzi krzyk niedobrego snu.
Gasną ze wzrokiem utkwionym
w łąkę dawnych westchnień.

Bydgoszcz, 6.05.2000 r.

Józef Banaszak

Jak niewysłany list

Opuszczone powieki
zamknęły obrazy obejrzone,
jak odwrócone kartki albumu.
Te wschody słońca,
i tylekroć oglądane pola w Wierzenicy,
i las, i staw zarośnięty trzcinami.
A tych ptaków śpiewy zasłyszane
- co z nimi uczyniłeś?
Czy masz je tam, dla siebie tylko?
A myśli, przecież ich nie spisywałeś, ojciec!
Może przysły
jak bańki mydlane
- tęczowe kapsułki czasu,
może pozostały ukryte, na zawsze z tobą,
jak niewysłany list?

Bydgoszcz, Miedzyń, 13 i 25.06.2005 r.

W poszukiwaniu dzisiejszego czasu

Między wczoraj a jutrem
- jedno dzisiaj,
jak życie jętki:
Między przeszłością a przyszłością
- jaka chwila?
Moje teraz jak oddech krótkie.

Przyszłość

I rechet żab będzie dochodził znad wody
i motyl wpadnie do pokoju
tylko...
no właśnie,
Dominik, mój syn,
będzie siedział na tarasie w noc czerwcową.
A ja,
no cóż, z mojej gwiazdy
będę miał taką dobrą perspektywę.

Ewa Dobrzańska-Mochnej

Przeżyłem wiele lat,
tak prędko zleciało...”

Inne wiersze... Dlaczego? Bo pisane z perspektywy czasu, z życia wzięte, z doświadczeń, emocji, zapamiętań, pasji. Wyjątkowo osobiste, subiektywne. Proste strofy z potrzeby serca. To najbardziej adekwatne określenia poezji Stanisława Chmielewskiego.

Utwory zawarte w zbiorze to wiersze późne, pisane przez człowieka doświadczonego wiekiem, obciążonego pamięcią, świadomego powolnego odchodzenia. Są próbą ucieczki przed nieuchronnym przemijaniem. Autor pragnął utrwalić w nich to, co dla niego istotne, ocalić przed zapomnieniem ważne dla niego chwile i związane z nimi odczucia. Chciał zapisać na kartce obrazy, które przechowywała jego pamięć. Stanowią rodzaj dziennika pisanego nie dzień po dniu, ale z perspektywy czasu, dlatego niepełnego, fragmentarycznego.

Większość utworów powstała u schyłku życia, w latach 1981-1987, ale autor, poprzez liczne retrospekcje, odtwarza w nich wiele wydarzeń i przeżyć z przeszłości. Rysuje w nich portret człowieka bogatego we wszelkie doświadczenia, jakie może nieść długie życie w skomplikowanych czasach:

*Przeżyłem wiele lat tak prędko zleciało
Ileż to dobrego i złego w życiu się działo
W bycie człowieka nie wszystko lekko idzie
Kilka chwil w dobroci a reszta w biedzie
(„Przemijanie”)*

Perspektywa śmierci wywołuje w nim nostalgę, wrażenie pustki:

*Nic mi nie pozostało w dzisiejszej dobie
Pożegnać lud kolegów i spocząć w grobie
(„Życie”)*

Choroba napęla strachem, przynosi ból i uczy pokory:

*Coraz smutniejszy się staję
Choroba zamęczy nie ustaję
Trzeba cierpliwości bo boli
I wierzyć że przejdzie powoli*
(„Choroba”)

Wspomnienia wydają się być ucieczką przed problemami starości, łagodzą sytuację odchodzenia. Poeta przywołuje w wierszach uniesienia pierwszej miłości, moment zauroczenia przysłą żoną, doświadczenia żołnierskie, spotkania w gronie przyjaciół. Wspomina z rozrzwinięciem zmarłą córeczkę Irenkę, rodziców. Niezwykle urokliwe są wśród jego utworów liryki poświęcone uczuciu, jakim darzy żonę. Miłość do niej jest wciąż żywa, wydaje się być niezmiennie nią zauroczony. Z wiekiem uczucie to staje się coraz bardziej trwałe, świadome, żarliwe:

*Jesteś dobrodziejstwem i pragnieniem
A twoje szczęście moim marzeniem*

*Tyle lat szczęśliwej obecności
Może zakończyć tylko nic wieczności*
(„Węzeł losu”)

W utworach poeta kreśli obraz szczęśliwej miłości małżeńskiej, która przybiera romantyczny kształt, jest związkiem dusz wybranych, rodzi się z pierwszego wejrzenia, znosi przeciwności:

*Miłość małżeńska dogłębna i stała
Potęguje staję się twarda jak skała*
(„Miłość małżeńska”)

Z liryków miłosnych wyłania się obraz niezwykle oddanych sobie ludzi, stanowiących dla siebie oparcie, wiernych zobowiązaniom:

*Uczucie do ciebie nigdy się nie zmienia
Co świadczy że człowiek się ożenił
Wzajemnie rozkoszą oczarowani
Pędzimy życie w zacisznej przystani*
(„Miłość”)

Drugą miłością lirycznego bohatera jest natura. Afirmuje jej niezwykłą urodę. Czerpie radość

z obcowania z nią, daje się uwieść jej urokowi. Portrety natury kreśli sugestywnie, są zmysłowe, kolorystyczne, dynamiczne. Mimo wyraźnych niedostatków warsztatu literackiego, wiersze jej poświęcone wyróżniają się obrazowością i dużym ładunkiem emocjonalnym. Można wśród nich odnaleźć zarówno typową poezję pejzażową jak i wzniosłe utwory o charakterze hymnicznym. Wypowiadający się w nich bohater to człowiek wrosły w rytm życia natury i od niej zależny, umie czytać jej znaki, pilnie jej się przygląda. To zatroskany gospodarz, który w pocie czoła uprawia ziemię - matkę. Czuje się z nią zespolony, wyraża wdzięczność za to, co od niej otrzymuje:

*Nasza ziemia hojna i litościwa
Dźwigasz plon więc wkrótce żniwa
Serdecznie ci za niego podziękuję
Bo niezawodnie i obficie plonujesz*
(„Siew”)

Motyw ziemi żywicieli jest obecny w wielu tekstach, przybiera ona niejednokrotnie kształt arkadyjski za sprawą obecności pracowitych pszczół, miodnych uli, złotych łanów zbóż, pól facelii, sadów bogatych w jabłonie, śliwy, grusze. Praca na roli daje bohaterowi poczucie szczęścia, jest zajęciem, które ukochał:

*Ziemia matko ma droga i kochana
Po tobie chodzę od nocy do rana
Ciebie orzę i na tobie pracuję
Ciebie uwielbiam z serca i miłuję*
(„Moja droga”)

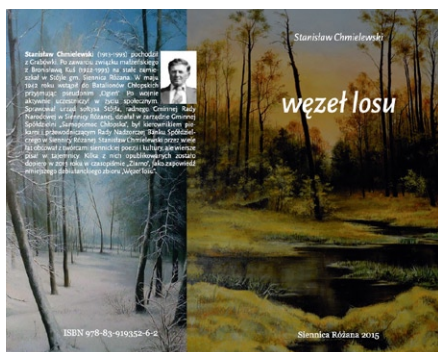
Wiele tu z Rejowego zadowolenia z ziemiańskiego bytowania i radości z obcowania z naturą. Wiele też z Rejowej stylistyki. Mówiąc o gospodarskim życiu, poeta często używa zdrobnień, wyliczeń, posługuje się prostym językiem, używa potoczizmów.

Bohater liryczny w tym, co robi wydaje się być spełniony, sam przyznaje, że w życiu odnalazł kierunek. Jego filozofia jest prosta: nie stać, nie czekać, działać, być aktywnym, przekształcać, określić siebie:

*Nie należy życia pytać o jego cel
Należy mu tylko nadać kierunek
Wielkość bytu to życie człowieka
Które przyszło z pustymi rękoma
A opuści go bogate i przekształcone
Pozostawiając tylko ślad istnienia
(„Życie człowieka”)*

Wiersze Stanisława Chmielewskiego są zapisem czasu, osobistym pamiętnikiem i próbą „pozostawienia śladu” dzięki sztuce. To typowa poezja ludowa z całym jej repertuarem tematów, motywów i stylistyką.

Ewa Dobrzańska-Mochniej



Stanisław Chmielewski, „Węzeł losu”, Biblioteka Ziarna, Siennica Różana 2015, ss. 80.

Stanisław Chmielewski (1913-1993) pochodził z Grabówki. Po zawarciu związku małżeńskiego z Bronisławą Kuś (1922-1993) na stałe zamieszkał w Stójle, gm. Siennica Różana.

W maju 1942 roku wstąpił do Batalionów Chłopskich, przyjmując pseudonim „Ogień”. Po wojnie aktywnie uczestniczył w życiu społecznym. Sprawował urząd sołtysa Stójły, radnego Gminnej Rady Narodowej w Siennicy Różanej, działał w zarządzie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, był kierownikiem piekarni i przewodniczącym Rady Nadzorczej Banku Spółdzielczego w Siennicy Różanej.

Stanisław Chmielewski przez wiele lat obcował z twórcami siennickiej poezji i kultury, ale wiersze pisał w tajemnicy. Kilka z nich opublikowanych zostało dopiero w 2013 roku w czasopiśmie „Ziarno”, jako zapowiedź debiutanckiego zbioru „Węzeł losu”.

Stanisław Chmielewski



Rzeka

Promienie słoneczne dzień otworzą
Rzeka z oddali spojrzy przebudzona
Zielona wiklina na powitanie zaszumi
I skłoni się płynącej łodzi w zadumie

Wkrótce dotrze w morskie głębiny
By za jakiś czas wrócić na chwilę
Wygładzić piasek, popieścić plażę
I przypomnieć wszystko o czym marzę

28 czerwca 1987

Pełnia

Dachy srebrem księżycą przetkane
Domy bez ładu rozproszone
Jak rozrzucona talia kart
I poświęty połyskującej czar

Bez ruchu i zbędnego cienia
Daleko nad wzbijającą się wieżą
Źródło blasku srebrnych promieni
Odbija się jak w lustrze i mieni

I nie wiesz czy to dzień czy noc
Zdaje się tylko że głośniejsz biją godziny
I mieszkania są pełnie marzeń
Tchną domowym ciepłem kominy

20 stycznia 1987

Węzeł losu

Moje marzenia często mnie mylą
A życie jest dla mnie tylko chwilą
Więc po cóż mam tylko śnić i śnić
Moja dusza i zmysły powinny żyć

Węzeł mojego losu jest ścisły
Kochać kogoś to dla niego żyć
Kochać i wielbić czynem i myślą
Bo miłość jest dratwą złością

24 lipca 1986

Prace z XIII powiatowego konkursu
„Legendy ziemi krasnostawskiej”
organizowanego przez Powiatową Bibliotekę
Publiczną w Krasnymstawie

Nagrody:

1. Paulina Sadowska: Kto straszy na zamku w Krupem? Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej,
2. Maja Wieleba: Legenda o studni pełnej łez. Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie,
3. Nikola Rokita: O dzielnej Zosi. Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej,
4. Paweł Zaręba: Legenda o księciu Siennickim. Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej,
5. Michał Zwolek: Legenda o Janie, Annie i powstaniu miasta Krasnostaw. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie.

Wyróżnienia:

1. Wiktoria Falenta: Legenda z Józefowa. Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej,
2. Karolina Hać: Dzielny koń Bzitek. Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej,
3. Mikołaj Kalisz: Opowieść o dobrym Michale i Siennie. Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej,
4. Natalia Kalisz: Legenda o tym, jak Karpik i Stawik skarb znaleźli. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie,
5. Michalina Klusek: Legenda o złotych karpach. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie.

Prace zauważone:

- Klaudia Skubisz: Powstanie jeziora. Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie,
- Szymon Drożdziel: Legenda o dzielnych zakonnikach augustianach i ich niezwykłych ziołach. Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie,
- Julia Badzio: Legenda o powstaniu Zażółkwi. Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie,

I nagroda Paulina Sadowska

Kto straszy na zamku w Krupem?

Dawno, dawno temu, a może całkiem niedawno, zapewne parę wieków temu, przy rozlewisku rzeki Wieprz, nad małym jeziorkiem wybudowano zamek. Z biegiem lat rozrósł się w okazałą warownię. Przez lata zamek miał wielu właścicieli, ale w pamięci przodków okolicznej ludności najbardziej zasłynął szlachcic Paweł Orzechowski. Był on bardzo dobrym człowiekiem, majątnym, szlachetnym, utrzymywał dobre kontakty z sąsiadami. Ponadto był mężczyzną niezwykle urodziwym i niejedna panna wdychała za nim po nocach. Wiele z nich szukało pracy na zamku, aby móc usługiwać temu panu. Jedną z dziewcząt - Maria z Krupskich, daleka krewna pierwszych właścicieli dworu, zaważnęła sercem Pawła.

Początkowo rodzina szlachcica nie godziła się na ten związek, bo wybranka była uboga i, jak to, taki pan miał poślubić nic nieznaczące dziewczę? Wkrótce jednak przekonani o sile miłości młodych postanowili nie zważać na zwyczaj i wyprawić zakochanym wesele. I wtedy jak grom z jasnego nieba pojawiła się na zamku wiadomość, iż ówczesny hetman Zamojski zapragnął wydać swą siostrzenicę sierotę za szlachetnego Pawła Orzechowskiego. Rodzina szlachcica zbyt wiele zawdzięczała Zamojskim, aby odmówić tej prośbie. Młodzi byli zrozpaczeni. Maria nie wyobrażała sobie życia bez ukochanego. Nie widząc innego rozwiązania, ubrała się w uszytą już suknię ślubną, na głowę włożyła welon i z murów zamku rzuciła się do jeziora. Tego nie zniósłby najsilniejszy człowiek. Paweł nie mógł pogodzić się z okrutnym losem i z żłości pękło mu serce.

Niedługo potem zamek popadł w ruinę. Przez lata zmieniali się jego właściciele, lecz nikt

nie zdołał przywrócić mu dawnej świetności. Nikt też nie zaznał na zamku takiego szczęścia jak Orzechowscy. Niektórzy mówili też, że na zamku straszy, ponoć nocą słychać było w komnatach żałosny płacz albo przeraźliwe wycie. Po drugiej wojnie światowej z zamku pozostały jedynie ruiny, nikt już nie chciał go odbudować. Ale po dziś dzień śmiałkowie, którzy udadzą się nocą w okolice ruin, mogą usłyszeć delikatny kobiecy głos albo płacz. Czasem nad mokradłami przy zamku pojawia się złowieszcza mgła, z której wyłania się unosząca się w powietrzu biała postać. Biała Dama przechadza się dziedzińcem, a czasem ukazuje się w zamkowych okiennicach. Z kolei w bezchmurne noce po murach zamku przesuwa się tajemniczy cień, który układa się w postać szlachcica w kontuszu. Przypuszczalnie są to duchy Marii i Pawła. Za życia nie mogli być razem, po śmierci wędrują po zamkowych komnatkach.

Paulina Sadowska

Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej

II nagroda Maja Wieleba

Legenda o studni pełnej łez

Dawno temu, w niewielkiej mieścinie Szczekarzew żył chłopiec o imieniu Antoni. Jego rodzice zmarli, gdy był mały, więc trafił on pod opiekę zakonników jezuitów, którzy zamieszkali w znajdującym się tam klasztorze. Z wiekiem rozpoczął przygotowania do wstąpienia do zakonu.

W mieście władzę sprawował starosta posiadający piękną, niebieskooką córkę o imieniu Katarzyna. Zarządzał on miastem sprawiedliwie i cieszył się szacunkiem okolicznych mieszkańców.

Młody Antoni bardzo lubił przebywać na dziedzińcu klasztoru przy studni. Znajdowała się tam ona od niepamiętnych czasów - nikt nie wiedział, kto ją wykopał. Było to jednak dla mieszczan bardzo ważne miejsce. Szczekarzew był bezpiecznym grodem, dopóki nie zdarzył się najazd Tatarów. Wszyscy ludzie bali się ich panicznie. W popłochu kryli się więc w murach klasztoru, który stanowił

najbezpieczniejsze miejsce w mieście. Znajdująca się tam studnia pozwalała przetrwać mieszkańcom nawet najdłuższy najazd. Tatarzy dotychczas nie mogli wtargnąć do klasztoru, ponieważ otaczały go wysokie i solidne mury.

Właśnie w tych okolicznościach Antoni po raz pierwszy ujrzał przy studni córkę starosty, która również schroniła się w klasztorze. Dziewczyna bardzo polubiła chłopca i mimo smutnych okoliczności, w jakich się poznali, młodzi czuli się bardzo dobrze w swoim towarzystwie. Antoni coraz częściej myślał o obraniu innej drogi życiowej niż śluby zakonne. Dziewczyna na znak odwzajemnienia ciepłych uczuć Antoniego, podarowała mu swój mały, skromny pierścionek na pamiątkę ich spotkania.

Tej samej nocy Tatarzy przypuścili ostateczny atak na Szczekarzew. Bitwa na murach klasztoru była długa i wyczerpująca dla obu stron. Niestety, najeźdźcom udało się wdrzeć do klasztoru. Działy się tam potem rzeczy straszne i okrutne. Wielu obrońców miasta poległo, byli wśród nich również mnisi. Niestety, Katarzyna podzieliła los kilku innych kobiet i została uprowadzona przez Tatarów. Nie było nikogo, kto mógł jej pomóc. Antoni został w bitwie ciężko ranny i wiele tygodni zajęło jego leczenie.

Miasto po napaści długo podnosiło się z ruin, ale ocalali z pogromu mieszkańcy powoli odbudowywali swoje życie. Kiedy Antoni dowiedział się, że jego przyjaciółka Katarzyna przepadła w tatarskiej niewoli i słuch o niej zaginął, rozplakał się szczerze. Z sercem przepełnionym żalem poszedł na dziedziniec i wrzucił do studni, przy której spędził najmiłsze chwile w życiu, ofiarowany przez dziewczynę pierścionek. Nie potrafił bez bólu przechowywać pamiątki po tragicznie przerwanych, dopiero rodzącym się uczuciu. Niedługo potem Antoni przyjął śluby zakonne. Niestety, zatopiony w studni pierścionek sprawił, że woda - do tej pory najlepsza w mieście - stała się niezdatna do picia.

Była w smaku słona, jak łzy młodego mnicha, a echo dobiegające z głębi studni przypominało szloch pięknej starościanki, która przepadła bez wieści na zawsze.

Maja Wieleba

Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie

II nagroda Nikola Rokita

O dzielnej Zosi

To historia o dzielnej Zosi, mieszkance małej wsi Borowica, w której ludzie postawili kiedyś Bogu piękny kościół. Mieszkają tu ludzie odważni i dumni. Część mieszkańców to osoby starsze, pamiętające czasy II wojny światowej i niemieckiej okupacji. To oni opowiadają swoim wnukom o skromnej, dobrej dziewczynie i strasznych czasach wojennych.

Zosia mieszkała ze swoją matką i tatkiem oraz bratem bliźniakiem Jankiem. Mieli niewielkie gospodarstwo, krowę Czarnulkę, konika i kilka kur. Żyło im się dobrze i spokojnie. Dzieci pomagały rodzicom w polu i przy obrządku, a były przy tym grzeczne i zgodne. Rodzeństwo było bardzo z sobą życzliwe. Spędzali wspólnie czas wolny od pracy i nauki. Latem pływali w rzece, zimą lepiłi bałwana i grali w śnieżki.

Lata mijały, Zosia wyrosła na piękną pannę, Janek stał się przystojnym kawalerem. On silny i chętny do pomocy, ona delikatna, ale odważna. Bardzo lubiła śpiewać, a głos miała czysty i dźwięczny. Janek żartował, że pewnie jakiś słowik siedzi cichutko wśród gałązek zawstydzony śpiewem jego siostry.

Niestety, nadeszła wojna. Tatko poszedł na służbę do wojska, Janek został w domu, żeby opiekować się mamusią i siostrą. Ktoś musiał zająć miejsce gospodarza. Radzili sobie jak umieli, czasem lepiej, czasem gorzej. Jednak gdy do wsi dotarli Niemcy, sytuacja się zmieniła. Wszyscy się bali o siebie, o dzieci, o przyszłość.

Janek nie chciał siedzieć w domu, czuł, że powinien walczyć o rodzinę i o Polskę. Postanowił przyłączyć się do partyzantów. Wielu jego kolegów ze wsi podjęło taką decyzję. Nie chciał uciekać z domu w tajemnicy, dlatego zwierzył się mamie i siostrze. Zosia bardzo się złościła.

- Jak on może zostawiać nas same?! Jak damy sobie radę?! - pytała. Jednak młodzieniec już postanowił i nie chciał zmienić decyzji.

Cichutkie łzy płynęły matce, gdy stawiała Jankowi krzyż na czole i na odchodne powiedziała: „Niech cię Bóg ma w swojej opiece”. Zosia poszła

z bratem na skraj lasu i tam przy pożegnaniu umówili się, że co niedziela przyniesie mu prowiant. Mieli się spotkać nad rzeką, tam gdzie rosną wysokie trawy.

W ciągu kolejnych dni dużo się wydarzyło. Niemcy dowiedzieli się o mężczyznach, którzy dołączyli do partyzantów i w zemście spalili wieś. Prawie wszyscy stracili domy, na szczęście udało się ocalić kościół. To tu ludzie szukali w modlitwie pociechy i nadziei.

W niedzielę Zosia po mszy świętej, tak jak obiecała bratu, naszykowała, co mogła i ruszyła w drogę. Mamusia prosiła, by nie szła, bo czas niespokojny, że Janek zrozumie. Ona jednak nie słuchała. Przecież obiecała bratu! Trochę się bała, ale gdy dotarła do łąki pełnej stokrotek, zapomniała o strachu. Pochylała się raz po raz, by zebrać kwiatki na wianek i cichutko sobie śpiewała. Gdy wianek był już gotowy, włożyła go na głowę i poszła dalej. Dochodziła już prawie do umówionego miejsca, gdy nagle w oddali zobaczyła patrol niemieckich żołnierzy. Wiedziała, że może mieć kłopoty, dlatego szybko ukryła się w trzcinach. Niemcy byli bardzo blisko. Zosia skuliła się cichutko przy samym brzegu rzeki i modliła się, ale brzeg był w tym miejscu stromy i śliski. Dziewczyna straciła równowagę, wpadła do wody. Żołnierze krzyczeli, bo chcieli dowiedzieć się, kto tam jest. Ona milczała. Wtedy jeden z nich wrzucił do rzeki granat... Woda podniosła się, wysoką falą uniosła ze sobą ciało nieżywej Zosi.

Ludzie mówią, że w letnie niedziele, gdy na łąkach pełno stokrotek, można usłyszeć piękny, dźwięczny śpiew dziewczyny, a zazdrosne słowiki siedzą cichutko w koronach drzew.

*Nikola Rokita
Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej*

III nagroda Michał Zwolak

Legenda o Janie, Annie i powstaniu miasta Krasnystaw

Przed wiekami, nad brzegami malowniczo wijącej się rzeki założono dwie wsie - jedną na prawym, a drugą na lewym jej brzegu. Okolicz-

ne ziemie były żyzne, więc wioski rozrastały się, a mieszkańcy bogacili, uprawiając ziemię. Z czasem niektórzy porzucali uprawę roli, aby zająć się handlem. Opuszczali oni na długie miesiące rodzinne strony, aby wędrować po świecie i przywozić zakupione tam towary. To sprawiało, że miejscowości szybko stały się tętniącymi życiem osadami.

Osada na prawym, wyższym brzegu nazywała się Krasne, z uwagi na piękne widoki, jakie roztaczały się z jej wzgórz. Niższy brzeg zajmowała miejscowość Staw - położona na ziemiach podmokłych i czarnych jak smoła. Pomimo bliskości, w jakiej miejscowości te były położone, ich mieszkańcy rzadko się ze sobą spotykali, ponieważ oddzielająca je rzeka była szeroka, a mostu nie było. Czasami pływały po niej małe czółna, a niektórzy śmiałkowie próbowali pokonać ją wpraw, ale było to bardzo niebezpieczne. Tylko zima zbliżała ludzi. Kiedy rzekę ścinała gruba warstwa lodu, można było się po niej swobodnie poruszać.

W Krasnym mieszkała pewna rodzina, która parała się handlem. Patriarcha rodu Szymon, mężczyzna słusznej postury, o mądrych, szarych oczach wiele podróżował. Niejedno w świecie widział, ale lubił wracać tutaj, gdzie były jego korzenie. Czekala na niego zawsze ukochana żona i gromadka dzieci. Przywoził przeróżne towary, które sprzedawał miejscowym, a za zarobione w ten sposób pieniądze rodzinie żyło się całkiem dostatnio.

Najstarszym z dzieci kupca był Jan, najbardziej podobny do ojca: spokojny, wytrwały, dojrzały nad swój wiek. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dorośnie na tyle, aby ojciec zechciał zabierać go w podróże. Za każdym razem, kiedy ojciec przybywał do domu z kolejnej wyprawy, widział, że jego najstarszy syn staje się coraz bardziej dojrzały i mężny. Aż nadszedł czas, że Szymon zgodził się zabrać Jana w kolejną podróż. Wyruszyli latem, przejechali przez wiele miast i wiosek, kupowali materiały na ubrania, przyprawy, narzędzia, których w ich osadzie nie było. Dla żony Szymon znalazł piękne ozdoby na szyję, dla dzieci smakołyki, nowe stroje. Zakupił też nowe nasiona, aby sprawdzać je na swoich polach.

Droga była długa, wozy obciążone towarami szły wolno, tak że do Krasnego wrócili dopiero

późną jesienią. Mróz już skuł lodem rzekę. Dzieci cieszyły się tym, bo mogły urządzać sobie zabawy na lodzie. Młodzież też chętnie tu bywała - była to okazja do poznania panien i kawalerów z osady po drugiej stronie rzeki.

Jan, kiedy odpoczął po podróży, uległ namowom młodszego rodzeństwa, aby pójść na ślizgawkę. Przystojny, ubrany bogato zwracał uwagę dziewcząt. A tego dnia przyszła też Anna, córka wdowy ze Stawu. Młodzi przypadli sobie do gustu i zaczęli spotykać się coraz częściej. Kiedy jednak nadeszła wiosna, a zima odpłynęła na ostatniej kręce, trudno było im się zobaczyć. Przychodzili więc nad brzeg rzeki i cieszyli się tylko swoim widokiem, tęskniąc coraz bardziej.

Jan zastanawiał się coraz częściej, co może zrobić, aby być z ukochaną i aby ona mogła nie opuszczać swojej matki. W pamięci miał wszystko, co widział w dalekim świecie - piękne drogi, mosty łączące brzegi rzek. Postanowił, że i w jego miejscowości, która tak dobrze się rozwija, można byłoby taki most zbudować. I handel by to usprawniło, i jego marzenia zostałyby spełnione. Wiedział, że ludzie chętnie podjęliby trud budowy, ale potrzebne są na to pieniądze. Postanowił, że tym razem sam wyruszy po towary, a pieniądze uzyskane z ich sprzedaży przeznaczy na budowę mostu. Jak pomyślał, tak też uczynił. Przygotował się do drogi, zaplanował, że zajędzie też do sąsiedniego kraju, w którym mieszkają dwaj sławni budowniczowie mostów. Chciał poprosić ich o pomoc w przedsięwzięciu, potrzebował, aby wsparli go swoim doświadczeniem i radą. Nadziei na to, aby zechcieli przybyć do miejscowości tak małej i nikomu nieznannej nie miał. Jego i mieszkańców nie było stać, aby takich mistrzów wynagrodzić.

Z późną wiosną wyruszył w drogę, jechał całe dni, zatrzymywał się tylko na krótko, aby konie napoić i samemu się posilić. Wybierał najprzedniejsze towary, które można będzie sprzedać jak najkorzystniej. Dotarł tak do stolicy sąsiedniego kraju. W gospodzie zajął pokój i zaczął rozpytywać karczmarza o Jakuba i Antoniego, o których wiele słyszał. Okazało się, że wieczorem w gospodzie będzie przyjęcie, na którym spodziewano się obydwu cieśli.

Janowi udało się z nimi porozmawiać i tak ich zaciekał swoją historią, że zgodzili się od-

wiedzieć jego osadę, kiedy już zgromadzi środki i materiały na most. Po powrocie spieniężył towary i spotkał się z mieszkańcami Krasnego. Jego ojciec uzyskał zaś zgodę mieszkańców Stawu. Wszyscy zgodzili się, że most jest potrzebny. Zgodzili się przeznaczyć, ile kto mógł na budowę. Wszyscy zaoferowali silne dłonie i pomoc.

Przybyli Jakub i Antoni, przywieźli plany i budowa ruszyła. Trwała niemal dwa lata, aż most stanął. Radość mieszkańców była wielka, od tamto czasu korzystali z nowego mostu. Jan i Anna zaplanowali ślub, mogli już bez trudu mieszkać w Krasnym i pomagać matce Anny, która nie chciała rozstawać się z domem w Stawie.

W owym czasie, a był to rok 1394, w pobliżu polował król Władysław Jagiełło, który wraz ze swym orszakiem podziwiał nowy most oraz zbudowane na obu brzegach rzeki wsie słynące w okolicy ze swej zasobności. Na prośbę mieszkańców zgodził się na połączenie obu osad, a powstałą w ten sposób miejscowość nadał wraz z prawami miejskimi nazwę Krasnostaw. Burmistrzem nowego miasta został nie kto inny tylko Jan, który najwięcej uczynił dla dobrobytu jego mieszkańców.

Michał Zwolek

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

III nagroda Paweł Zaręba

Legenda o księciu Siennickim

Dawno temu żył pewien szlachcic Henryk Siennicki. Był on odważnym, nieugiętym, silnym wojownikiem. Brał udział w wielu bitwach, w których odnosił zwycięstwa. Walczył także w okolicach Krasnostaw. Bardzo spodobały mu się te ziemie, więc gdy zaprzestał już wojowania, postanowił tu zamieszkać. Zajął tereny od rzeki Wieprz do góry zwanej Górą Zdrowia, z której wybijało źródło bardzo zimnej, leczniczej wody. Strumyk miał ujście do Wieprza. Wszyscy ludzie z okolic czerpali z niego wodę dodającą siły, orzeźwienia i mocy. Jak ktoś był chory to przyjeżdżał właśnie tutaj po tę cudowną, pełną uzdrawiającej mocy wodę. Księżę Henryk właśnie z tego powodu, że pił i brał kąpiele w tej leczniczej wodzie oraz odpo-

czywał na świeżym powietrzu, podziwiając malownicze krajobrazy, był silny i zdrowy. Bardzo kochał tę okolicę, więc postanowił nazwać ją swoim nazwiskiem - Siennicą.

Księżę doczekał się trzech córek. Gdy dorosły, postanowił podzielić swe dziedzictwo. Najstarsza kochała róże, więc jej ziemię nazwał Siennicą Różaną, średnia lubiła małe leśne zwierzęta, więc jej posiadłość nazwał Siennicą Małą, a najmłodsza uwielbiała bawić się w urokliwej dolinie, gdzie można było spotkać sarny i małe zajączki, więc jej majątek nazwał Siennicą Nadolną. Sobie zostawił niewielką część ziemi, która do dnia dzisiejszego nosi nazwę Siennica Duża (Królewska).

Jestem bardzo dumny, że mieszkam w tej pięknej, spokojnej miejscowości niedaleko ruin zamku.

Paweł Zaręba

Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej

Wyróżnienia

Wiktoria Falenta

Legenda z Józefowa

Rozległe lasy Lubelszczyzny kryją wiele tajemnic. W jednym z nich, tu w okolicy, w pobliżu wsi Bzite, wznosi się wzgórze, o którym ludzie opowiadają zadziwiającą historię. Owo wzniesienie podobno kryje w sobie wielki skarb. Kiedyś wielu śmiazków próbowało go odnaleźć, ale do dziś nikomu się to nie udało.

Niedaleko mieszkał niegdyś rolnik Józef, któremu myśl o skarbie nie dawała spokoju. Opowiadał sąsiadom, że na pewno kiedyś odnajdzie skarb i stanie się majątnym gospodarzem, a wtedy wybuduje we wsi piękny kościół, by służył wszystkim mieszkańcom. Szukał tropu, który doprowadziłby go do bogactwa ukrytego w ziemi.

Pewnego wieczoru, gdy wracał do domu z robót na polu, napotkał mężczyznę, którego nie widział nigdy przedtem. Mężczyzna ów odezwał się do niego:

- Chciałbyś pewnie odnaleźć skarb? - zapytał.

- Kto by tego nie chciał?! - odparł Józef. -

Gdybym tylko wiedział, gdzie go znaleźć...

Karolina Hać

Dzielny koń Bzitek

- Ja mogę ci pomóc, - powiedział nieznajomy mężczyzna - ale muszę cię wpięrow uprzedzić, że szukanie skarbu niesie ze sobą ryzyko.

- Kiedy chodzi o szukanie bogactwa z pewnością trzeba się liczyć z niebezpieczeństwem - odpowiedział rolnik do nieznajomego. - Powiedz mi jednak, co mam robić?

- Musisz o północy przejść przez wielki las. Ujrzysz znak, który doprowadzi cię do miejsca, gdzie należy rozpocząć kopanie. A teraz moje ostrzeżenie: cokolwiek się zdarzy tej nocy, kogośkolwiek ujrzysz, nie możesz okazać lęku, nie możesz się zdziwić. Zanim Józef zdążył zadać pytanie, mężczyzna zniknął.

Rolnik postanowił szukać owego skarbu w opisany przez nieznajomego sposób. Kiedy o północy przeszedł przez wielki, stary las, zauważył na wzniesieniu białe światło. Podbiegł szybko i podążył za światłem, które doprowadziło go do miejsca między starymi jesionami. Tu rolnik zaczął kopać. Kopał i kopał głęboko, aż w końcu natrafił na drewnianą skrzynię. Była ona wypełniona złotem, srebrem oraz szlachetnymi kamieniami, które cudownie skrzyły się w świetle księżyca. Niezmiernie szczęśliwy wziął skrzynię i zaczął zmierzać w stronę domu. Lecz im bliżej był wyjścia z lasu, tym dziwniejsze postacie mu się ukazywały, jakieś chochliki, zjawy i lęk zaczął się wkradać w serce Józefa. Ale za każdym razem w odpowiednim czasie przypominał sobie o ostrzeżeniu nieznanego mężczyzny i biegł najszybciej jak mógł. Był już na skraju lasu, gdy w pewnym momencie zza drzew wyłonił się rączy biały rumak, na którym siedziała dziewczyna. Piękna niewiasta sprawiła, że rolnik oniemiał i upuścił skrzynię. Wtedy ziemia się rozstąpiła, pochłonęła kosztowności i Józefa, który próbował ratować zdobyty skarb, i ślad po nich zaginął.

Nikt już nie próbował szukać skarbu, ale wieść o rolniku Józefie i jego wyprawie po bogactwo zapisała się w ludzkiej pamięci. Jak to w takich sytuacjach bywa, miejscu, w którym rozegrała się ta opowieść nadano nazwę od imienia jej bohatera. Tak powstał Józefów.

Wiktoria Falenta

Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej

Dawno temu nad brzegiem rzeki Wieprz powstała mała osada. Była to wioska Florianów. Ludzie żyli tam spokojnie, zgodnie z rytmem pór roku. Wiosną robili zasiewy, latem odbywały się sianokosy i żniwa, jesienią zbierali plony. Jednym z gospodarzy był Maciej, który miał swoją chatę na wzgórzu na skraju wsi. Najlepszym przyjacielem Macieja był jego koń Bzitek. Razem ciężko pracowali w polu. Gospodarz i jego koń dobrze się rozumieli. Darzyli się wzajemnym przywiązaniem.

Pewnego roku nastąpiła sroga zima. Napadało dużo śniegu. I nagle jednego dnia zrobiło się bardzo ciepło. Śnieg zaczął szybko topnieć, a Wieprz wystąpił z brzegów i woda zaczęła zalewać wieś. Ludzie musieli opuścić swoje domostwa. Próbowali ratować dobytek, ale było ciężko. Maciej pomagał sąsiadom jak mógł. Od rana do późnej nocy wszyscy ładowali wozy i wywozili, co się dało. Dzielny koń Bzitek ciągnął wyładowane ludźmi wozy. Uratował w ten sposób wielu mieszkańców wioski, ale ciężką swoją pracę okupił śmiercią. Z wysiłku serce nie wytrzymało.

Nową osadę ludzie założyli z dala od rzeki, a na cześć dzielnego konia nazwali ją Bzite.

Karolina Hać

Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej

Mikołaj Kalisz

Opowieść o dobrym Michale i Siennie

Dawno temu żył pewien zamożny człowiek. Nazywał się Michał. Jednak mądrość ludowa głosi, że pieniądze nie są gwarantem szczęścia. Tak było w przypadku Michała. Otaczali go wprawdzie życzliwi ludzie i miał wiernych towarzyszy, ale nie znalazł żony, nie doczekał się dzieci. Czas płynął, fortuna Michała rosła, a on nie wiedział, co robić z majątkiem, aż pewnego ranka wpadł na świetny pomysł. Postanowił założyć wieś. Wybrał piękne miejsce w dolinie, zebrał chętnych do pracy ludzi i zaczęli budować. Wytyczyli drogę, miejsca na

chaty i zabudowania gospodarskie, pola i pastwiska. Wszystkim robota się w rękach paliła i wieś powstała szybko.

Mijały kolejne lata, osada się rozwijała. Panowały w niej harmonia i spokój. Michał był dumny ze swego dzieła, ale gdy zapadał zmierzch, znów odczuwał pustkę. Nie był szczęśliwy. Potrzebował kogoś, kto go pocieszy, gdy będzie smutny, z kim będzie mógł radośnie spędzać całe dnie. Marzył o rodzinie, dzieciach.

Pewnego dnia wybrał się nad jezioro. Usiadł nad brzegiem i wpatrywał się w wodę. Nagle zobaczył, że coś bulgocze. Później woda zaczęła się unosić, a na szczycie fali dojrzał zadziwiającą kobietę. Miała zielone włosy i morską cerę. Kazała Michałowi podejść bliżej. On posłusznie wykonał polecenie, a wtedy kobieta powiedziała:

- Michale, jesteś bogatym i dobrym mężczyzną. Dlatego też dam ci to, czego najbardziej pragniesz, ale musisz wykonać moje polecenia i być bardzo cierpliwym.

Mężczyzna ucieszył się i zapytał:

- Co mam więc zrobić?

- Weź to nasiono i zasadź je w najpiękniejszym miejscu w swojej wsi - powiedziała kobieta, pokazując Michałowi malutkie, zielone ziarenko. - Pielęgnuj je, a gdy pojawi się pierwszy listek, wykop roślinę i posadź na szczycie góry. Gdy to zrobisz, zjeżdż do swojej wsi. Oczekaj dziewięć tygodni, wróć na górę, zerwij pączek z roślinki i przynieś mi go - powiedziała i zniknęła w głębi jeziora.

Michał bardzo się zdziwił, lecz wykonał polecenie. Poszedł do najpiękniejszego miejsca we wsi. Tym miejscem był mały ogródek pod dębem. Zasadził nasionko, czekał cierpliwie, aż zakiełkuje. Czekał i czekał, aż pewnego dnia pojawił się pierwszy listek. Gdy to się stało, cała wieś wiedziała już o tajemniczym nasionku.

Nadeszła chwila prawdy. Czy słowa kobiety z jeziora spełnią się? Szczęśliwy mężczyzna szedł do drogi. Cała wieś chciała mu towarzyszyć na szczyt góry, lecz Michał zabronił. Wykopał roślinkę i włożył jej korzonki do dzbanka z wodą, żeby nie zwędła. Nie minęła godzina, a mężczyzna był już w drodze. Szedł, szedł i szedł, aż w końcu dotarł na szczyt. Zasadził roślinę, delikatnie uklepał wokół ziemię i wrócił do swojej wsi. Teraz pozostało tylko czekać.

Gdy upłynął wyznaczony przez wodną pannę czas, Michał wspiął się na górę. Na roślince wyrósł dorodny pączek. Michał zerwał go i zaniósł kobiecie. Ona zamknęła go swoich dłoniach i wypowiedziała po cichu tajemnicze zaklęcie. Wtedy pączek się otworzył, a Michał nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. W pączku leżała mała dziewczynka.

- Od dziś to twoja córka - rzekła wodna dziewczyna. - Będzie się nazywała Sienna. Masz ją chronić i uczyć, żeby wyrosła na mądrą i piękną kobietę.

Gdy to powiedziała, wręczyła Michałowi dziewczynkę i zniknęła w głębi jeziora. Od tej chwili mężczyzna nigdy więcej jej nie zobaczył. Michał opiekował się córką, a każdy dzień był wypełniony zabawami. Nie szczędził dla niej czasu i pieniędzy. Mieszkańcy wsi również ją lubili. Sienna kochała przyrodę, słuchała śpiewu ptaków, pomagała zwierzętom. Jak dziewczynka zaczynała śpiewać, wszyscy mieszkańcy wsi się zbiegali, żeby jej słuchać. Ojciec był z niej bardzo dumny. Sienna była nie tylko dobra i mądra, ale wyrosła też na najpiękniejszą pannę w okolicy. Olsniewała wszystkich chłopców od pierwszego wejrzenia.

Lata biegly w szczęściu i spokoju, ale pewnego wiosennego dnia wszystko się zmieniło. Ptaki jakby ucichły, dzieci przestały się śmiać. Powodem tego była choroba Michała. Sienna wciąż była smutna, a gdy pewnego ranka podeszła do łóża swego ojca, ten jej powiedział:

- Droga Sienna, moja córeczko, nie chcę cię martwić, ale chyba nadchodzi czas naszego pożegnania, ale nie rozpaczaj, nie płacz, bo od dziś ta wieś należy do ciebie i musisz dbać o jej mieszkańców. Pamiętaj też, że zawsze będę z tobą, nawet wtedy, gdy nie będziesz mnie widzieć.

Tej nocy zasnę Michał wyzionał ducha. Sienna płakała i płakała, a z jej łez powstała mała rzeczka dziś zwana Siennicą. Pogrzeb odbył się jeszcze tego wieczoru. Wszyscy przybyli, by pożegnać Michała. Pochowano go pod dębem, pod którym zasiał nasiona. Codziennie ktoś tam przychodził i modlił się za duszę dobrego pana. Sienna, jak jej ojciec przykazał, dbała o mieszkańców swojej wsi, a oni ją szanowali i lubili. Była podobna do Michała - skromna, pomocna i życzliwa i gdy po latach dołączyła do swego taty, postanowili

uhonorować ją i nadać wsi imię Sienna. Później jednak nazwę wsi zmieniono na Siennicę Nadolną i ta nazwa została po dziś dzień, a grób Michała nadal znajduje się w Siennicy Nadolnej, nie pod dębem, bo tego zjadły korniki, tylko pod metalowym krzyżem, a obok niego rośnie wiele kolorowych kwiatów.

Mikołaj Kalisz

Szkoła Podstawowa w Siennicy Nadolnej

Michalina Klusek

Legenda o złotych karpach

Dawno, dawno temu staruszek o imieniu Krasny łowił ryby w stawie. Było to jego główne zajęcie. Co złowił, sprzedawał na pobliskim targu. Tak mijały lata, czas płynął spokojnie, jak i spokojnie płynęła woda. Błogi czas i spokój został zmacony, gdy wędkarz złowił piękne dwa złote karpie. Starzec wielce przestraszył się. Wiedział, że to muszą być jakieś czary. Nie chciał ich z powrotem wrzucić do wody, ale bał się iść z nimi na targ. Różne myśli kłębiły się w jego głowie. Jedne mówiły o szczęściu, zaś inne wróżyły, diabli wiedzą co. Gdy tak walczył ze swymi myślami, niespodziewanie zjawiała się lichy ubrana staruszka i rzekła: „Dobry człowieku, daj mi wyłowione złote karpie - to będzie wspaniały prezent dla mojej złotowłosej wnuczki”. To stało się tak nagle i niespodziewanie, że staruszek pomyślał, że pewnie usnął i to wszystko jest snem. Przetarł oczy, podrapał się w głowę, rozejrzał się dookoła i zrozumiał, że to wszystko dzieje się naprawdę. Długo przyglądał się nieznanym, popatrzył na złote karpie i rzekł: „Być może zyskają cię dobrzy bogowie, być może złote karpie będą żyły na wieki”. W tym samym czasie momentalnie zmieniła się pogoda. Słońce przesłoniły chmury, ciszę zakłócił silny wicher. Zrobiło się szaro, buro, a może nawet i groźnie. Staruszek ponownie odezwał się do nieznanym: „Złote karpie walczą i tylko białogłowa może zaradzić złu”. Pojęła starowina w lot słowa, które powiedział wędkarz. Pochwyciła złote karpie tak szybko, że starzec aż oniemiał ze zdziwienia. I tak zniknęła niespodziewanie we mgle.

Nie na tym kończy się historia złotych karp. Historia dopiero się zaczyna. Piękna, jasnowłosa Ludmiła, bo tak na imię miało to dziewczę o modrych oczach, biegła boso po rannej rosie na łące. Łąka pełna była kwiecica - jaskrów, kaczeńców i niezapominajek. W górze, gdzieś blisko nieba, śpiewały skowronki, a w pobliskim stawie nieśmiało kumkały żaby. Ludmiła oczekiwała bardzo ważnego dnia w swoim życiu i serce biło jej coraz mocniej, bo wkrótce miał właśnie nadejść ten dzień. Dzień jej szesnastych urodzin. Wiedziała, że babcia, bo tylko ją miała na tym świecie, sprawi jej niecodzienny upominek. Upływał jednak dzień za dniem, a babcia nie wracała. Zniecierpliwione dziewczę, ciekawe życia, nie chciało już dłużej czekać na babcię i niecodzienny upominek. Postanowiło wyjść jej na spotkanie. Dziewczyna nie wiedziała, w którą stronę. Poszła przed siebie, za głosem serca. Nad stawem spotkała starca, który łowił ryby. Spytała, czy nie przechodziła tą ścieżką jej babcia, za którą bardzo tęskni. Zdradziła mu też swoją tajemnicę, że czeka na niecodzienny prezent od babci na swoje szesnaste urodziny. Na te słowa starzec zneruchomiał. Stała mu przed oczami starowina, której prośby nie rozumiał. Przypominał sobie złote karpie, nieznaną kobietę i jej opowieść o wnuczce. Bał się dziewczęciu opowiedzieć o wszystkim. Sam niczego nie rozumiał, a po co zamartwiać tak piękne dziewczę? Wewnętrzna walka sprawiła, że starzec omdlał i padł jak nieżywy. Ni stąd, ni zowąd powiało chłodem, nadciągnęła mgła. Wylęknioną dziewczynę oświecił promyk słońca, który ogrzał jej bladą twarz. Gdy otworzyła oczy, ujrzała przed sobą młodzieńca na karym koniu. Młodzieniec zsiadł z konia, uklonił się nisko i rzekł: „Pewna niewiasta przed śmiercią poprosiła mnie, bym odszukał jej piękną wnuczkę i przekazał jej ten urodzinowy prezent” - i położył przed Ludmiłą dwa złote karpie.

I tak dwa złote karpie są wiecznie żywe w herbie mojego miasta, które leży nad rzeką, a jego nazwa zaczyna się od imienia starego wędkarza Krasny, a tylko w pięknym stawie mogą pływać złote karpie - stąd nazwa Krasnymstaw.

Michalina Klusek

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

Natalia Kalisz

Legenda o tym, jak Karpik i Stawik skarb znaleźli

Dawno, dawno temu W małym miasteczku o nazwie Szczekarzew żyli sobie dwaj chłopcy, których nazywano Karpik i Stawik, bo bardzo lubili chodzić na ryby i kąpać się w pobliskim stawie. Pewnego dnia Stawik spotkał się z Karpikiem i uzgodnili, że powędrują wzdłuż rzeki, aby szukać przygód. Jak uzgodnili, tak zrobili. Nazajutrz spakowali najpotrzebniejsze rzeczy i powędrowali w stronę Wieprza. Wieczorem byli bardzo zmęczeni, a dalej bali się iść po nocy, postanowili więc zatrzymać się w pobliżu bagien na nocleg. Gdy zasnęli zmęczeni, pojawiła się tajemnicza zjawa i zostawiła koło śpiących chłopców jakiś stary dokument. Kiedy Karpik obudził się, zauważył dokument opatrzony pieczęciami. Podniósł go, gdyż zżerała go ciekawość, czy to przypadkiem nie mapa prowadząca do skarbów. Od dzieciństwa chłopcy marzyli, aby znaleźć zaginiony skarb. Natychmiast zaczęli czytać mapę. Okazało się, że skarb jest ukryty za bagnem, nad rzeką Wieprz.

Chłopcy postanowili natychmiast rozpocząć poszukiwania. Najpierw ruszyli na północ, ale okazało się, że Karpik trzymał mapę do góry nogami i jednak skarb znajduje się na południu. Wędrowali i wędrowali, aż doszli do miejsca zaznaczonego na mapie krzyżykiem. Stawik wziął łopatę i zaczął kopać. Po kilku godzinach ciężkiej pracy wykopali skrzynkę. Otworzyli ją i bardzo się zdziwili, ponieważ wewnątrz znajdował się obraz. Na płótnie namalowany był portret pięknej księżniczki. Chłopcy tak zachwycili się jej urodą, że oczu nie mogli oderwać od obrazu. Postanowili wrócić do Szczekarzewa i pokazać mieszkańcom grodu swój skarb. Gdy szli drogą, niosąc skrzynkę, zbliżył się do nich orszak królewski. Król Władysław Jagiełło zainteresował się tym, co niosą chłopcy.

Rozkazał otworzyć skrzynię. Gdy zobaczył piękność na portrecie, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Wezwał marszałka i ogłosił, że kto odnajdzie piękną księżniczkę, ten otrzyma wspaniałą nagrodę. Wszyscy zainteresowani ruszyli na poszukiwania. Karpik i Stawik, ponieważ lubili przygody, też ruszyli w świat. Dotarli aż na Li-

twę i tam na dworze w Drucku zobaczyli księżniczkę Zofię Holszańską, która wyglądała jak piękność z odnalezionego przez nich portretu. Natychmiast zawiadomiono króla Władysława Jagiełłę, który przybył na Litwę i poprosił o rękę księżniczki. Odbyły się zaślubiny, a następnie młoda para wyruszyła do Polski, aby osiąść na Wawelu. Po drodze zatrzymali się na nocleg w Szczekarzewie. Król wezwał przed swe oblicze Karpika i Stawika i hojnie ich wynagrodził.

Następnie ogłosił, że aby upamiętnić swoje szczęście i zasługi chłopców zmienia nazwę miasta na Krasnystaw - od słów krasna, czyli piękna. W herbie miasta umieścił dwa karpie - na cześć Karpika i Stawika. I tak powstała nazwa mojego ukochanego miasta Krasnystaw i herb z dwiema rybami na niebieskim polu.

Natalia Kalisz

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

Prace zauważone

Klaudia Skubisz

Powstanie jeziora

Działo się to bardzo dawno temu, gdy świat porastała nieprzebyta puszcza pełna dzikich zwierząt i przedziwnych stworów. W miejscu, gdzie obecnie obok Szkoły Podstawowej nr 5 jest małe jezioro znajdowała się niewielka grotta, a przed nią leżał ogromny kamień.

Z grotty wydobywało się jasne światło, czasami powiewał wietrzyk niosący przedziwne, piękne zapachy kwiatów i traw. Nawet ptaki śpiewały jakoś inaczej, weselej. Czasami słychać było wesoły śmiech, tych którzy tam mieszkali. Ówczesne plemiona wierzyły, że tu mieszka wielki słowiański duch puszczy, a jednocześnie jest to przejście do pradawnego raju.

Ludzie tu bowiem nie umierali, lecz zmęczeni życiem przychodzili do swego bóstwa, prosząc o przejście przez grotę. Przybywali więc z dalekich stron, by modlić się do bóstwa i składać dary. Pro-

Szymon Drożdziel**Legenda dzielnych zakonników augustianach
i ich niezwykłych ziołach**

sili go o pomoc lub za coś dziękowali. U stóp grotu, spod kamienia wypływał mały strumyczek. Woda z tego strumyka była niezwykła. Sprawiała, że goili się rany, a ci którzy ją pili mówili, że są zdrowsi i silniejsi. Przez wiele lat ludzie przychodzili, a bóstwo spełniało ich prośby, chroniło ich i opiekowało się nimi. Ludziom żyło się dobrze, a osada rozrastała się. Przyjeżdżali kupcy z różnych stron i tak wieść o dobrym opiekuńczym bóstwie i grocie rozeszła się po świecie.

Muszę wspomnieć, że ludzie żyli tu w zgodzie. Uprawiali ziemię, hodowali zwierzęta i byli szczęśliwi. Mieli oni swojego przywódcę, lecz nie mieli broni ani mieczy. Nie walczyli z nikim, ale żyli w zgodzie z ludźmi, bogiem i naturą. Gdy wieść o tej pięknej krainie rozniosła się po świecie, zaczęły na nią najeżdżać dzikie plemiona, by grabić i zabijać, a ich celem było zdobycie grotu.

Sędzimir, który był przywódcą i opiekunem tych ziem, starał się chronić ludzi. Jednak najeżdźcy byli wyszkoleni, silniejsi i dobrze uzbrojeni. Tak zdobywali nowe tereny. Przyszedł więc Sędzimir do grotu prosić o pomoc i ochronę dla swego ludu, a w małym wiklinowym koszu przyniósł bóstwu w darze to, co miał najcenniejsze - swojego jedyne-go syna. Bóg jednak, widząc poświęcenie i dobro tego człowieka, kazał mu zatrzymać dziecko, by było ono jego pociechą i godnym następcą. Poradził mu, by zebrał swoich ludzi i ukrył w puszczy.

Obce wojska w tabunie kurzu zbliżały się do grotu. Słychać było rżenie koni i straszny hałas. Nagle nastąpiła ciemność, rozpetęła się burza i za-trzęsła ziemia. Grota wraz z najeżdźcami zapadła się pod ziemię. Następnego dnia, gdy Sędzimir chciał podziękować bóstwu, zobaczył tylko małe jeziorko. Panowała cisza i tylko ślady na trawie ujawniały, co się tam wydarzyło.

Mijały lata, świat się zmieniał, a małe jeziorko obok szkoły jest tam nadal. Takie samo jak przed wiekami. Nawet dzisiaj, gdybyśmy się wpa-trywali w jego głębię nie zobaczymy dna, ale może dostrzeżlibyśmy gdzieś głęboko grotę naszych przodków z przejściem do pradawnego raju.

*Klaudia Skubisz**Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie*

Najstarszym krasnostawskim zakonem byli augustianie. Już od XIV wieku ojcowie augustianie na terenie swojego klasztoru w Krasnymstawie i w przyklasztornych ogrodach uprawiali zioła o niezwykłych właściwościach. Z cudownych ziół zakonnicy robili maści, które miały właściwości lecznicze. Po posmarowaniu maścią zrobioną z tych ziół, nawet największe i śmiertelne rany znikwały, a ranny w cudowny sposób błyskawicznie wracał do zdrowia. Ale roślina przyrządzana jako wywar miała również właściwości śmiertelne. Po wypiciu wywaru z tych ziół ofiara umierała w męczarniach. Dlatego rośliny uprawiane w przyklasztornym ogrodzie były strzeżone przez zakonników jak najcenniejszy skarb, aby nie były wykorzystywane do zabijania, a tylko do ratowania życia. Robiąc leczniczą maść, zakonnicy obdarowywali nią każdego, kto tylko potrzebował jej cudownej mocy uzdrawiającej.

Wieść o niezwykłych ziołach uprawianych w przyklasztornym ogrodzie w Krasnymstawie szybko obiegła świat. Każdy chciał mieć takie zioła tylko dla siebie, żeby leczyć, ale może też żeby zabijać. Kozacy, którzy ciągle toczyli walki, dowiedziawszy się o istnieniu cudownej rośliny, z której można przyrządzić lecznicze maści, postanowili ją wykraść augustianom z Krasnegostawu.

W październiku 1655 roku nieprzyjacielskie wojska kozackie najechały na Krasnystaw z zamiarem wykradzenia niezwykłych ziół. Kiedy zbrojna armia Kozaków zbliżała się do wrót klasztoru, zakonnicy, wiedząc, że nie uda im się ochronić rośliny, podpalili ogród z ziołami. Od pożaru spłonął również ich klasztor, ale dzielni zakonnicy uratowali swe życie, uciekając podziemnymi korytarzami prowadzącymi w stronę zamku w Krupem. Rozwścieczeni Kozacy za to, że nie udało się im zdobyć niezwykłych ziół dokonali spustoszenia Krasnegostawu. Krasnystaw podczas tego najazdu kozackiego został spalony, a wielu jego mieszkańców poniosło śmierć.

*Szymon Drożdziel**Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie*

Julia Badzio

Legenda o powstaniu Zażółkwi

Dawno, dawno temu, kiedy Krasnystaw zwał się jeszcze Szczekarzewem, a tereny wokół niego porastała prastara puszcza, przywędrowało tu i osiedliło się pewne plemię. Nikt już nie wie, dlaczego tu się zjawilo. Ludzie opowiadali, że przybyło ono z zachodu i założyło swoją siedzibę nad rzeką, na południe od grodu. Byli bardzo pracowici. Z zapalem zaczęli karczować las, aby mieć miejsce na pola uprawne.

Nad wijącą się rzeką było pod dostatkiem łąk z soczystą trawą. Tam paśli swoje wychudzone krowy, zmęczone długą wędrówką. A łąki te były żółte od kwiatów na nich kwitnących. Rosły tam żółte kaczeńce o błyszczących liściach, złociste jaskry na wysokich, wiotkich łodygach i mniszki lekarskie, które przypominały małe słoneczka. Żółty kolor był tak ciepły i radosny, że osadnicy szybko pokochali to swoje nowe miejsce, w którym przyszło im żyć i postanowili nazwać swoją osadę Żółkiew. Po pewnym czasie osada się rozrosła i liczyła już kilkanaście domów.

Następnej wiosny do wioski przyjechał mały, niepozorny człowiek. Zwał się Garbał. Był on bardzo złośliwy. Cieszył się, gdy udało mu się zrobić komuś na złość. Nocami, gdy ludzie odpoczywali po ciężkim dniu pracy w polu lub w lesie, Garbał prześladowywał żółte kwiatki na łąkach na inne kolory: czerwone, niebieskie lub różowe. Ludziom to się nie podobało, gdyż polubili żółty kolor, od którego ich łąki były znane w okolicy i od którego powstała nazwa ich wioski. Prośby nic nie pomogły, więc postanowili wygnać Garbała i tak też zrobili.

Lecz nie wiedzieli, że ten złośliwiec umiał czarować i rzucił zaklęcie na kwiaty, aby już nigdy nie zmieniły koloru. I tak już zostało. Tylko te kwiaty, których nie zdążył pomalować Garbał, zostały żółte. Zasmuceni mieszkańcy mówili do siebie: „Żal Żółkwi”, gdyż musieli zmienić nazwę wioski i od tego powstała nazwa Zażółkiew, która istnieje do dziś. A na rozległych łąkach nad rzeką wczesną wiosną nadal kwitną żółte kaczeńce i mniszki.

Julia Badzio

Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie

Michał Kosmowski

Legenda o tym, jak Szwedzi zostali pokonani przez sprytnego ministranta

XVII wiek był dla Rzeczypospolitej czasem szczególnie niepokojącym. Losy Krasnegostawu w tym stuleciu były dość typowe dla miast wschodnich rubieży Polski. Znalazszy się w bezpośrednim zasięgu działań zbrojnych, stał się ofiarą rabunków, grabieży i zniszczeń czynionych przez nieprzyjacielskie wojska: Kozaków i Tatarów, Szwedów i Moskali. Trudne chwile przeżywało miasto podczas potopu szwedzkiego. W lutym 1656 roku doszło pod Gołębim do bitwy wojsk polskich ze Szwedami. Pokonany Stefan Czarniecki (ten, o którym śpiewamy w hymnie: „Jak Czarniecki do Poznania po szwedzkim zaborze, dla ojczyzny ratowania wróć mi przez morze”) rozpoczął odwrót w stronę Lublina i Zamościa.

Jego śladem podążały główne siły szwedzkie pod dowództwem samego Karola X Gustawa. Król Szwecji zatrzymał się w Krasnymstawie przed decydującym oblężeniem Zamościa, w którym bronił się ordynat Jan „Sobiepan” Zamoyski. Chciwy Gustaw zamierzał ograbić krasnostawski kościół z kosztowności, duchowni nie chcieli jednak dobrowolnie oddać kielichów i monstrancji wrogom, na dodatek protestantom. Król Szwecji wezwał do siebie proboszcza i rzekł:

- Jeżeli chcecie zachować życie swoje i mieszkańców grodu, musicie sownie mi to wynagrodzić. Mniemam, iż w świątyni waszej znajdują się przedmioty, które nie tylko oko me cieszyć będą, ale pomogą w utrzymaniu mego wojska. Gdybyście jednak inne zdanie mieli, srodze jestem w stanie to ukarać.

Nieprzejednany augustianin hardo odpowiedział:

- Wasza miłość uczyni, co zechce. Nie wiem zaiste, azali pokona nas zuchwały nieprzyjaciół, ale to wiem, iż gdyby próbował, ze wstydem i hańbą odstąpić będzie musiał, bo moc jego większa moc pokruszy, złość jego złamie się, potęga startą będzie i odmieni się szczęście jego!

Karol X Gustaw rozgniewał się zuchwałstwem duchownego. Uwięził ojców augustianów w podziemiach zamku krasnostawskiego. Kró-

lewski regiment nigdzie jednak nie mógł odnaleźć cennych przedmiotów. A było to tak...

Młody ministrant, Janek Dąbek usłyszał rozmowę proboszcza z królem Szwecji. Spodzielając się najgorszego, zabrał cenne przedmioty, a później ukrył je w skrzyni, którą zakopał. Pod osłoną nocy przeniósł drewnianą skrzynię do podziemi, które znajdowały się pod kościołem.

Uparci Szwedzi przetrzymywali duchownych, sądząc, że w końcu wydadzą im kosztowności. Oni jednak, zachowując całkowity spokój, modlili się, ufając w Boską opiekę. Karol X Gustaw ostatecznie stracił cierpliwość. Kazał swoim żołnierzom dokładnie przeszukać kościół. I wtedy Szwedzi odkryli tajemne wejście do podziemi. Wielu z nich próbowało odnaleźć cenny skarb, żaden ze śmiałków, którzy wchodzili do lochów, nie mógł znaleźć drogi powrotnej. Sprytny ministrant postanowił poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Martwił się tylko o swoich księży. Dzięki przekupieniu chciwego strażnika odwiedzał ich w zamkowych lochach. Przynosił wieści z miasta:

- W mieście źle się dzieje. Szwedzi wszędzie się panoszą, szukają kościelnych skarbów, ale nic nie znajdują, bowiem dobrze je ukryłem, a i was, mości dobrodziejże jakoś uratuję!

Jak powiedział, tak uczynił. Zawsze prędzej czynił niż myślał. Znowu przekupił Szweda, który trzymał straż w lochach krasnostawskiego zamku. Obiecał mu mapę, dzięki której w lochach kościoła odnajdzie skarb. Księża uciekli nocą i ukryli się w pobliskiej Ariance koło Krupego. Janek oczywiście dał Szwedowi fałszywą mapę. Spodziewał się, że strażnik zanieśie ją samemu Karolowi X Gustawowi. I wcale się nie pomylił. Ucieszony król wraz z całym wojskiem wszedł do podziemi. Mapa zaprowadziła ich tajemnymi przejściami do krupskiego zamku. Oczywiście nigdzie nie odnaleźli skarbu z krasnostawskiego kościoła. Z Krupego udali się wprost do Zamościa, zaniechali powrotu do grodu nad Wieprzem.

Tymczasem do Krasnegostawu powrócili cudem uratowani augustianie. Serdecznie dziękowali dzielnemu i sprytnemu Jankowi. Kiedy odważny ministrant wszedł wraz z nimi do lochów pod kościołem, długo szukali cennych kielichów ukrytych w drewnianej skrzyni... Nigdy jej jednak nie odnaleźli. Janek nie wiedział, dlaczego nie mógł

trafić do miejsca, w którym ją zakopał. Ze wstydu i zgryzoty wyniósł się z miasta, zamieszkał w pobliżu Krasnegostawu nad rzeką Łopą. Dał początek znanemu rodowi. Kilka lat później z uznaniem mówiono o Janie Dąbku, który założył Łopiennik.

Skarby z krasnostawskiej świątyni nigdy się nie odnalazły, chociaż wielu śmiałków próbowało je w podziemiach szukać. Do dzisiaj, schodząc do lochów, można usłyszeć ich jęki i wołanie o pomoc... A Szwedzi? Odeszli pokonani. Stefan Czarniecki był przecież wybitnym wodzem...

Michał Kosmowski

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

Adam Sadowski

Legenda o dwóch karpach i królu Jagielle

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami i wieloma dolinami, w piękny, słoneczny dzień, w głębokim stawie pływały sobie dwa karpie. Ich złoto-srebrne łuski odbijały się i iskrzyły w promieniach zachodzącego właśnie słońca. W pewnej chwili w pobliżu zatrzymał się król Władysław Jagiełło ze swoją żoną, aby podziwiać niezwykle urokliwe miejsce. Gdy ryby usłyszały dźwięk zbroi nadchodzących osób oraz ich głośnie rozmowy, schowały się w szuwarach i pozostawały w bezruchu. Władca zauważył jednak te piękne, ogromne karpie, a zbliżywszy się do nich, zorientował się, że nieustannie spod wody wpatrują się w niego swoimi wielkimi, czarnymi oczami. Przypatrywali się tak sobie nawzajem przez długi czas.

Nagle zaczął padać ulewny deszcz i wiać bardzo porywisty wiatr. Król natychmiast schował się w swoim ogromnym namiocie, który w pośpiechu rozbili w pobliżu członkowie jego świty. W stawie z każdą chwilą przybywało wody. W końcu woda zaczęła występować z brzegów i rozlewać się po najbliższej okolicy. Pod wpływem bardzo silnego podmuchu wiatru powstała ogromna fala, która zabrała ze sobą oba karpie i wyrzuciła je poza staw, gdzie było bardzo mało wody. Ryby znalazły się w pobliżu namiotu króla, zaczęły miać się i stukać płetwami w jego ściany. Władca wybiegł przed namiot zobaczyć, co się stało.

W pobliżu spostrzegł dwa karpie, które wpatrywały się w niego błagalnym wzrokiem. Król Jagiełło nie wahał się ani chwili i zabrał je do swojego namiotu. Z początku nie wiedział, co ma zrobić, jego świat również. Nie mieli przecież dużej beczki pełnej wody. Na szczęście znajdował się tam duży gliniany kubeł, więc napełniono go wodą i włożono do niego obie ryby.

Następnego dnia władca postanowił zabrać te piękne karpie do swojego zamku. Był bardzo szczęśliwy, że udało mu się uratować tak wspaniałe, niespotykane okazy. Pragnął, aby były ozdobą tego miejsca. Miał jednak świadomość, że nie należą do niego, lecz do pobliskiego stawu. Pomimo, że był królem i mógł je sobie zatrzymać, postanowił zwrócić im wolność. Nazajutrz król wraz ze swoją świtą wypuścił karpie do stawu. Ryby ochoczo wróciły do swojego domu. Władca przyglądał się im ze smutkiem, miał bowiem świadomość, że nigdy ich nie zobaczy, a tak się do nich przywiązał...

Po kilku dniach król Jagiełło wybrał się ponownie nad staw i zauważył w oddali biegącego w jego stronę lisa. Lis wyglądał na wściekłego, piana leciała mu z pyska. Król bardzo przestraszył się i zaczął uciekać w stronę zamku. Dwa karpie, które od czasu do czasu pojawiały się nad powierzchnią wody, zauważyły lisa, który zbliżał się do króla. Aby zwrócić na siebie uwagę zwierzęcia wyskoczyły ze stawu, a wówczas lis skierował się w ich stronę. Był bardzo głodny i zapragnął zjeść na kolację smaczną rybkę. Te nieczne plany pokrzyżował mu biały orzeł, który zazwyczaj krążył nad tym stawem. Szybkim ruchem schwytał lisa za grzbiet i przeniósł go na drugą stronę przepływającej w pobliżu rzeki. W tym czasie oba karpie zdążyły ponownie wskoczyć do stawu.

Gdy król powrócił przerażony do zamku, opowiedział o tym niezwykłym wydarzeniu swoim doradcom. Zaproponowali mu oni, aby w herbie pobliskiej osady pojawiły się dwa złote karpie. Król Władysław Jagiełło zgodził się na ten pomysł. Były to przecież ryby, które uratowały mu życie.

Adam Sadowski

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

Irena Iwańczyk

Matka



Dwudziestego września postanowiłam odwiedzić moją przyjaciółkę. Wysiadłam z autobusu, lęk mnie ogarnął, bo trzeba było iść przez rozległy las. Na szczęście zauważyłam idącą przede mną kobietę. Szczupła, schludnie ubrana, w chustce na głowie i z „zawiniątkiem” w rękę. Bardzo się ucieszyłam, że będę miała towarzyszkę podróży. Wydłużyłam krok i zrównałam się z nią. Spojrzałam na twarz - rysy regularne, a oczy takie jasnoniebieskie, jak płatki nieba. Pomyślałam: „Jaka musiała być piękna w młodości, skoro mimo starszego wieku, jest nadal zgrabna i ładna”. Zaczęłam rozmowę, ale okazało się, że ona jest głucha i trzeba do niej bardzo głośno mówić. Dowiedziałam się, że idziemy do tej samej miejscowości.

Nieznamoma powiedziała mi, że ma osiemdziesiąt sześć lat. Podczas całej naszej wędrowki rozpaczliwym głosem i ciągle ocierając łzy, opowiedziała mi dzieje swojego życia. Jej los jest podobny do Antka z noweli Bolesława Prusa lub Janka Muzykanta.

Posłuchałam więc, co mówiła pani Agata: - Urodziłam się w 1906 roku. Ojca nie pamiętam. W domu była bieda. Matka wydała mnie za mąż, gdy miałam 15 lat. Zaraz po ślubie, męża zabrali do wojska. Zostałam u teściów i chodziłam do ludzi na zarobek. Gdy mąż wrócił, oboje ciężko pracowaliśmy w polu. Z trudem i z pomocą rodziców męża, po kilku latach postawiliśmy chałupę. Na świat przyszły dzieci, wychowałam ich troje i pożeniłam. Gdy mąż zmarł, wiele lat temu, zostałam sama. Syn wybudował sobie dom obok mnie. Bawiłam wnuki, choć synowa nie była zadowolona. Nigdy niczym nie poczęstowała, a ja znikąd nie mam grosza, żadnej też renty nie miałam. Zdarzyło się raz, że Jasiowi, mojemu synowi, ktoś ukradł pieniądze. Krzyknął na mnie: „Matko, to ty ukradłaś!”, Wtedy wpadłam w straszną rozpacz. Zaklinałam się. Nie pomogło. Ukłękłam przed obrazem Matki Boskiej i przed jego całą rodziną złożyłam przysięgę: „Przysięgam przed Tobą, Matko Boża, że nigdy nie wzięłam pieniędzy i zaklinam się na własne dzieci.

Jeśli wzięłam, niech natychmiast umrę". - Nie uwierzyli - mówi pani Agata. - A ja ciągle płakałam po dniach i nocach, oczy wypłakałam, a ból rozsadał mi głowę. Na dzień zażywałam po kilka opakowań tabletek, ale któreś nocy zabrakło proszków, a ból nie ustępował. Udałam się do sąsiada, by mnie poratował. Dał mi jakiś płyn w butelce. Wypiłam, ból ustąpił, ale poczułam straszny huk, jakby od wielu samochodów i traktorów, odtąd ogłuchłam. Trzeba głośno krzyczeć, żebym zrozumiała. Daleki kuzyn zawiózł mnie do szpitala. Leczenie trwało od marca do czerwca. Niestety, słuch nie wrócił. W szpitalu odwiedził mnie jedynie wnuczek, syn Jasia i mówi: - Babko, znów ktoś ukradł pieniądze. - Pewnie ja - powiedziałam. - Nie. - mówi Wojtuś. - Jak byś ty, babko przyszła ze szpitala? Przecież jesteś daleko od nas, w mieście. Ojciec się już przekonał, że to nie ty - mówił wnuczek.

Wróciłam ze szpitala do swojej izdebki. Któregoś dnia wyszłam na dwór, patrzę, a obok chodzi mój syn Jasio, jest smutny, to siada na pniaku, to wstaje. Pomyślałam - pewnie chory i mówię: - Idź do domu, połóż się, pewnieś chory. Nie idź do roboty. A on nic, tylko chodzi. Nagle niepostrzeżenie podchodzi do mnie, podaje mi rękę i mówi: - Matka, wybac mi, niesłusznie cię oskarżyłem. Proszę cię, wybac mi, i ja tobie wybaczam wszystko. - Uścisnęliśmy się, pocałowali i popłakali. Później mi ludzie powiedzieli, że wysłedzili złodzieja, była nim moja córka, siostra Jasia, Zośka. Trzy razy mu ukradła pieniądze, choć jej się najlepiej powodzi.

Za dwa tygodnie Jasio zmarł, zostały po nim 3 sieroty. Syn miał tylko czterdzieści dwa lata. Oczy mi nie wysychają od płaczu, wołałabym ja umrzeć, nikomu niepotrzebna. - Kobieta coraz głośniejsz łka. Próbuję ją uspokoić, ale mi się to nie udaje, zresztą sama razem z nią płaczę. Smutny los człowieka kontrastuje z kanwą przepięknej przyrody. Słońce świeci, jest ciepło, mimo że to 20 września. Na tle niepowtarzalnego piękna dnia, głos kobiety jest przejmujący i tragiczny. Płaczę i słucham. Pani Banachowa opowiada dalej: - A wie pani, Jasio do mnie przychodzi. Był już cztery razy. W nocy zapuka i woła: - Matka, nie płacz! - Najbardziej żał mi wnuczka. Jest chory, często mdleje. Synowa była z nim u ruskich uzdrowiaczy, lecz go też w Lublinie.

Na wiosnę, przyszedł do mnie syn Zośki, Jędrrek i mówi: - Chodźcie, babko, pojedziemy do apteki, może wam coś dadzą. - Uwierzyłam. Zawiózł mnie do gminy. Nie wiedziałam, o co chodzi, a on hektar ziemi, który był zapisany na mnie, a zbierał z niego Jaś, i teraz był dla sierot, przepisał na siebie. Mnie za to dali rentę 400 zł. Jędrrek oszukał mnie. Chciał jeszcze wydrzeć kawałek łąki, na której sieroty pasą krowę. Nie pozwoliłam, krzyczałam na Zośkę i jej syna: - Nie macie Boga w sercu, ani litości dla sierot!

Zimą nie miałam czym palić. Poszłam do suszarni tytoniu rąbać stare ramy, wtedy wpadł Jędrrek. Bił mnie pięściami, kopał i krzyczał. Upadłam. Z trudem dowlokłam się do domu, a później poszłam do sołtysa prosić o pomoc. Podobno wnuka wezwano, bo wkrótce przybiegła jego matka Zośka. Zaczęła krzyczeć i walić pięściami w stół, aż kubki porozbijała, lekarstwa też pospadały.

- Zdechniesz i zaśmierdzisz się w domu. Nikt cię nie pochowa. Ty małpo! Daj nam łakę! - wrzeszczała. - Po moim trupie. Łąka jest dla sierot. Przynajmniej będą mieć mleko i mnie dadzą kapkę - odpowiedziałam.

Nie zauważyłam, kiedy przeszliśmy las i wyszliśmy na łakę. Kobieta dalej mówiła: - Idę do najstarszej córki, Anielki, może jej pomogę, bo ma kopać kartofle w sobotę, popilnuję prawnuków. Stara jestem, chciałabym, by śmierć przyszła jak najszybciej. U ruskich kupiłam sobie pantofle na śmierć za trzydzieści złotych, ale sąsiedzi mówią, że paskudne do trumny. Muszę składać na lepsze, a i na trumnę też. Nie chcę się zaśmierdzić. Moja renta wynosi czterysta złotych, nie wystarcza na chleb, bieda mi i na dodatek ta moja głuchota...

Doszliśmy do rozstajnych dróg. Na pożegnanie ucałowałam przed godziną obcą, a obecnie tak bliską osobę, życząc jej sto lat i poprawy życia. Jej los wstrząsnął mym sercem do głębi. Dotąd nie mogę o niej zapomnieć. Zarejestrowałam w przybliżeniu jej słowa, ale trzeba było słyszeć jej głos, widzieć wyraz twarzy i te ciężkie łzy...

Irena Iwańczyk

Irena Iwańczyk



Sara była uroczym dzieckiem, oczkiem młodych i pięknych rodziców, jedyną ich nadzieją i radością, toteż ojciec z dalekich podróży przywoził jej najpiękniejsze rzeczy: lalki i ubrania, jakich nikt nie miał. Dziecko rosło na łonie przepięknej natury, organicznie zespolone z wszechświatem i absolutem. Odkąd zaczęła „być”, istnieć, zadawała sobie pytanie: „Gdzie byłam, gdy mnie nie było i jak mógł istnieć świat bez mnie?”. Sarze wydawało się, że wszystko potrafi, np. pisać, czytać, rysować. Zapewne już wtedy wiedziała, że ma w sobie ogromne pokłady zdolności. Mając cztery lata, brała do ręki ołówek i zarysowała kuchenną szafę, zaskoczona, że nie wyszły jej wyrazy, ale nie martwiło ją to, wkrótce nauczyła się pisać. Interesował ją cały świat, każda pora roku, każdy drobiazg, kropla rosy nanizana na gałązce, życie w strumyku i rzece, kwiatek, listek, szyszka, nawet kamień przed domem był raz pogrążony w udręce i rozpacz, to znów, patrzący z radością, jak najlepszy przyjaciel, gdy wracała do domu. Wicher i plucha miały swój urok - raz jak szalony taniec, to znów ponura skarga. W parku, w lesie, na łące знаła każdą ścieżkę, każde miejsce, gdzie rosną fiołki, przebiśniegi, zawilce, maliny, poziomki. Kiedy zaczęła uczęszczać do szkoły, jej serce w milczeniu zgłębiało jakieś niepojęte sprawy.

Wiosną odczuwała pewną gwałtowność, szaleństwo, uniesienie. Głos bocianów czy żuraw poruszał ją i jakaś słodycz przenikała jej ciało. Stała, patrzyła, nawiedzało ją coś pięknego, może marzenie o królewicu? Czuła jakąś pokusę czy błogość. Ale i jesień dostarczała radości: zbieranie grzybów i kasztanów, buczyny, gęstniejące mgły, błyszczące gwiazdy, jęklivy szum sosen, niesłychane przepych barw, promienie słońca drzemące wśród drzew na baśniowych polanach, rzeka zabarwiona złotem i purpurą, olbrzymi księżyc w pełni, szeleszczący dywan z liści.

Nad listopadowym krajobrazem widziała delikatną mgiełkę melancholii. W wietrzne noce,

wśród klonów i z sadu słyszała jak rozlegał się śmiech czarownic, a z łąki od rzeki dochodziły ją żalosne pojękiwania. Pierwszy śnieg budził w niej ogromną radość, chodziła na długie wędrówki po cichym zimowym parku i lesie, pomiędzy srebrnymi od szronu drzewami i wszędzie znajdowała niezwykle piękno. Zjeżdżanie z góry na sankach, czy ślizganie się na lodzie sprawiało jej ogromną przyjemność. Świat spowity w kryształy i perły, powietrze orzeźwiające, czyste. Każda roślina, gałązka, konar okryty bielą śniegu, zasypany mające kształt posągów nastrojały do marzeń, do puszczenia wodzy wyobraźni. Człowiek słyszał różne ostrzeżenia. Swoją wrażliwością, wyobraźnią i fantazją przenosiła się w zaczarowany świat.

Ale miała dwoje rodziców mądrych i dobrych. Matka uwrażliwiona na piękno świata, zwracała uwagę jedynaczki na urodę przyrody i zwierząt, często wieczorem mówiła: - Saro, chodź na dwór. Spójrz jaki księżyc, jak mgła się rozplynęła nad łąką. To Bóg stworzył taki piękny świat dla człowieka. - A kiedy przez lata, obcując razem z rodzicami, z polem i lasem, Sara została zaakceptowana przez pole, las, łąkę, rzekę i strumień wtedy podchodziła do wysokiego kopca na miedzy i patrzyła jak wygrzewają się w słońcu i spacerują jaszczury na wysokich nogach, z długimi ogonami, przypominające warany. Ekscytowało ją to tajemnicze życie, a na polanie w parku brała do ręki szare, małe jaszczurki, zielone żabki, ślimaki, chrabąszcze, ciesząc się jakby to była żywa biżuteria.

Patrząc w kryształowe dno strumyka, obserwowała bujne życie pływaków, kijanek, pajaków wodnych, nie mogąc nigdy do syta nadziwić się ich kształtom, kolorom i sposobem na życie. Ciągłe stawiała sobie pytanie: Skąd tyle piękna, tyle różnorodności świata? Czyżby Bóg tak pokazywał swą twarz? Czy ten świat był taki, gdy mnie nie było jeszcze? A co się stanie, gdy mnie nie będzie? Odpowiedź jej brzmiała: - Nie, to niemożliwe. Ja muszę istnieć, beze mnie świat nie mógłby się obyć, choć jestem tylko pyłkiem, małą iskierką we wszechświecie.

Zapewne ta świadomość i przekonanie pozwalały jej pokonać wiele chorób, bo była wątła i słaba, często mdlała w kościele, w szkole, w sklepie. Ludzie podejrzewali, że dziewczynka ma padaczkę, a ona po prostu była niedożywiona,

bo nic jej nie smakowało, nie chciała jeść, z tego powodu przeżywali ją „Nitką”, jako że była bardzo szczupła.

Sara w szkole uczyła się dobrze, ale była zbyt poważna, często stała na uboczu, szczególnie na lekcjach wuefu bała się ośmieszenia przez nauczyciela, więc wolala nie grać w piłkę, bo tylko na tym polegała gimnastyka, a może bała się, że ją koledzy stratuja na śmierć. Najbardziej lubiła język polski, przyrodę i śpiew. Na matematyce ogarniał ją błąd strach, bo nerwowa nauczycielka zniechęcała do nauki, stawiając dwóje. Sara słyszała: dwója, dwója, dwója... Bywało, że cała klasa otrzymywała ten sam stopień. Nikt więc nie lubił matematyki. Natomiast mile wspominała naukę podczas wojny, wtedy nauczyla się pisać, czytać, liczyć. Tylko raz została w „kozie”, ale towarzyszyła jej koleżanka Marysia, która tak samo jak Sara kolorową kredką, zamiast ołówkiem, zapisała całą stronicę cyfr, nie wiedząc, że to się nauczycielce nie spodoba, za to obie zostały ukarane. Podczas nauki na tajnych kompletach, gdy przyszli Niemcy dzieci natychmiast szły przed dom do ogrodu i wyczywały serwetki.

Sara dobrze zapamiętała otwarte okno podczas grzmotów i przeszywający ogromny huk - to piorun uderzył w pobliżu, wtedy była lekcja języka polskiego, na którą trzeba się było nauczyć wiersza z książki, którą kupili rodzice Sary od chłopca z Warszawy przebywającego na wsi u krewnych, oczywiście tylko na okres wojny.

W pamięci Sary na zawsze utrwalił się obraz wojny, huk lecących nad ziemią bombowców, walki powietrzne, łuny pożarów, Niemcy na motocyklach i w samochodach, uderzenia ich butów podczas marszu ze śpiewem: „heili, heilo, heila, heili...”, ucieczka przed bombardowaniem całej wsi w rowy i do lasu.

Na zawsze zapamiętała też dobrego Niemca - lekarza, który zupełnie bezinteresownie wyleczył ją z wietrznej ospy. Kilka razy przychodził, usuwał strupy z twarzy i smarował maścią. Dzięki niemu nie zostało żadnego śladu na twarzy.

W ich mieszkaniu zamieszkali też Niemcy - w pokoju, a rodzice w kuchni, zmuszeni do usługiwania. Wszyscy się ich bali. Dużo jedli, nogi zakładali na stół. Byli ordynarni, budzili strach w sercu dziecka. Tylko raz jeden z nich, gdy ojciec

wyczyścił im buty z cholewami, dał jej ojcu drop-sa. To była jedyna zapłata. Jedni odchodzili, inni przychodzili.

Podczas świąt Bożego Narodzenia, gdy choinkę Sary zdobiły tylko łańcuchy z bibuły i nie było na niej żadnego cukierka, jabłka, ciastka ani orzecha, nagle nocą, rodziców i dziecko obudził hałas, uderzenia w drzwi i krzyki. Jej ojciec wyszedł na podwórze, gdzie była duża grupa Niemców z końmi, które zaprowadzili do stodoły, a następnie weszli do domu. Sara ich zapamiętała jako młodych chłopców. Żądali jedzenia, zajęli łóżka rodziców, a rano wyruszyli w dalszą drogę. W ich zachowaniu czuło się strach, wtedy Niemcy wycyfrowali się.

Nigdy Sara nie zapomniła spotkania z Rosjanami, widziała rannych na wózkach, które ciągnęły psy. A gdy już echa wojny nieco ucichły, na wzgórzu Kubeńki, żołnierze rosyjscy ustawili kuchnię polową. Ośmioletnia dziewczynka z zacięciem patrzyła na nich. Zawołali ją. Dali jej szczotkę do ubrania, wojskowy komplet, nóż, widelec, łyżkę i otwieracz do konserw - wszystko w jednym.

Szkola ukształtowała w niej zainteresowania, obowiązkowość, dokładność, solidność do tego stopnia, że we krwi miała obowiązek chodzenia do szkoły, a kiedy ciężko zachorowała, miała wysoką temperaturę, kaszel, wtedy jej mama wzywała sąsiadkę, aby postawiła córce bańki, wówczas matka nie pozwalała jej chodzić do szkoły, wtedy dziewczynka miała w sobie ogromne poczucie winy.

Sara bardzo ciężko chorowała na odrę. W szóstej klasie obsypały ją czerwone krosty i miała wysoką temperaturę. Posłuchajmy jak ona wspomina ten okres życia: - Leżałam na łóżku, tuż przy ścianie. Byłam tak słaba, że nie mogłam nawet siedzieć. Było mi bardzo gorąco, więc chłodziłam się, przykładając ręce do ściany, wtedy matka ugotowała mój ulubiony rosół, a ja, niestety, z trudem przełknęłam tylko dwie łyżki, nie mogłam jeść, mało piłam. Mama rozplakała się, byłam zdziwiona, bo nie zdawałam sobie sprawy, że jestem, aż tak bardzo chora. A jednak tak było, gdyż przestałam myśleć o szkole. Taki stan utrzymywał się około trzech tygodni. A kiedy wycieńczona i osłabiona chorobą wyszłam na dwór, zakwitły - otaczające nasz dom i ścieżkę prowadzącą do dziadków - wiśnie. Odczuwałam niesamowite piękno przyrody

i świata tak bardzo, że z zachwytu rozplakałam się. Szłam powolutku i zgarniałam do serca koronkową biel kwiatów, ich zapach i brzęczącą muzykę pszczoł. Tuż obok domu ciotki Stefki rosła potężna i rozłożysta, cała w bieli kwiatów, dzika czereśnia, zwana trześnią, jej korona wznosiła się ponad dom. Czułam, że jestem w krainie baśni. Na dodatek wyszła ciotka, uścisnęła mnie i ucałowała. - Jak się czujesz, dziecko? - zapytała. - Dobrze. - odpowiedziałam. - Ciociu, spójrz, jaka piękna wiosna. Gdy tyle czasu leżałam w łóżku, nie wiedziałam, że na dworze jest tak cudnie. Czuję się jak w czarowanym ogrodzie. - Na to ciotka Stefka: - Tak, świat jest piękny, ale życie najważniejsze, moje dziecko. Byłaś ciężko chora, wszyscy martwiliśmy się o ciebie. Dzięki Bogu, wyzdrowiałaś. Uważaj na siebie. Musisz się dobrze odżywiać. Cieszę się, że wyzdrowiałaś.

Następnie udałam się do domu babci Katarzyny, która bardzo się ucieszyła, mówiąc: - No, nareszcie wyzdrowiałaś. Modliłam się do naszego patrona, do świętego Antoniego o twoje zdrowie i wysłuchał mnie. Chodź do mnie, niech cię ucałuję, moja kochana wnuczko. Mam dla ciebie miód, dziadek zarobił. Podkuł konie Pomarańskiemu, który w zastępstwie pieniędzy, zapłacił miodem. Upiekłam też placek, może będziesz jadła? - I podała mi kawałek ciasta i miód, które przyniosłam do domu, ale niewiele mogłam jeść. Wróciłam do szkoły i powoli wchodziłam w wir obowiązków, ale i przyjemności spotkań z koleżankami i kolegami.

Wkrótce przed Sarą stanie dylemat wyboru zawodu i szkoły, nowej drogi życia. Kim będzie ta wrażliwa, delikatna dziewczyna? Czy potrafi wybrać taki zawód, który będzie jej pasją, jej przyjemnością? Stoi przed nią tysiąc możliwości, tysiąc dróg, a przecież wybierze tylko jedną. Czy to będzie ta właściwa, która da jej szczęście, w której będzie mogła się spełnić? O tym po wielu latach będzie wiedziała tylko ona jedna.

Irena Iwańczyk

Irena Iwańczyk została tegoroczną laureatką Złotych Karpi, które przyznawane są przez samorząd Krasnegostawu. Zespół redakcyjny „Nestora” serdecznie gratuluje otrzymania tego wysokiego honorowego wyróżnienia.

Jurata Bogna Serafińska



Kim byli nasi prarodzice?

Karol Darwin¹ wydał w 1859 r. książkę „O pochodzeniu gatunków”², w której opisał swoją hipotezę mówiącą o tym, że wszystkie formy życia wyewoluowały z prymitywnych form w procesie stopniowych zmian i naturalnej selekcji, a nowe gatunki powstawały i powstają w wyniku walki o byt i dobór naturalny.

Ewolucjonizm³ stał się konkurencją dla kreacjonizmu. Wielu naukowców uznało, że dorobek nauk przyrodniczych przekreślił treści zawarte w Księdze Rodzaju. Idea ewolucji stała się poglądem o światowym zasięgu i wywołała zamieszanie trwające do dzisiaj. Dopiero w październiku 1980 r., w czasie konferencji w Chicago stu sześćdziesięciu wybitnych światowych uczonych zajmujących się ewolucją przyznało, że prowadzone przez ponad sto lat prace wykopaliskowe nie doprowadziły do odnalezienia skamieniałości mogących posłużyć za dowody istnienia ognia pośredniego pomiędzy gatunkami⁴.

W 1996 r. Jan Paweł II podjął temat ewolucji w czasie spotkania z Papieską Komisją Nauk⁵. Papież myślał o teorii ewolucji, która nie wykluczałaby dzieła stworzenia i w związku z tym wymieniał ograniczenia, jakim musiałaby podlegać taka teoria - odrzucił zdecydowanie tezę, że cały człowiek powstał z istoty zwierzęcej, odrzucił też twierdzenia poligenizmu, że ludzie wywodzą się od wielu adamów, a nie od Adama. Zagadnienia związane z ewolucją

¹ K. Darwin [w:] *Encyklopedia popularna PWN*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011, s. 214.

² K. Darwin, *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*, podstawa wydania: K. Darwin *Dzieła wybrane*, t. 2, Państwowe Wydawnictwa Rolnicze i Leśne, Warszawa 1959, De Agostini Altaya, Warszawa 2001.

³ *Ewolucjonizm* [w:] *Słownik filozofii* pod redakcją J. Hartmana, Krakowskie Wydawnictwo Naukowe Sp. J., Kraków 2009, s. 56.

⁴ www.piusx.org.pl/zawsze_wierni/artukul/39 dostęp 16 III 2016. godz. 14.40.

⁵ Tamże, dostęp 16 III 2016 godz. 15.10.

rozważał wcześniej papież Pius XII⁶, który napisał w encyklice *Humani Genesis*, m.in. że nie może być sprzeczności między ewolucją a nauczaniem wiary o człowieku i jego przeznaczeniu, oraz że każda dusza ludzka jest indywidualnie stworzona przez Boga⁷.

Teoria ewolucji jest dzisiaj powszechnie znana, nauczana w szkołach i na uniwersytetach. Wiele osób przyjmuje ją bezkrytycznie *a priori*, myśląc, że jest to teoria udowodniona. Tymczasem teoria ta, a właściwie hipoteza nigdy nie została potwierdzona naukowo, kryje też w sobie wiele tajemnic, zagadek i pułapek.

Aby odpowiedzieć na pytanie - czy tzw. teoria ewolucji została udowodniona, a jeśli nie - to czy są przesłanki ku temu, aby mogła zostać zweryfikowana lub sfalsyfikowana - trzeba zbadać relacje między filozofią a naukami przyrodniczymi. Nauki przyrodnicze mają swój początek w starożytności. Pierwsi filozofowie byli filozofami przyrody. Trudno dzisiaj określić czy fizyka Arystotelesa, albo teoria atomów Demokryta należą do koncepcji filozoficznych czy przyrodniczych, bowiem próba zrozumienia i wyjaśnienia świata, który nas otacza była wspólna dla filozofii i nauk przyrodniczych. Filozofia zaczęła się od postawienia pytania *DLACZEGO?* (Tales z Miletu) i pytania o ARCHE⁸ - zasadę rzeczy. Potem dopiero usiłowano rozstrzygnąć problem zmienności (Heraklit) czy stałości (Parmenides) świata. Oddzielenie nauk przyrodniczych od filozofii⁹ nastąpiło w XVII w., kiedy to Newton wydał „Matematyczne zasady filozofii przyrody” (1687). Wcześniej wiedza przyrodnicza była traktowana jak element filozofii. Od momentu rozdziału, filozofia i nauki szczegółowe stawiają różne pytania: filozofia pyta *DLACZEGO?*, nauki przyrodnicze zadają pytanie *JAK?*.

Po wydzieleniu się nauk przyrodniczych - zaczęły one stosować własne, specyficzne metody badawcze¹⁰. Określone zostały różnice przedmioto-

we i różnice w metodach badawczych między filozofią a naukami przyrodniczymi, które łączy wspólny przedmiot badań - materialny świat przyrody.

Różnice odnośnie przedmiotu formalnego badań polegają na tym, że filozofia próbuje dotrzeć do natury rzeczywistości, również tej, która nie jest bezpośrednio obserwowalna; natomiast nauki przyrodnicze badają wyłącznie zjawiska, czyli to, co jest obserwowalne intersubiektywnie, co daje się zaobserwować i zmierzyć. Wyklucza to zjawiska nadprzyrodzone (nadmaturalne). Celem nauki jest znalezienie stałych relacji między zjawiskami. Z założeń tych wynika, że współczesne nauki przyrodnicze nie są w stanie objąć wszystkich zagadnień związanych z pytaniami o powstanie i istnienie wszechświata. Zagadnienia te badają filozofia i teologia, ponieważ mogą wyjść również poza to, co empiryczne¹¹.

Jeśli chodzi o różnice w metodach badawczych, to w filozofii stosuje się obserwację i różnego typu rozumowanie; nie stosuje się eksperymentów; natomiast nauki przyrodnicze stosują metody eksperymentalne, które pozwalają na powtarzanie doświadczeń i matematyczne opracowanie wyników. Problem powstaje, gdy występuje jednostkowe zjawisko, niemożliwe do powtórzenia.

Michał Heller w dziele „Nowa fizyka i nowa teologia” opisuje starożytne tradycje¹²: platońską, arystotelesową i archimedesową. Metoda archimedesowa, podobna do dzisiejszej, jest połączeniem obserwacji, doświadczenia i modelu matematycznego, umożliwiającą dokonywanie przewidywań i sprawdzanie, czy model przystaje do rzeczywistości. W ten sposób Newton próbował tworzyć fizykę, której prawa i zasady miały być niefilozoficzne i pochodzić z doświadczenia i obserwacji bez przyjmowania założeń *a priori*.

Teoria naukowa jest zwieńczeniem postępowania metodycznego w postaci spójnego zbioru sądów opisujących, porządkujących i wyjaśniających pewną klasę zjawisk, stanowiącą ramy dla dalszej obserwacji, wyjaśnień i prognoz. Aby jakaś hipoteza stała się teorią przyrodniczą, musi być możliwość jej sprawdzenia, nie wystarczą eksperymenty my-

⁶ Tamże, godz. 15.20.

⁷ Tamże, godz. 14.20.

⁸ A. Lemańska, *Filozofia przyrody a nauki przyrodnicze* [w:] S. Janeczka, A. Starościc, D. Dąbek, J. Herda, *Filozofia przyrody*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2013, s. 31.

⁹ Tamże, ss. 31-32.

¹⁰ A. Lemańska, *Filozofia przyrody a nauki przyrodnicze*, dz. cytowane, ss. 38-39.

¹¹ M. Kowalczyk, *Traktat o stwarzaniu*, [w:] *Dogmatyka* T. 6, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2007, s. 122.

¹² Wykład monograficzny *Filozofia a nauki przyrodnicze*, prof. A. Lemańska, Instytut Filozofii UKSW, semestr zimowy 2015/16.

słowe. Dane uzyskane w czasie obserwacji i eksperymentów próbuje się odnieść do praw przyrody. Powtarzalność obserwacji zapewnia obiektywizm i intersubiektywną sprawdzalność oraz komunikowalność wyników. Poza tym stosuje się naturalizm¹³ nauk przyrodniczych: ontologiczny (istnieje tylko świat materialny) lub metodologiczny (wyjaśnienia uwzględniają wyłącznie przyczyny naturalne). Teorie przyrodnicze po swoim sformułowaniu wystawiane są na próby ich obalenia przez naukowców. Fizycy i biolodzy eliminują wyjaśnienia celowościowe (teleologiczne), a dopuszczają wyjaśnienia przyczynowo-skutkowe, które są weryfikowalne doświadczalnie. (Gdy odwołujemy się do celu, musimy założyć czynnik manipulacyjny i nie mamy możliwości wykonania eksperymentu). Wiedza wysoce prawdopodobna występuje wtedy, gdy jej podstawy są przyjęte przez społeczność naukowców bez względu na ich przekonania.

Teoria ewolucji, a właściwie hipoteza dotycząca ewolucji została ostatnio podparta osiągnięciami genetyki, dla przeprowadzenia poważnych badań są jednak potrzebne skamieniałe kości przodków, które nie byłyby mistyfikacją, ale autentycznymi wykopalskami. Aby przeprowadzić intersubiektywne obserwacje i eksperymenty, które musiałyby trwać setki lub tysiące lat - brakuje czasu z powodu ograniczonej długości ludzkiego życia. Hipoteza nie może więc być testowana przez niezależnych badaczy za pomocą obserwacji i eksperymentu, ani modyfikowana na podstawie danych empirycznych, nie można jej zatem ani zweryfikować, ani sfalsyfikować.

A więc teoria Darwina nie jest teorią w dosłownym tego słowa znaczeniu (brak sprawdzonych faktów). Jest raczej hipotezą. Nie potwierdzimy faktów na przestrzeni tysięcy lat, bo za krótko żyjemy, nie możemy przeprowadzić potwierdzonych intersubiektywnie eksperymentów. Teoria ta nie może zatem zostać udowodniona, może być tylko przyjmowana na zasadzie wiary, jeśli ktoś chce w nią wierzyć. Pragnę podkreślić, że ta nieudowodniona teoria ewolucji wcale nie musi stać w opozycji wobec kreacjonizmu, jak sądzi wielu jej wyznawców,

ale może wraz z nim oferować obraz syntetyczny¹⁴. O takim syntetycznym obrazie rzeczywistości mówił Jan Paweł II w roku 1996, o czym była mowa na początku tego referatu.

W teologicznej interpretacji, wypracowanej m.in. przez Rahnera, Kłósaka, Hellera, Życińskiego i Teilharda de Chardin¹⁵, który rozwinął omegalny model ewolucji i jest autorem kosmogenezy ewolucjonistycznej o znaczeniu chrześcijańskim, akcentującym jednorazowość wszechświata o absolutnym początku i końcu; Bóg realizuje świat nieustannie, a świat ewoluujący „odślania” Boże działanie, zarówno na początku jak i w trakcie swego rozwoju”¹⁶. W Księdze Rodzaju, stworzenie człowieka opisane jest jako bezpośrednie dzieło Boże¹⁷, zaś z Pierwszego Listu Apostoła Pawła do Koryntian dowiadujemy się, że wszyscy zgrzeszyli, ponieważ zgrzeszył ich wspólny przodek - Adam¹⁸. Z wersetów tych wynika, że cała ludzkość pochodzi od jednej pary prarodziców.

Zwolennicy poligenezy twierdzą, że po Adamie istnieli na ziemi ludzie nie pochodzący od niego, albo że Adam oznacza symbolicznie pewną liczbę prarodziców. Teorii tych nie da się pogodzić z nauką o grzechu pierworodnym, który pochodziłby z grzechu rzeczywiście popełnionego przez praojca Adama.

Dr hab. Kazimierz Kłoskowski w swojej pracy „Filozofia ewolucji i filozofia stwarzania. Między ewolucją a stwarzaniem” dokonuje m.in. próby rozstrzygnięcia problemu naszych prarodziców, omawiając współczesne teorie wynikające z odkryć genetyki. Poniżej przedstawiam w skrócie jego przemyślenia¹⁹.

Informacja genetyczna zawarta jest w DNA (kwasie dezoksyrybonukleinowym). DNA człowieka znajduje się w jądrze komórkowym

¹⁴ Tamże, s. 124.

¹⁵ M. Kowalczyk, *Traktat o stwarzaniu*, dz. cytowane, s. 125.

¹⁶ www.piusx.org.pl/zawsze_wierni/artukul/39 dostęp 15 III 2016, godz. 13.10.

¹⁷ *Biblia Tysiąclecia - Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallottinum, Warszawa 1971; Rodz. 1.26-27; 2.7, 21-23; 2.15-17.

¹⁸ Tamże, 1 Kor. 15;21-22.

¹⁹ K. Kłoskowski, *Filozofia ewolucji i filozofia stwarzania*, tom I, *Między ewolucją a stwarzaniem*, Wydawnictwo Akademii Teologii Katolickiej, Warszawa 1999, ss. 286-294.

¹³ A. Lemańska, *Filozofia przyrody a nauki przyrodnicze*, dz. cytowane, s. 39.

i w mitochondriach. DNA jądrowe jest głównym składnikiem chromosomów, których w komórkach człowieka jest 46, jest to liczna diploidalna tzn. podwójna; chromosomy występują parami. W każdym pokoleniu następuje rekombinacja informacji genetycznej, to znaczy przemieszanie się genów, w wyniku czego człowiek ma po $\frac{1}{2}$ informacji genetycznych od matki i od ojca. W DNA jądrowym, poza procesami rekombinacji, mogą też zachodzić procesy mutacji. DNA mitochondrialne składa się z 37 genów i odpowiada za tzw. dziedziczenie pozajądrowe (pozachromosomowe)²⁰, nie zachodzą w nim procesy rekombinacji, a tylko mutacje, które mogą się pojawiać ze stałą częstotliwością.

W procesie zapłodnienia bierze udział komórka jajowa i plemnik. Komórka jajowa ma 0,1 mm średnicy i zawiera jądro z haploidalnym garniturem chromosomów, cytoplazmę z mitochondriami oraz materiały zapasowe dla zarodka. Plemnik ma długość 60 mikronów tzn. 0,06 mm) i wnosi do zygoty wyłącznie chromosomy²¹.

U wszystkich organizmów, u których komórka jajowa jest większa niż plemnik (jak u człowieka) - dziedziczenie DNA mitochondrialnego odbywa się wyłącznie w linii żeńskiej. Dlatego można prześledzić „wędrówkę” DNA mitochondrialnego, cofając się do odległych żeńskich przodków. Na podstawie takich badań okazało się, że każdy człowiek ma tylko jednego przodka żeńskiego, który przekazał mu DNA mitochondrialne. Dzięki tym faktom łatwiej jest ocenić ewentualną zmienność DNA mitochondrialnego niż DNA jądrowego. Kłoskowski powołuje się na prace A. Wilsona, który przeprowadził badania mitochondrialnego DNA kobiet zamieszkałych w różnych częściach świata. Ich DNA wykazywało ogromną zbieżność w strukturze, na tej podstawie przyjęto, że źródłem DNA mitochondrialnego każdego człowieka jest jedna kobieta, mitochondrialna Ewa, żyjąca w Afryce około 200 tys. lat temu.

Chromosom Y²² dziedziczy się tylko w linii męskiej. Istnieje odcinek chromosomu Y, który jest niezmienny i nazywa się go ZFY czyli niechomologicznym odcinkiem chromosomu Y. ZFY składa się z 729 par nukleotydów i jest prawdopodobnie od-

powiedzalny za rozwój jąder. Przebadano 39 mężczyzn z różnych stron świata, badany fragment DNA okazał się identyczny we wszystkich przypadkach. Wyjaśnienie tego faktu może prowadzić do wspólnego męskiego przodka, który pojawił się prawdopodobnie 280 tys. lat temu. Nie udało się jednak wskazać jego miejsca zamieszkania. Zbadano ten sam odcinek chromosomu Y u małp człekokształtnych i stwierdzono, że różni się on bardzo od tego, jaki jest u człowieka. W tym przypadku zachodzi różnica między gatunkami, nie ma zaś różnic wewnątrzgatunkowych.

Powyższe badania miały dać odpowiedź na kilka ważnych pytań²³:

Czy antropogeneza miała miejsce 200 tys. lat temu w jednym miejscu?

Zastrzeżenia niektórych uczonych (A.C. Wilson) dotyczą datowania 200 tys. lat, które obliczono na podstawie stałej częstotliwości powstawania mutacji. Przy nieco innych założeniach może to być nawet 1 mln lat, ponieważ mogły istnieć mutacje, które nie pozostawiły po sobie śladu.

Czy gatunek *Homo sapiens* pochodzi od jednej „czarnej” matki?

Uczeni (J. Klein, N. Takahata, F.J. Ayala) badający geny zgodności tkankowej stwierdzają, że występują one nie tylko u człowieka, ale też u szympansa, z faktu tego wyciągają wniosek, że mogły one powstać przed procesem rozdzielenia się linii człowieka i szympansa. Gdyby rzeczywistość zaszedł proces wyparcia przez *Homo sapiens*, którego pierwszym przedstawicielem miałyby być „czarna Ewa” poprzedniego człowieka czyli *Homo erectus* - to powinny być na to jakieś dowody paleontologiczne, jednak jak dotąd takich dowodów nie stwierdzono.

Jak wytłumaczyć zmienność rasową człowieka pochodzącego od jednej matki?

Z punktu widzenia założeń ewolucji byłoby trudno wytłumaczyć jak rasy zdążyły się ukształtować w stosunkowo krótkim czasie. Jeśli człowiek wędrował przez 1 mln lat, przystosowując się do różnych środowisk - to miałby czas na wytworzenie różnych ras, jeśli jednak wędrował tylko 200 tys. lat to nie było czasu na ich wytworzenie. Część uczonych ma wątpliwości, czy przed zaistnieniem

²⁰ Tamże, s. 286.

²¹ Tamże, s. 287.

²² Tamże, s. 288.

²³ Tamże, ss. 290-291.

„czarnej Ewy” nie następowało wymieszanie genów *Homo erectus* z *Homo neandertalensis*, *Homo habilis* i *Homo sapiens*. Może gatunki nie były gatunkami, ale odmianami i w wyniku krzyżowania się dały początek rasogenezie? W takiej sytuacji rasy mogłyby być wcześniejsze niż *Homo sapiens*.

Czy w antropogenezie nastąpiło wyłącznie mechaniczne przekazywanie wyposażenia genetycznego od wspólnego przodka?²⁴

Kłосkowski uważa, że w płaszczyźnie antropologicznej, odpowiedź może dać teistyczna interpretacja teorii ewolucji, która zakłada, że u podstaw pojawienia się każdego bytu leży Boży plan rozwoju życia, „przechodzący” przez wszystkie etapy ewolucji – czyli pośrednie stwórcze działanie Boga poprzez siły tkwiące w materii. Kłосkowski przywołuje zdanie S.W. Ślaga, że człowieka nie stanowi wyłącznie jego wyposażenie genetyczne, ale także jego „psychizm” duchowy²⁵.

W posumowaniu Kłосkowski pisze, że teoria ewolucji i teoria kreacji dają możliwość pogodzenia ze sobą prawd o charakterze przyrodniczym, filozoficznym i teologicznym²⁶. Jednak współczesna wizja świata przyrody jest bardziej złożona niż w starożytności i nie ma obecnie szans, aby stała się jednolita.

Na podstawie badań opisanych przez Kłосkowskiego widzimy, że genetyka daje nam możliwość postawienia prawdopodobnej hipotezy, która co do swej treści pokrywa się z informacjami z Pisma Świętego mówiącymi o tym, że wszyscy ludzie pochodzą od jednej pary rodziców. Hipotezę tę możemy przyjąć na płaszczyźnie filozofii i teologii, natomiast ci, którzy wyznają i wielbią nauki szczegółowe, będą musieli czekać aż do czasu, kiedy, być może po dokonaniu kolejnych odkryć naukowych, stanie się możliwe zweryfikowanie lub sfalsyfikowanie tej hipotezy, podobnie jak i tzw. teorii ewolucji.

Do dzisiaj nauki szczegółowe nie mają narzędzi, aby tego dokonać.

Jurata Bogna Serafińska

Ryszard Lewczuk

Moje młodzieńcze spotkania z Krasnymstawem



Człowiek, starzejąc się wraca wspomnieniami do dawnych przeżyć. Od pewnego czasu zacząłem przypominać sobie moje młodzieńcze spotkania z Krasnymstawem.

Pierwsze moje spotkanie miało miejsce w końcu sierpnia 1931 roku, kiedy to przywieziono mnie do jedynego chyba w tym czasie kościoła, by mnie ochrzcić. Nie pamiętam oczywiście tego wydarzenia, ale posiadam dokument, który ten fakt potwierdza. W dokumencie tym zapisano, że urodziłem się we wsi Bzite... ale nie jest to prawda, gdyż urodziłem się we wsi Józefów, odległej od Bzitego około kilometra. Istniała już kolej i stacja Bzite, którą zbudowano na ziemiach wsi Żulin. Nie wiem, czym kierowali się moi rodzice, podając, że urodziłem się w Bzitem. Takie poplątanie faktów... w tamtych czasach zapisy w księgach stanu cywilnego były bardzo niedokładne. Stwierdziłem to w kilku przypadkach, wertując zapisy o rodzinie.

Drugie moje spotkanie z Krasnymstawem odbyło się w roku 1945. Skończyła się wojna, a ja skończyłem naukę w szkole podstawowej w Żulinie. W szkole uczyło dwoje nauczycieli. Byli to pani Kietlińska (imienia nie pamiętam) i pan Bolesław Luszawski. Pan Luszawski uczył również wcześniej moją mamę, później mnie i mojego syna Jerzego. Był on najdłużej uczącym nauczycielem w Żulinie. Zmarł w połowie lat 60. w Lublinie.

Lubiłem majsterkować, więc rodzice zdecydowali, że pójde uczyć się w Gimnazjum Mechanicznym w Krasnymstawie, w dzielnicy Zakręcie. Ulica, przy której znajdowało się gimnazjum również chyba nazywała się Zakręcie. Budynek szkoły stał na małym wzniesieniu po lewej stronie ulicy. W późniejszym czasie teren szkoły został przejęty przez PKS Krasnymstaw. W budynku szkoły mieściły się dwie klasy lekcyjne, kuchnia z miejscem do spożywania posiłków oraz pomieszczenie gospodarcze. Na poddaszu urządzona była bursa dla kilkunastu osób.

²⁴ Tamże, s. 293.

²⁵ S.W. Ślaga, *Życie - ewolucja* [w:] M. Heller, M. Lubański, S.W. Ślaga, *Zagadnienia filozoficzne współczesnej nauki*, Warszawa 1992, s. 381, [w:] K. Kłосkowski, *Filozofia ewolucji i filozofia stwarzania*, dz. cytowane, s. 294.

²⁶ K. Kłосkowski, *Filozofia ewolucji i filozofia stwarzania*, dz. cytowane, s. 294.

Zanim zostałem uczniem gimnazjum, musiałem zdać egzamin. Pamiętam, że trzeba było narysować odręcznie koło i w tym kole umieścić trójkąt równoboczny. Były również pytania z języka polskiego i historii. Pamiętam, jak mówiłem „nas tego nie uczyli...”, a egzaminatorka załamywała ręce. Cóż ja mogłem nauczyć się w tej szkole w Żulinie. Była wojna. Okupantowi niemieckiemu nie potrzeba było, by polskie dzieci umiały więcej niż „pisać, czytać i rachować” i to w zmniejszonym zakresie. O żadnych „korkach” nie było mowy.

Egzamin zdałem i od 1 września zostałem uczniem gimnazjum. Zamieszkałem w bursie, a moja mama musiała dostarczyć stół i krzesło oraz dużą ilość żywności. Używam określenia „bursa”, bo tak w tamtym czasie nazywano internat. Wiek uczniów w naszej klasie był bardzo zróżnicowany. Byli chłopcy po 14-15 lat, ale byli też tacy po lat 18. Z nauczycieli pamiętam księdza, który był wychowawcą naszej klasy. Uczył religii, założył chór, a mnie na czubku głowy wyciął włosy, bo wydały mu się zbyt długie. Uczył nas dyrektor szkoły (była to szkoła prywatna) i jego siostra, która uczyła nas języka polskiego i odpowiadała za przygotowanie posiłków dla chłopców zakwaterowanych w bursie. Pamiętam nauczycielkę języka rosyjskiego i wierszyk:

*Мы день не спим, мы ночь не спим,
мы день и ночь стучим, стучим
идём всегда, скажи куда.*

*My dzień nie spim, my nocz nie spim
My dzień i nocz stuczim, stuczim
Idiom wsiegda, skaży kuda.*

Był to wierszyk o zegarze.

Pamiętam także, że był jeszcze woźny. Bardzo groźny człowiek. Przerwy pomiędzy lekcjami ogłaszał, uderzając młotkiem w felgę samochodową zawieszoną na łańcuchu. Rano dyrektor szkoły chodził kąpać się w Wieprzu. Namawiał nas mieszkających w bursie, byśmy chodzili z nim. Kiedyś i ja poszedłem. Była już późna jesień. Przyjechała moja mama i zobaczyła moje majtki suszące się na krawędzi łóżka. Było wyjaśnianie i potem duża awantura.

Mieszkając w bursie, chodziliśmy rano po chleb do piekarni, która znajdowała się w okolicy remizy straży pożarnej, tylko po drugiej stronie ulicy.

W Krasnymstawie pierwszy raz w życiu byłem w kinie, które mieściło się w budynku poklasztornym przy kościele św. Franciszka. Dostać się do kina nie było łatwo. Przed kasą trwała przepychanka kto silniejszy. Dwa razy udało mi się dostać do kina. Jeden film nosił tytuł „Dąbrowszczacy”, a drugi „Ona broni ojczyzny”. Być może coś z tytułami pokręciłem, proszę wybaczyć. Obydwa filmy były wytworem propagandowym produkcji ZSRR.

W połowie listopada 1945 roku opuściłem Krasnystaw i Gimnazjum Mechaniczne, bo mój tato, jako kolejarz (kolej była zmilitaryzowana), został przeniesiony do pracy na Ziemię Odzyskane. I musiał nas ze sobą zabrać. I tak w nowym mieście, w nowej szkole rozpoczął się nowy etap mojego życia. Praca i praca oraz wielokrotna zmiana miejsca zamieszkania. Oł, takie życie.

Przyjeżdżam czasami w okresie chmiałaków do Krasnegostawu, by wspominać swoje krasnostawskie dzieciństwo i patrzeć na nowy już Krasnystaw.

Ryszard Lewczuk

Jacenty Jarocki



Tekst ten poświęcam pamięci Ireneusza Franczaka.

Komunikacja pasażerska na terenie Lubelszczyzny, a w szczególności na terenie powiatu Krasnystaw opierała się o autobusy PKS. Lata 50-80 ubiegłego wieku jest to dynamiczny wzrost ludności w miastach Lubelszczyzny. Jest to pierwsze pokolenie mieszkańców miast pochodzących ze wsi. Szczególnie Lublin wyróżniał się dynamiką wzrostową i ludzie ci z różnych powodów niemal co tydzień odwiedzali swoje rodziny na wsi. W owym czasie motoryzacja indywidualna była

dopiero w powijkach i głównym środkiem lokomocji był autobus PKS. W latach tych wyróżniały się kursy autobusów lubelskich zwane popularnie okrągłakami. Były to autobusy relacji Lublin-Krasnystaw-Żółkiewka-Turobin-Wysokie-Lublin i kursy w przeciwną stronę. Linia ta zapewniała zarówno połączenie z Krasnymstawem zachodniej części powiatu, jak również umożliwiała dojazd do Lublina. Pod koniec lat sześćdziesiątych kurs z Lublina o godz. 18.00 do Turobina przez Krasnystaw przedłużono do Lublina i tak powstał okrągłak zwany popularnie „ostatnim”. Był to autobus ostatni zarówno dla przyjeżdżających z Lublina, jak i jadących do Lublina. W soboty, a później - po wprowadzeniu wolnych sobót - w piątki autobus był wypełniony pasażerami do miejscowości leżących między Krasnymstawem i Żółkiewką, a w niedziele ci sami pasażerowie wsiadali do tego autobusu ok. godz. 20.00 i dalej ten autobus w Turobinie, Wysokiem, Krzczonowie wypełniał się niemiłosiernie, a docierał do Lublina ok. godz. 22.30. Był to autobus szczególny, gdyż podróżowali nim pasażerowie często wytaczający się z knajpek podchmieleni, niekiedy agresywni wobec pozostałych pasażerów.

Autobusem tym często podróżowałem, a jego kierowcą był najczęściej Irek - pan, z którym się zaprzyjaźniłem. Irek był z pozoru nieprzystępnym mężczyzną, ale po bliższym poznaniu jawił się jako bardzo przyjazny, ciepły i dobry człowiek. Mieszkał na skraju Żółkiewki, znał obyczaje miejscowej ludności i jakimś cudem potrafił zapanować nad pasażerami, o których wspomniałem poprzednio. A często zdarzały się sytuacje niekiedy komiczne. Po wyjeździe z Krasnegostawu, a było to upalne lato, dwaj pasażerowie zaczęli się nawzajem obwiniać o „zepsucie powietrza w autobusie”. Od słowa do słowa przeszli do rękoczynów, no i Irek zareagował: „chłopy to mlecznia w Rońsku tak oczyszcza ścieki, że niesamowicie śmierdzą i to przenika do autobusu - przestańcie!”. Albo inna śmieszna sytuacja - podjeżdżamy na przystanek w Białce, tego dnia w autobusie jest konduktor, starsza pani usiłuje wsiąść przednimi drzwiami do autobusu, Irek mówi do niej: „Tyłem, babciu!”, a kobieta, niewiele się zastanawiając, robi obrót o 180 stopni i mówi: „czego to ludzie nie wymyślą, żeby najpierw tyłkiem do autobusu wsiadać”.

W niedziele tłok w autobusie był niesamowity i często Irek doczepiał do swojego jelicza przyczepę. Jeżeli jej nie miał, wychodził na zewnątrz i metodą japońską wpychał pasażerów do środka, a tam we wnętrzu podróżni wciskali pod siedzenia swoje torby z kogutami, kiełbasami, jajami. I znowu zdarzały się spory. Pan - podchmielony górnik z Wałbrzycha, w Lublinie przesiadający się na pociąg do Jeleniej Góry, obładowany walizkami zwraca uwagę młodej ładnej damie słowami: „paniusiu, nie depcz mi pani po moich jajach!”, na co pani rezolutnie odpowiada: „ja tak wysoko nóg nie podnoszę”. Innym razem pełny już autobus wjeżdża na przystanek w Żabnie, a tam chce wsiąść orkiestra jadąca do Wysokiego. Irek przeprowadza plebiscyt wśród pasażerów - robią miejsce dla orkiestry pod warunkiem, że ci będą grać podczas podróży. Pasażerowie się godzą. Jakie zdziwienie było na następnych przystankach, gdzie podróżni byli witani melodią marsza. Jak ten biedny jelec wytrzymywał takie przeciążenia? Otóż Irek załatwiał z mechanikami na warsztatach, żeby do napraw używali nowych części, a ponadto - jak się okazuje - czeska konstrukcja doskonale nadawała się do naszych warunków podróżowania.

Między nami pasażerami często zawiązywały się przyjaźnie, sympatie i atmosfera była niemal familijna. Irek zawsze dbał o to, żeby nikt nie został na przystanku, albowiem był to ostatni autobus. Ja podróżowałem z żoną i dwojgiem dzieci i jak mogłem pomagałem Irkowi - nauczyłem się sprzedawać bilety, w miarę upływu czasu zdobyłem doświadczenie, kursy, numery przystanków, ceny biletów miałem w jednym paluszkach. Ale szczególną podróż z Irkiem odbyłem 1 stycznia 1979 r., w czasie pamiętnej „zimy stulecia”. Moja żona pochodzi z miejscowości Majdan Łuczyski k. Rudnika i tam w początku 1979 r. byłem na bardzo sympatycznym weselu. Wokół szalała śnieżycą i dokuczał mróz, ale my bawiliśmy się wesoło. Jednak poczucie obowiązku nakazywało mi, żeby w jakiś sposób dotrzeć do Lublina do swojej pracy w Miastoprojekcie, gdyż mieliśmy w szybkim terminie opracować zawałone plany osiedla Czechów. Zostawiłem żonę i dzieci u jej rodziców, a sam wyruszyłem w podróż, najpierw pieszą do Suszenia, myśląc że złapię tam jakiś autobus, ale okazało się, że droga jest zasypana. Idę zatem dalej do

swoich rodziców do Borowa z nadzieją, że może coś tam jeździ, a mróz i śnieżyca się potęgują, niemniej z wielkim trudem dotarłem do celu, nie spotykając po drodze żadnego pojazdu. Odpocząłem, rozgrzałem się i oglądałem dziennik TV, a tam spiker ogłasza, że cała Polska jest zasypana i kto nie dotrze do pracy będzie usprawiedliwiony, odechnąłem zatem z ulgą. Już zabierałem się do spania, gdy nagle w drzwiach domu moich rodziców ukazuje się postać okutanego w kożuch Irka, który oznajmia, abym się zbierał i jechał do pracy. Tłumacząc mu że cała Polska stoi, jak my przebrniemy przez te boczne drogi w Turobinie i Wysokiem, na pewno utknijemy gdzieś w polu i poumarzamy, a on na to, że ma 18 pasażerów, łopaty i do Lublina dotrzemy, bo wszyscy chcą być w pracy. Rad nierzad wyruszam na podróż. Jelcz Irka jest cały zamrażnięty, jest to sceneria jakiegoś zimowego pałacu, na szybach jest może centymetrowa warstwa szronu, pomimo włączonego ogrzewania, jedynie przez przednie szyby opryskiwane odmrażaczem coś widać. Biorę się do dzieła i cały czas spryskuję szyby odmrażaczem. Północno-wschodni wiatr równoległy do szosy turobińskiej sprawia, że na tej bocznej drodze nie ma dużych zasp i do Turobina docieramy po godzinie jazdy. Tam, na pocztce dowiadujemy się, że do Lublina z Biłgoraja przedarł się dwie godziny temu pług wirnikowy i utworzył rynnę, która już może być zasypana. Pasażerów nie przybyło, wszyscy siedzą w domach, ale my decydujemy się kontynuować jazdę autobusem-widmo. Rzeczywiście, jest jakiś ślad, że jechał pług, ale często się urywa w zaspach. Irek z wirtuozerią wjeżdża w te zasy z rozpędem i wtedy nie widzimy nic w przednich szybach tylko biel, bo suchy śnieg rozpięzcha się na boki, ale jednocześnie pozwala przedzierać się do przodu. Przypomina mi to lot samolotu w chmurach. Irek ma w głowie nawigację, bo jeździ tędy codziennie, zna każdy szczegół trasy i - pomimo zerowej widoczności - nie wylatujemy z drogi. Pomaga tu również wydrążone koryto w śniegu pozostawione przez pług odśnieżający. Dopiero między Giełczwią a Gierniakiem, na stromym podejździe autobus staje w zaspie. Jest to szczere pole, mroźny wiatr hula, śnieżyca oko wykol, wszystkich ogarnia strach - zasypie nas i umarzniemy. Irek nakazuje wziąć się za łopaty, cofniemy autobus, rozpędzimy

się, przebijemy zaspę. Plan ten udaje się zrealizować, dalej droga już biegnie przez wsie i zasy są mniejsze. Docieramy do Lublina ok. godz. 12 w nocy i tam na dobre na ówczesnej ul. Buczka autobus grzęźnie w miejskich zwałach śniegu. Pasażerowie są w kropce, jak dotrzeć do domu. Nic nie jeździ, bo nie może, więc tych, którzy mieszkają daleko zabieram do domu - mieszkam naprzeciwko Zamku. W domu my, pasażerowie i Irek uczciliśmy nasze szczęśliwe dotarcie do celu - zeszło nam do rana. Obudziłem się koło południa, obowiązkiem nakazywał pójście do pracy, wychodzę na ulicę, a tam czołgi, okazało się że walczą z zimą. Mój kierownik pracowni, jak mnie ujrzał od razu pochwalił, mówiąc: „pomimo tego, że tak cię zawiało dotarłeś do pracy”.

Jeszcze tylko przez 2 miesiące jeździłem z Irkiem „ostatnim autobusem”, bo za ciężko zapracowane pieniądze kupiłem auto moich marzeń - syrenkę, potem przysłała Solidarność, później stan wojenny i kurs zlikwidowano ze względu na godzinę policyjną, a dzięki syrence autobus nie był mi już potrzebny. Irek jeszcze przez kilka lat jeździł do Żółkiewki inną trasą. Później zrezygnował z pracy w PKS, ale jego miłość do jelcza pozostała, gdyż kupił sobie autobus, który przerobił na ciężarówkę i przynajmniej przód tej ciężarówki przypominał mu dawną pracę.

Nie ma już autobusów PKS - ani ostatnich, ani pierwszych, indywidualna motoryzacja odstała ją do lamusa historii, pozostał sentyment do nich starszego pokolenia, które wspomina je z łezką w oku. Moja przyjaźń z Irkiem przetrwała, ale on sam przeszedł już do wieczności, zmarł dwa lata temu, pozostawiając po sobie dobre wspomnienia. Był mistrzem w prowadzeniu autobusu, zapewne nikt inny nie przedarłby się przez zasy w ten pamiętny atak zimy stulecia. Często, gdy spotkam znajomych z „ostatniego autobusu” wspominamy Go - niby zwykły człowiek, a postać wspaniała, wielka legenda, życzliwa pasażerom.

PS. Irek był kuzynem ostatniego partyzanta Rzeczypospolitej Józefa Franczaka, ps. „Lalek”

Jacenty Jarocki

Hanna Cygler gościem DKK

20 kwietnia gościem Dyskusyjnego Klubu Książki działającego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie była pisarka Hanna Cygler. Na spotkanie, sponsorowane przez Instytut Książki, autorka przybyła w towarzystwie Joanny Chapskiej, wojewódzkiej koordynatorki Dyskusyjnych Klubów Książki na Lubelszczyźnie. Hanna Cygler - z urodzenia i zamiłowania gdańszczanka, jest absolwentką skandynawistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Zawodowo zajmuje się tłumaczeniem z języka szwedzkiego i angielskiego. Prowadzi własne biuro tłumaczeń. Jest członkiem założycielem Bałtyckiego Stowarzyszenia Tłumaczy. Píše - jak sama mówi - dla przyjemności, w swym dorobku ma już 17 powieści obyczajowych. Debiutowała w 2003 r. książką „3 razy R”, natomiast ostatnia powieść pt. „Za cudze grzechy” ukazała się w 2016 r. i stanowi kontynuację wątków rozpoczętych w „W cudzym domu”.



Spotkanie było okazją do zadawania pytań pisarce, a te padały z ust zarówno prowadzącej spotkanie Elżbiety Borzęckiej - moderatorki krasnostawskiego DKK, jak i samych czytelników. Zebranych interesowały m.in. szczegóły debiutu, w tym geneza podjęcia tematyki literatury obyczajowej dla kobiet, plany wydawnicze, warsztat pracy czy literaturę skandynawską. Pisarka wyczerpująco opowiadała o trudnych początkach drogi literackiej i związanych z tym wielu, również zabawnych, sytuacjach.

DKK Krasnystaw

Lucjan Cimek

Szlachcic zagrodowy



Żył był w Krużewnikach bardzo bogaty gospodarz - tak zwany wówczas szlachcic zagrodowy. Pochodził prawdopodobnie spod Łatyczowa na Podolu, gdzie ongiś jego rodzina posiadała znaczny majątek. Odzywać się do niego trzeba było „panie Szujecki”, bo inaczej, to by się na całe życie pogniewał. Więc wszyscy sąsiedzi, w miarę możliwości, omijali go z daleka i było dobrze.

Kacper Pawlak, ojciec Jaśka i Kazimierza, ciągle synom powtarzał, że ktoś dopasował do niego nazwisko, albo on siebie do nazwiska, tak że pan Szujecki był na odcinku skąpstwa i oszustwa niepowtarzalny. Przy godzeniu parobka, służącej, pastucha, wszystko było bardzo dokładnie przeliczone i musiało być zrealizowane. A że był katolikiem, i to praktykującym, więc chodził do kościoła i służba też musiała chodzić. Latem szła boso, a buty zakładała dopiero przed wejściem do kościoła.

Ponieważ pracy było dużo, a do kościoła daleko, więc wspólnie z najstarszym parobkiem pan Szujecki ustalił, iż jeden z nich idzie w tę niedzielę, a drugi w następną. Ten, który jest w kościele ma dobrze słuchać ewangelii, kazania i różnych ogłoszeń co do odpustów, zapowiedzi itp., a po powrocie zdać z tego dokładną relację. Tak to wszystko przebiegało w świetnym porządku, aż do czerwca. Ale nie całkiem, bo gospodarstwo było duże to i roboty się nagromadziło. Wszystkie prace się opóźniły.

Gdy wreszcie i u pana Szujeckiego pokoszono wszystkie łąki i koniczyny, stało się to, co w pogodzie się zdarza: przyszły deszcze świętojańskie, lało jak z cebra przez okrągłe dwa tygodnie. Pan Szujecki skojarzył sobie, iż te deszcze to nic innego, jak osobista kara boża na niego za to, że gonił ludzi do roboty w niedziele i święta. Sąsiedzi patrzyli, ale nikt nie odważył się zapytać dlaczego to tak u państwa Szujeckich się dzieje. Leonia Pawlak, żona Kacpra, nie mogąc znieść zachłanności Szujeckiego, życzyła mu co najgorsze, a najlepiej, żeby się udławił swoim bogactwem. I tak się stało.

Po odpuszczeniu w Kamieniu Koszyrskim, w święto NMP Szkaplerznej, kawałek mięsa indyjskiego stanął panu Szujeckiemu w przelocie. Sędzia pokoju, widząc że się dławi, uderzając go dłonią w plecy, powiedział: „Poniechaj pan łakomstwa, nawet gdy sądzisz, że przyniesie ci korzyść”. Ale Szujecki charakteru nie zmienił i chciwcem pozostał. W czasie wojny handlował tytoniem i żywnością, przejął też pożydowską gorzelnię. A gdy przyszła władza radziecka założył czerwoną opaskę i wszystkich, którzy nie wyjechali na Ziemie Zachodnie, zapisał do kolchozu.

Lucjan Cimek

Leszek Janeczek

Akcent krasnostawski w Toruniu



W środę 18.05.2016 r. w Toruniu odbyła się wielka uroczystość konsekracji nowego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II, w 96. rocznicę jego urodzin. Udział brało około 500 duchownych, legat papieski, kardynał Stanisław Dziwisz, nuncjusz papieski Celestino Migliore, premier Beata Szydło, wielu ministrów, także Jarosław Kaczyński. Inicjatorem i budowniczym świątyni był ojciec Tadeusz Rydzik. Przy kościele znajduje się Kaplica pamięci. Poświęcona jest ona pamięci Polaków, którzy ratowali Żydów, oddając za nich życie. Wiele miesięcy temu pewni ludzie z otoczenia ojca dyrektora nawiązali ze mną kontakt, w celu pozyskania takich informacji o Polakach ratujących Żydów z naszego terenu. Swoje relacje podawałem przez telefon, oni je nagrywali, jako świadectwo. Efektem tych działań jest trwały akcent krasnostawski umieszczony w kaplicy. Widnieje tam tabliczka informująca o śmierci Ireny i Leona Pałaszewskich, którzy razem ze swoją służącą Bronisławą Marszycką zostali straceni na krasnostawskim miejscu egzekucji (notabene do

dziś nieupamiętnionym) w lesie Borek. Ich egzekucja miała miejsce w styczniu 1943 roku. Po wojnie zostali ekshumowani i pochowani na krasnostawskim cmentarzu, gdzie ich grobowiec znajduje się do dzisiaj. Gdzieś w Polsce pewnie żyją ich dzieci. Dom Pałaszewskich stoi na rogu ulic Mostowej i Przemysłowej. Ukrywano młodych żydowskich mężczyzn na strychu tego domu. Ktoś z Polaków zademonstrował Pałaszewskich do Niemców, po tym jak Żydzi mieli komuś ukraść krowę. Pałaszewscy niczego się nie spodziewali, zostali aresztowani razem z pracującą u nich służącą. Dzieci zdołały uciec w ostatniej chwili, niechybnie mogły podzielić los swoich rodziców. Wtedy sprawa byłaby pewnie bardziej znana. Po tej tragedii mówiono w Krasnymstawie, że skończyło się ukrywanie Żydów przez mieszkańców. Nie była to do końca prawda. A dowodem na to jest chociażby przykład Janiny Niewidziajłowej i jej sześciorga dzieci, ukrywającej do sierpnia 1943 roku krasnostawską żydowską rodzinę Binderów. Niewidziajłowa i jej dzieci o mało nie przypłacili życiem tego humanitarnego aktu. Jedna z uratowanych żyje do dzisiaj w Szczecinie. Powiedzieć trzeba, że krasnostawski heroizm poszedł w zapomnienie, żadne drzewko oliwne nie zostało chyba posadzone w Jerozolimie krasnostawskim Sprawiedliwym. Oni o to nie dbali. Po prostu ratowali, na nic nie licząc. Dobrze i to, że w odległym Toruniu zimny kamień przechowa pamięć o tej krasnostawskiej tragedii.

dr Leszek Janeczek



rys. Robert Znajomski

Gwara wsi krasnostawskiej. Cz. II



Ciekawy jest zasób słownictwa gwarowego opisującego różne cechy ludzkie. Wiele z podanych niżej słów jest już całkowicie wypartych z języka, brzmiących obco, chociaż zrozumiałe były powszechnie. Dzisiaj już tylko najstarsi żyjący znają i czują ich znaczenie.

Słowa określające pozytywnie cechy człowieka:

Walny - w znaczeniu grzeczny. Przykład: **Oo, to walny chłop.**

Posłuchniany - posłuszny. Najczęściej o dziecku słuchającym poleceń rodziców czy dziadków.

Drużny - przyjacielski, pomocny, współczujący. Słowo pochodzenia wschodniosłowiańskiego. **Drużba** - przyjaźń; **drużytsa** - przyjaźnić się; **drug** - przyjaciel.

Szportliwy - zapobiegliwy, pracowity, dobrze sobie radzący.

Ćwiastki - sprężysty, energiczny.

Dobrze wyglunda, w dobrym byciu, wydubrza-ny - określenia na wygląd fizyczny, z nieco większą ilością tkanki tłuszczowej.

Wypasiuny - oceniano kiedyś pozytywnie. Synonimem było wyrażenie: dobrze wyglunda.

Wyżarty - dobrze odżywiony.

Śmitki - szybki. **Śmitki w nogach** - bardzo szybko biegający.

Chłop na porze - pozytywne określenie mężczyzny w średnim wieku.

Chłop na miejsu - określenie wyrażające najwyższe zaufanie do osoby określanej tym mianem.

Czarwuny - czerwony na twarzy; oznaka zdrowia.

Czerstwy - krzepki, mocny, twardy fizycznie. Określenie ciała mężczyzny, ale także (rzadziej) i kobiety.

Szczyry - szczerzy, ale także uczciwie pracujący, z poświęceniem.

Szparowny - oszczędny. Pochodzenie od niemieckiego słowa *sparen* (wym. *szparen*) - oszczędzać.

Zdarowiaszczy - bardzo silny, określenie kogoś o silnej konstrukcji psychofizycznej. **Zdarowiaszczy** zdaje się jeszcze podnosić tę cechę na najwyższy poziom. Pochodzenia wschodniosłowiańskiego. **Zdarowie** - zdrowie.

Określenia negatywnie opisujące ludzkie cechy zdają się być liczniej reprezentowane w słownictwie gwarowym:

Alfabet - nic niewiedzący, nieznający się. **A to alfabet.**

Beta bza - nic niewiedzący.

Tułman, tołman - nic niewiedzący, tuman.

Brechun - łgarz, mówiący nieprawdę, zmyślający.

Brechać - mówić nieprawdę.

Birny - temperamentny, o dużym pociągu seksualnym. Określenie mogło być w znaczeniu negatywnym, obojętnym lub nawet pozytywnym. Dotyczyło zwykle mężczyzn.

Polatuszcza - określenie powyższej cechy u kobiety.

Mahomet - niewierzący w Boga. **O, to mahomet.** Zwykle nie wiadano, że jest to imię proroka w islamie. Określenie to było negatywne, z odcieniem pogardliwym.

Czudny - dziwny, śmieszny, także zachowujący się inaczej niż większość.

Hydny, hystwo - brzydki, ale także w sensie cech charakteru i tego jak się zachowuje.

Fisiuwaty - nie mądry, nie głupi.

Misigny - dziwny, trochę niemądry.

Misigin - słowo pochodzi z języka żydowskiego - *Myszogene*.

Ladacy - niegrzeczny, robiący na złość.

Koromysło - negatywnie o nieprawidłowej budowie człowieka, także przedmiotu. Słowo pochodzenia wschodniosłowiańskiego oznaczające przyrząd do noszenia wody.

Niecząśny - urodzony przed czasem, ale także ktoś słaby fizycznie i umysłowo.

Niezdany - słaby, chory. Postrzegany przez otoczenie jako bardzo słaby fizycznie. **Jakiż ja dzisiaj niezdany.**

Nieuchajny - niedbający o porządek i czystość.

Nieracha - niezaradny, nieumiejący sobie poradzić w życiu, przeważnie w prostych kwestiach.

Nitoje, nisioje - pogardliwie o kimś, jako o byle kim.

Niedośpialek - niemrawy, mało energiczny.

Śliniawy - śliniący się.

Szpytławy - sepleniący.

Zgarny do idzynia - niejadek.

Zapaważać się - być wyniosłym, wywyższać się.

Co to ja - podobne znaczenie jak wyżej.

Zaudany - uparty.

Żyrty - łakomy.

Leszek Janeczek

Anekdota krasnostawskie



Wycieczka do Lwowa

Przed wojną uczniowie krasnostawskiego liceum czy może jeszcze gimnazjum udali się pociągiem na wycieczkę do Lwowa. Gdy wcześniej rano obudzili się, pociąg stał już na stacji. Dał się słyszeć następujący dialog prowadzony przez lwowskich kolejarzy:

- Jóšku! A skund tyn pociąg przyjechał?
- Ta ni widzisz, że z Mungoli!

Krasnostawski A(was)

Niegdyś Piotr Fronczewski i Wojciech Pszoniak grali skecz, w którym występował pewien Gruzin o imieniu Awas.

- Kak was zawuť?
- Awas.
- A was?
- Awas! - I tak dalej.

W czasie ostatniej wojny w krasnostawskiej aptece pracował pewien starszy pan o charakterystycznej fizjonomii. Łysawy, z siwymi włosami, krogulczym nosem, chyba i z przytępionym słuchem. Gdy do apteki ktoś przychodził, farmaceuta zwracał się do niego grzecznie:

- Proszę!
- Proszek proszę!
- Proszę?
- Proszę proszek!
- Proszę?
- Proszek proszę!

Akcent, czyli Ça va czy Sawa?

Podczas lekcji języka francuskiego w krasnostawskim Liceum im. Władysława Jagiełły w latach 70. profesor Bugaj znalazł okazję do swojej gry słów. W klasie znajdowała się uczennica o nazwisku Sawa, tak popularnym w okolicy Krasnostaw. Jednocześnie w języku francuskim występuje bardzo podobnie brzmiący zwrot, pyta-

jący o samopoczucie, mający jednak różnicę w wymowie. Konkretnie na innych sylabach położonego akcentu. A wszystkich sylab jest tylko dwie.

- *Comment ça va?* (wym. - koman sa wa, znaczy tyle, co: jak się czujesz? Odpowiada się: *Ça va bien.* wym. sa wa bie, czyli: czuję się dobrze. Można zapytać także skrótem: - *Ça va?*, wym. - sa wa?. Odpowiada się: - *Qui, ça va bien.* - Tak, czuję się dobrze).

Profesor Roman Bugaj, choć rzadko o coś pytał uczniów, zwykle zabawiał kawałami, tym razem zapytał uczennicę:

- *Ça va?*

- *Qui, Sawa.* - odpowiedziała uczennica, potwierdzając akcentem, tak jak brzmi jej nazwisko. Profesor, niezadowolony znowu zapytał z francuska:

- *Ça va?*

Uczennica ciągle myślała, że profesor sprawdza listę obecności, nie widząc drobnej wprowdziej, ale fundamentalnie istotnej różnicy w akcencie i niezmiennie odpowiadała:

- *Qui, Sawa.*

Lista została solennie sprawdzona wiele razy, a do grzecznościowej odpowiedzi o samopoczucie nie doszło, pomimo ciągłego o to pytania. Za to chwilowy dialog przetrwał w pamięci lat 40.

Pytanie na francuskim na stopień

Profesor Bugaj musiał przed końcem semestru postawić jakieś stopnie do dziennika trzeciej klasy matematyczno-fizycznej oznaczonej literą „a”. Zwykle zabawiał klasę różnymi historiami, dykteryjkami i kawałami głoszonymi po polsku i to usypiało czujność uczniów co do osoby profesora całkowicie. Zresztą, uczniowie nie zawsze słuchali tych opowieści z należytą uwagą, gadając między sobą. Pewnego razu jednak coś się odmieniło. Niespodziewanie, pierwszy raz w tej klasie, profesor-równiacha, nagle zaczął pytać. Ale jak? Wśród klasowego rozgardiaszu, pytanie zadał tylko raz, pierwszemu na liście Andrzejowi Berezie, dzisiaj naczelnikowi wydziału komunikacji w starostwie powiatowym. Reszta, szczególnie ci na dalszych miejscach listy obecności, nawet nie mieli pojęcia, że profesor w ogóle ich sprawdza. To, czy i jak odpowiedział Andrzej, reszta nie miała na ten temat

wiedzy. Potem następni - cichutko, mimochodem. Stopnie w dzienniku pojawiały się bardzo szybko. Gdy doszło do dwunastego na liście, autora niniejszego tekstu, ten chciał ambitnie udzielić jakiejś odpowiedzi. Ale co odpowiedzieć, kiedy pytanie jest wielką niewiadomą.

- Ale jakie w ogóle jest pytanie? - pytał ni to kolegów, ni to profesora.

Profesor posłyszał te słowa. Odczekał sekundę i odparł Sienkiewiczem:

- Kończ waść! Wstydu oszczędź. Dwa. - Roman Bugaj tryumfalnie postawił stopień do dziennika. To, że dwa, to głupstwo, wszyscy tak dostali. Ale przez sekundę, ten jeden uczeń poczuł się Andrzejem Kmicicem. Nawiasem mówiąc, Andrzej Kmicic, uczeń o tym imieniu i nazwisku, mający siostrę Oleńkę, znajdował się w tej szkole, w klasie III d. Jemu to mógłby profesor gadać z pełną satysfakcją. Tylko, że jak na Wołodyjowskiego, profesor Bugaj był za wysoki, chociaż wielki miłośnik białeckich koni.

Profesor Bugaj spada z konia

Profesor Bugaj mieszkał w Zamościu. Dojeżdżał autobusem firmy PKS, dzisiaj, w wolnej Polsce dogorywającej. Profesor zadawał sobie tyle trudu, że zamiast na godzinę ósmą na lekcje, jechał do pobliskiej Białki oddalonej kilka kilometrów innym autobusem, których było wtedy mnóstwo. Tam jeździł konno w siodle i wracał na lekcje do krasnostawskiego liceum. Pewnego razu uczniowie III a zauważyli, że spodnie profesora są na środku zszyte czerwoną nicią i to na okrętkę, co było bardzo widoczne na czarnym materiale profesorskich portek. Dziewczyny są bardziej ciekawskie, więc zaraz zapytały. Profesor wyjaśnił obecność czerwonej fastrygi i arkana jeździeckiego obyczaju. Był oczywiście rano w Białce. Jeździł konno. Spadł, tak aż mu spodnie na tyłku pękły. Zszyto mu je na miejscu, aby zdążył na lekcje. Ale dlaczego czerwoną nicią? Dla mężczyzny to nieistotne, ważne, że trzyma fason. Przy tej okazji profesor objaśnił, że zwyczaj jest taki: kto spadnie z konia musi postawić mastalerzom pół litra, czyli wódkę.

- I jak tu nie spaść! - kończył rozmarzonym tonem. Jako, że był także zwolennikiem...

Zaproszenie do katedry

Ksiądz Jan Domański ma swoje korzenie rodzinne pod Krasnymstawem. Kiedy miał być wyświęcany na księdza w lubelskiej katedrze, zaprosił ciotkę z Krakowskiego Przedmieścia. Ciotka jednak nie przyjechała. Zawiedziony tym faktem młody ksiądz spytał przy okazji wizyty w Krasnymstawie ciotkę o przyczynę jej absencji.

- A co, krowom miałam dać gazety do czytania?

Wizytacja biskupa

Ksiądz Jan Domański jest natenczas proboszczem w podlubelskiej Konopnicy. Pewnego razu, podczas wizyty biskupa Mieczysława Cisło, także związanego z Krasnymstawem swoją pierwszą po studiach pracą, odbyło się spotkanie towarzyskie w gronie księży proboszczów z okolicy, pewnie dekanatu. Wtedy ksiądz biskup, patrząc na starszych kapłanów, dostrzegł księdza Stanisława wyróżniającego się pewną cechą wśród pozostałych:

- Patrzcie, jakie Stasio ma czarne włosy! - zauważył ksiądz biskup.

Na to odzywa się ksiądz proboszcz z Konopnicy, mający, jako się rzekło, krasnostawskie korzenie i już włos mocno przyprószone siwizną:

- Bo, proszę księdza biskupa, każda odrzucona pokusa to jeden siwy włos więcej.

I tak przed chwilą pochwalony przez samego biskupa ksiądz Stanisław, doznał niespodziewanego despektu ze strony zwykłego proboszcza, co miało zwrócić uwagę na jego prowadzenie się. Rуска mądrość ludowa mówi: „tisz budiesz, dalšie jedziesz”. Wniosek jest taki, że im starszym jest się kapłanem, powinno malować się włosy, ale odwrotnie niż większość, którzy siwe przemieniają w czarne. A czarnowłosy, starszy ksiądz winien zmieniać je na siwe.

Zebrał dr Leszek Janeczek

Ewa Magdziarz

Sukcesy filmowe II LO w Krasnymstawie. „Pewność” - piąta premiera w ramach projektu „Kręmy film!”



Film „Pewność” powstał w lipcu 2015 r. w czasie 5. edycji letniego projektu „Kręmy film!” zrealizowanego przez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon” działający przy II Liceum Ogólnokształcącym im. C.K. Norwida w Krasnymstawie i Krasnostawskim Domu Kultury. Premiera miała miejsce 2 kwietnia 2016 r. w sali widowiskowej KDK, natomiast 30 marca odbył się przegląd czterech filmów zrealizowanych w ramach projektu od 2011 r.: „Jestem tu”, „Królowna”, „To, czego nie widać” i „Koniunkcja”.



Na początku uroczystości Ewa Magdziarz powitała zaproszonych gości, m.in.: przedstawicieli Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej Agatę Sotomską - koordynatorkę programu Filmoteka Szkolna oraz Tytusa Ciskiego - przedstawiciela Filmoteki Szkolnej, aktora Grzegorza Emanuela - opiekuna artystycznego projektu „Kręmy film!” i reżysera filmu „Pewność”, Marka Nowosadzkiego - przewodniczącego Rady Powiatu, nauczyciela II LO i uczestnika projektu, Marka Majewskiego - naczelnika Wydziału Oświaty Starostwa Powiatowego, Annę Cichosz - dyrektora II LO, Damiana Kozyrskiego - dyrektora Krasnostawskiego Domu Kultury oraz uczestników projektu. Grzegorz Emanuel zapowiedział projekcję, przedstawił Justynę Czubę i Igę Nieróbcę - odtwórczynię głównych ról, Annę Antygę i Marka Nowosadzkiego - filmowych

rodziców, Zuzannę Sławińską i Jakuba Wójcika - studentów Łódzkiej filmówki prowadzących projekt, Wojciecha Wojnarskiego - realizatora dźwięku i muzyki, a następnie zaprosił na premierowy pokaz filmu „Pewność”. Zgromadzeni goście obejrzelik także making of zrealizowany przez Piotra Galińskiego i Jakuba Pituchę.



Po projekcji, w sali konferencyjnej KDK odbyło się spotkanie autorskie, które prowadzili Ewa Magdziarz i Grzegorz Emanuel. Reżyser zaprosił osoby grające w filmie role dorosłych bohaterów, a następnie wywołana została cała ekipa młodych - uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych z Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego, z Łodzi i Warszawy oraz absolwentów z I i II LO w Krasnymstawie - studentów z Lublina, Wrocławia i Warszawy. Członkowie ekipy, m.in. Anna Antyg, Zuzanna Sławińska, Justyna Czuba, Marek Nowosadzki i Jakub Wójcik dzielili się wspomnieniami z planu filmowego i odpowiadali na pytania publiczności. Na koniec spotkania dyrektorka Anna Cichosz wyraziła uznanie dla realizatorów filmu i podziękowała m.in. koordynatorowi projektu Ewie Magdziarz i opiekunowi artystycznemu Grzegorzowi Emanuelowi. Anna Cichosz zwróciła uwagę na rolę edukacji filmowej w promocji II LO w środowisku lokalnym. Podkreśliła także znaczenie doskonale wyposażonej pracowni Filmoteki Szkolnej oraz autorskiego programu z edukacji filmowej realizowanego przez Ewę Magdziarz. Następnie Agata Sotomska - koordynatorka programu Filmoteka Szkolna - chwaliła piękny, refleksyjny film „Pewność” oraz inne projekty filmowe realizowane w II LO. Głos zabrał również Marek Majewski - naczelnik Wydziału Oświaty, który po-

gratulował realizatorom projektu i wyraził uznanie dla całego zespołu filmowego. Zaznaczył, że jest zaskoczony wysokim poziomem tego wydarzenia kulturalnego - wyjątkowego w skali powiatu, a nawet województwa.

3 kwietnia 2016 r. odbyło się spotkanie organizacyjne związane z 6. letnim projektem „Kręcmy film!”. Uczestnicy dyskutowali na temat organizacji pracy w trzech zespołach filmowych, omawiali plany związane z kolejnym projektem, który będzie realizowany przez II LO w lipcu.

5. letni projekt filmowy finansowany był ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie, Urzędu Miasta Krasnostaw i Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie. Znacznego wsparcia udzieliły także Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Krasnymstawie oraz Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Zagrodzie.

Uczniowie z całej Polski na XIV Powiatowym Konkursie Filmowym

Organizatorem XIV Powiatowego Konkursu Filmowego „Inspiracje Filmoteką Szkolną” jest MDKF „Iluzjon”. Finał konkursu odbył się 15 kwietnia 2016 r. w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury. Konkurs, realizowany w ramach zadania „Edukacja filmowa Iluzjon”, finansowany jest przez Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie i Radę Rodziców II LO. Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych po raz kolejny ufundowała dla laureatów nagrodę specjalną - akredytację na 17. Letnią Akademię Filmową w Zwierzyńcu.

Honorowy patronat objęli: starosta krasnostawski Janusz Szpak oraz przedstawiciel Rady PF DKF Piotr Kotowski. Konkurs ma na celu popularyzowanie Filmoteki Szkolnej, a także szerzenie kultury filmowej wśród uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych powiatu krasnostawskiego, Krasnegostawu oraz wśród uczniów szkół w kraju współpracujących z lokalnym liderem w ramach programu Filmoteka Szkolna.

Na uroczystości finałowej zostali powitani zaproszeni goście, m.in.: Janusz Szpak - starosta krasnostawski, Piotr Kotowski - rektor Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyńcu, Maciej Gil - przedstawiciel Rady PF DKF, Robert Kościuk - wiceburmistrz Kra-

snegostawu, Marek Nowosadzki - przewodniczący Rady Powiatu, Edward Kawęcki - przewodniczący Rady Miasta, Marek Majewski - naczelnik Wydziału Oświaty Starostwa Powiatowego, Anna Cichosz - dyrektor II LO, dyrektorzy oraz przedstawiciele szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych.



W celu przygotowania do konkursu, w Pracowni Filmoteki Szkolnej w II LO odbyły się trzy spotkania. Warsztaty poświęcone analizie plakatów filmowych prowadziła Ewa Magdziarz. Na kolejnym spotkaniu Maciej Gil wprowadzał uczestników konkursu w tajniki pisania scenariuszy. Na początku kwietnia Piotr Kotowski analizował projekty prac filmowych, fotograficznych i fotokastów. Uczestnicy 14. edycji konkursu przygotowali prace w jednej z trzech kategorii: praca filmowa/fotograficzna/fotokast na temat „Inspiracje Filmoteką Szkolną”, plakat do filmu z Filmoteki Szkolnej wybranego z zestawienia podanego przez organizatora, scenariusz filmowy. Prace w pierwszej kategorii oceniali: Piotr Kotowski - przedstawiciel PF DKF (przewodniczący jury), Natasza Ziółkowska-Kurczuk - reżyser i pracownik naukowy UMCS oraz Sławomir Kozyrski - montażysta TVP Lublin. Plakaty oceniali: Tadeusz Kiciński - przewodniczącego Komisji Oświaty UM (przewodniczący jury), Joanna Szufnara - nauczyciel II LO i Sławomir Kozyrski. Skład jury oceniającego scenariusze był następujący: aktor Grzegorz Emanuel - opiekun artystyczny letniego projektu „Kręcmy film!” (przewodniczący jury), Maciej Gil - edukator filmowy, Ewa Magdziarz - lider Filmoteki Szkolnej. Zaproponowane kategorie spotkały się z dużym zainteresowaniem. Uczniowie wykonali na konkurs 80 prac, które zostały zgłoszone przez 19 nauczycieli. Szkoły, z których nadesłano prace, to: gimnazja z Małochwieja Dużego, Siennicy Nadolnej, Rejow-



ca oraz szkoły z Krasnegostawu: gimnazja nr 1, 3, 4 i 5, I LO, Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2, Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy oraz II LO. Prace na konkurs nadesłano także z III LO w Lublinie, Zespołu Szkół Mechanicznych w Rzeszowie, Zespołu Szkół Plastycznego w Supraślu oraz I LO w Gdańsku.

W ramach pierwszej części uroczystości, Ewa Magdziarz zaprezentowała działania lokalnego lidera realizowane w II LO związane z Filmoteką Szkolną. Następnie odbył się przegląd konkursowych prac filmowych/fotograficznych/fotokastów oraz pokaz filmu „Pewność”. Wyniki konkursu ogłoszono w drugiej części uroczystości. W kategorii praca filmowa/fotograficzna/fotokast pierwszą nagrodę zdobyli Patrycja Wojtalewicz z Gimnazjum w Rejowcu oraz Anna Jakubowska z III LO w Lublinie. W kategorii plakat filmowy I miejsce zajęli *ex aequo* Karolina Gawel z Gimnazjum nr 3 w Krasnymstawie, Mateusz Jaremek z Gimnazjum nr 4 w Krasnymstawie oraz Klaudia Radziejewicz i Aleksandra Świętochowska - uczennice z Liceum Plastycznego w Supraślu. W kategorii scenariusz filmowy I nagrodę otrzymała: Julia Urbańska z Gimnazjum nr 3 w Krasnymstawie, Agata Magier i Adam Mazurek - uczniowie II LO w Krasnymstawie.

Sponsorzy konkursu to: Polski Instytut Sztuki Filmowej, Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Miasta Krasnostaw, Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych, Letnia Akademia Filmowa w Zwierzyńcu, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Krasnostawski Dom Kultury, Stowarzyszenie „Porozumienie Ziemi Krasnostawskiej”, „Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza”, Czasopismo Artystyczne „Nestor”, sponsor indywidualny Marek No-

wosadzki, Zakład Cukierniczo-Piekarniczy „KAWA” oraz Rada Rodziców II Liceum Ogólnokształcącego w Krasnymstawie.

Za organizację konkursu odpowiedzialne były Ewa Magdziarz i Joanna Szufnara. W prace organizacyjne włączyli się: Beata Pasik, Andrzej Ziarko, Piotr Zieliński (zdjęcia), a także uczniowie prowadzący konkurs Justyna Czuba i Paweł Piątkowski, Karol Sawczuk i Bartłomiej Magdziarz (obsługa sprzętu komputerowego), Katarzyna Kurek (kamera), Daria Werus (zdjęcia) oraz Wiktoria Janeczko, Urszula Pawlak, Aleksandra Sędlak i Ilona Kalamon (nagrody).

Finał konkursu zakończyło wystąpienie starosty Janusza Szpaka, w którym dziękował za zaangażowanie organizatorom i podkreślał, że dzięki takim przedsięwzięciom jak konkurs filmowy, nasze szkoły powiatowe nie różnią się od szkół wielkomiejskich. Wiceburmistrz Robert Kościuk podkreślał rolę edukacji filmowej, która uczy otwartości i wrażliwości. Życzył autorom prac konkursowych sukcesów na różnego rodzaju festiwalach. Następnie głos zabrał przewodniczący Rady Miasta Edward Kawęcki, który przypomniał początki edukacji filmowej w II LO i podkreślił rolę Piotra Kotowskiego i Ewy Magdziarz w popularyzacji X Muzy w powiecie krasnostawskim. Dyrektor Anna Cichosz podkreśliła, że poziom tej edycji konkursu przekonuje do rozszerzenia jego formuły do zasięgu ogólnopolskiego. Dyrektor szkoły poinformowała o realizacji przez Ewę Magdziarz autorskiego programu z edukacji filmowej w drugiej i trzeciej klasie humanistycznej. Uczniowie z pozostałych klas mogą swoje zainteresowania filmowe rozwijać w MDKF „Iluzjon” działającym w „Norwidzie” od 2000 r. Na zakończenie finału Anna Cichosz zaprosiła na prezentację prac laureatów: filmu „Janko Muzykant” Patrycji Wojtalewicz oraz filmu „Imieniny” Anny Jakubowskiej. Dyrektor II LO zachęcała także do oglądania wystawy nagrodzonych plakatów filmowych znajdującej się w holu KDK. Poinformowała również, że na podstawie najwyższej nagrodzonych scenariuszy będą realizowane etiudy filmowe w czasie 6. edycji letniego projektu „Kręcmy film!”.

Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”
lokalny lider Filмотeki Szkolnej

Kłopoty ze sztuką



Nie jestem znawcą sztuki. Ale też nie jestem obojętny na sztukę. Potrafię rozpoznać z grubsza style architektoniczne, rozróżniam van Gogha od Picassa (i nie tylko ich), nie ścisam radia, kiedy nadają 5 symfonię Beethovena, nie puchną mi uszy, kiedy słucham Pendereckiego. Nie denerwuje mnie dżez, choć disco polo raczej nie trawię. Ignorantem w tej dziedzinie nie jestem, ale też nie mogę powiedzieć, że się na tym znam. Owszem, wiele rzeczy mi się podoba, inne nie trafiają do mnie, tak jak każdemu. Ta sfera plasuje mnie raczej w gronie przeciętniaków. Może więc, skoro mało się na tym znam, nie powinienem w ogóle na ten temat pisać? Ale ja właśnie chcę o tym napisać.

Sztuka wzbudza nieraz wiele kontrowersji, odmiennych ocen, podobają nam się takie a nie inne obrazy, lubimy słuchać określonego gatunku muzyki, płyt innych wykonawców nie kupujemy, chętnie zagłębiamy się w lekturę ulubionych książek, a nie możemy przebrnąć kilku stron innych autorów, przy jednym filmie zasypiamy znudzeni, a drugi trzyma nas w napięciu do końca. Czy sztuką jest tylko to, co nam się podoba, a coś w innym stylu już na to miano nie zasługuje? Jest to w dużym stopniu rzecz gustu, ale o tym - w myśl znanego powiedzenia - nie chcę dyskutować.

Sztuka, w szerokim znaczeniu, jest sprawą estetyki, smaku, wrażliwości, uczucia. I trudno jest z matematyczną precyzją określić, czy dzieło jednego autora jest lepsze od prac innego, albo że w danym okresie artysta tworzył dzieła nieco gorsze niż wcześniej. Obrazy Nikifora są podobne do dziecięcych malunków. A jednak to wybitna sztuka prymitywistyczna. Podobnie rzecz ma się z naiwnymi pracami Teofila Ociepki, którego twórczość również osiągnęła światowe uznanie. Trzeba być naprawdę wielkim znawcą, żeby móc oceniać w ten sposób. I żeby ta krytyka nie była naznaczona subiektywizmem. Chociaż, czy można zrobić to obiektywnie? Nie wiem. Ocena dzieła zawsze chyba będzie zawierała elementy uznaniowe. Coś się

po prostu podoba, albo nie. Każdy ma inny gust, inaczej pojmuje sztukę, inaczej ją ocenia. „Za dużo nut” - tak podsumował operę Mozarta „Uprowadzenie z Seraju” cesarz Józef II, ale dzieło i tak osiągnęło sukces. Po jakimś czasie ta ocena może się zmienić. Są artyści, którzy nie zyskują uznania wśród współczesnych, wyprzedzają swoją epokę, a ich twórczość odkrywana jest na nowo nieraz już po ich śmierci i wtedy dopiero doceniona. Van Gogh zmarł jako twórca szerzej nieznany. Nie znalazł uznania u ówczesnych krytyków. A kto dziś nie słyszał o van Goghu? Obecnie jest powszechnie uznawany za jednego z największych malarzy w historii. A sprzedał w swym artystycznym życiu tylko jeden obraz (!). Ich wartość doceniono dopiero wiele lat po jego śmierci. Dziś obrazy van Gogha należą do najdroższych dzieł sztuki na świecie. Czy twórczość jest genialna, o tym decyduje czas. „Carmen” Georges’a Bizeta, na premierze została przyjęta chłodno, a nawet z lekceważeniem, co załamało kompozytora i przyspieszyło jego śmierć. Teraz uważamy ją jako jedną z najsłynniejszych oper w historii. Marcel Proust, chcąc wydać pierwszy tom „W poszukiwaniu straconego czasu” początkowo napotkał na odmowę wszystkich wydawców, do których się zgłosił. Książka ukazała się w końcu, ale koszty nakładu... pokrył sam autor. Być krytykiem sztuki to wcale niełatwa profesja.



Nikofo, „Portret Elli i Jerzego Banachów”.

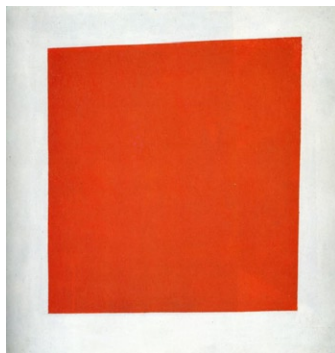
Szczególnie trudna w odbiorze i ocenie jest twórczość nowoczesna, abstrakcyjna. Daje możliwości zróżnicowanych interpretacji. Każdy może rozumieć ją inaczej. Albo nie rozumieć wcale. Często autorom chodzi właśnie o to, by dać widzowi możliwość własnej interpretacji, indywidualnego



„Czerwona winnica w Arles” - jedyny obraz sprzedany przez Vincenta van Gogha.

pojmowania dzieła. Wtedy bez sensu staje się pytanie „co autor miał na myśli, tworząc dzieło?”, na rzecz pytania „co odbiorca myśli, patrząc na dzieło?”. Kilka porozrzucanych kolorowych figur geometrycznych zamkniętych w ramach obrazu to już sztuka? Co przedstawia płótno, na którym widać tylko beładne plamy rozlanej farby? Każdy odpowie co innego. Jest taki obraz rosyjskiego malarza Kazimierza Malewicza „Czerwony kwadrat”. I nie jest to jakiś tam obraz - to dzieło, a malarz też nie byle jaki, tylko wybitny. Kwadrat jak kwadrat - czerwony, ale przez krytyków odbierany jest jako artystyczne przeczcucie rewolucji październikowej. A najciekawszy jest podtytuł „Malarski realizm wieśniaczkowski w dwóch wymiarach”. Artysta ten stworzył również inne dzieła: „Czarny kwadrat na białym tle” i szczytowe swoje osiągnięcie - „Biały kwadrat na białym tle”. Tym ostatnim szczyci się (piszę to bez cienia ironii) Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Z tego rodzaju sztuką mogą mieć kłopoty nawet profesjonaliści. Właśnie w tym słynnym nowojorskim muzeum zdarzyło się w 1961 r., że obraz Henri Matisse’a „Le Bateau” („Statek”) został powieszony „do góry nogami”. Wisiał tak przez 46 dni. Prawdziwa kompromitacja. Przez tak długi czas nikt nawet nie zauważył pomyłki.

A jak odróżnić bohomyzy narysowane przez dziecko od całkiem podobnych „bohomażów” skreślonych ręką artysty plastyka? Czy te dziecinne „wypociny” sztuką nie są? A może odwrotnie - nie wszystkie dzieła artysty na to miano zasługują? Obrazek 5-letniego dziecka, choć



Kazimierz Malewicz, „Czerwony kwadrat. Malarski realizm wieśniaczkowski w dwóch wymiarach”, 1915.



Henri Matisse, „La Bateau” („Statek”), 1953.

bardzo ładny, nie przedstawia jednak specjalnej wartości (poza sentymentalną dla jego rodziców) i z punktu widzenia krytyka sztuki, nadaje się do kosza, ale grzechem byłoby wyrzucić do kosza nuty pierwszych utworów Mozarta, które skomponował, będąc dzieckiem w tym samym wieku. Jego dziecięcy menuet jest dziełem sztuki od początku, a nie dlatego, że Mozart zrobił potem karierę jako muzyk. Zresztą pierwszą symfonię skomponował w wieku 8 lat. Cudowne dzieci się zdarzają. Pierwszym przykładem właśnie Mozart, ale Chopin grał na fortepianie, będąc dzieckiem 5-letnim, a przed ukończeniem 7 lat był już autorem kilku polonezów, Georg Telemann w wieku 12 lat napisał operę, bliższy nam Stevie Wonder swój pierwszy album nagrał jako 11-latek. Dziecięca sztuka tych artystów była na pewno prosta, łatwa, ale nie ulega wątpliwości, że to były dzieła sztuki.

Bo kto może tworzyć dzieła sztuki? Czy trzeba do tego być dorosłym? Czy artysta powinien legitymować się dyplomem? Czy pisać książki

może tylko absolwent polonistyki? Kompozytorem jest się po ukończeniu konserwatorium? A malarz musi być koniecznie absolwentem akademii sztuk pięknych? Nie! Pewnie, że nie! Wśród uznanych artystów mamy mnóstwo samouków. Chociaż doświadczenie pokazuje, że sam talent nie wystarcza, potrzebna jest jeszcze ciężka praca, ćwiczenia, doskonalenie warsztatu, ciągle poszukiwanie własnych środków wyrazu, wypracowanie swojego stylu. Nauka jest potrzebna, ale nie szkoła i dyplom. Każdy może być twórcą, byle stworzył coś nowego, oryginalnego, niepowtarzalnego. Jest wiele oklepanych tematów - zatrzęsienie „jeleni na rykowisku”, „płaczących wierzb na rozstaju dróg”, pełno „zachodów (wschodów) słońca”. To też sztuka, choć nieco gorszego gatunku. Motywy często powielane nie są zbyt twórcze. Ale z kolei na ten sam temat obraz „Impresja. Wschód słońca” Moneta to arcydzieło.



Claude Monet, „Impresja. Wschód słońca”.

Wspomniany Nikifor uważany był za upośledzonego psychicznie kalekę. Mówił bełkotliwie i właściwie był analfabetą. Jako uliczny malarz wystawiał na chodniku swe „Pamiętki z Krynicy”. Sam był przez wielu kuracjuszy uważany za zwykłego żebraka, a jego widoczki za bazgroły. Dziś też wielu malarzy wystawia swe prace na ulicy - pod Barbakanem w Warszawie, na Długim Targu w Gdańsku, pod Sukiennicami w Krakowie, na Rynku w Kazimierzu. Czy są one warte uwagi, warte zakupu? Czy to tylko komercja, chałtura? Powinniśmy być zadowoleni, jeśli kupimy coś, co nam się po prostu podoba. Osobiście miałbym jednak większe zaufanie do dzieł sprzedawanych w galeriach sztuki.

Można traktować sztukę jako lokatę kapitału, ale stosując tylko kryterium „podoba się - nie podoba” można srogo się zawieść. Może się bowiem okazać, że nasz gust oscyluje wokół kiczu i nic niewartej miernoty. Ale jakie kryterium daje podstawę do określenia utworu jako kicz, przeciętność, tandetę, bezguście, grafomanię? Nie ma takiego kryterium. Istnieją jakieś niepisane normy, mody. No właśnie, moda jest tu dobrym przykładem. Kiedyś podobały się żaboty, peruki, bufiaste spodnie, szerokie suknie, kapelusze z piórami. Dziś to przeżytek. Moda się szybko zmienia. Wiele ma do powiedzenia czas, środowisko oceniające. „Wesele Figara”, choć podobano się i cieszyło dużą popularnością wśród publiczności, przez krytyków było z początku uznane za dzieło nic niewarte. Z drugiej strony, celowa kiczowatość może być formą wartościowej sztuki. Z takich założeń pochodził dadaizm, pop-art, czy tzw. dziś kultura masowa, niekoniecznie niewyszukana i sztampowa. Na pierwszy rzut oka pewnie zdziwimy się, oglądając jako dzieła sztuki przedmioty codziennego użytku, jak np. rzeźba pt. „Fontanna” Marcela Duchampa, czyli po prostu pisuar, czy słynne dziś „Puszki z zupą firmy Campbell” Andy Warhola będące zwielokrotnionym przedstawieniem naklejki z popularnego chyba i dziś produktu, który można znaleźć w każdej przeciętnej amerykańskiej lodówce. Przedmioty codziennego użytku też mogą być sztuką. Zwykle krzesło, fotel, sztućce, lampy, samochody mogą stać się prawdziwymi dziełami sztuki. Wysmakowane, wypieszczone, wychuchane cacka - to wszystko, co określa się mianem sztuka użytkowa, sztuka stosowana, rzemiosło artystyczne, wzornictwo przemysłowe, design.



Marcel Duchamp, „Fontanna”, 1917.



Andy Warhol, „Puszki z zupą firmy Campbell”, 1962.



Slyne krzesło Fabio Novembre Him&Her.

Co jest sztuką? W którym momencie możemy stwierdzić, że dany wytwór staje się dziełem sztuki? Czy o czymś można kategorycznie powiedzieć, że to sztuka nie jest? Rzeźby Władysława Hasiora (i nie tylko jego) powstawały często ze złomu, ze starych, zepsutych części samochodowych, zużytych przedmiotów wyrzuconych na śmietnik, zardzewiałych rur, potłuczonych lusterek. Z nich tworzył niezwykle ekspresyjne, przejmujące instalacje. Pamiętam jak wiele lat temu w telewizji, w programie kulturalnym omawiano rzeźbę przedstawiającą naturalnej wielkości, realistycznie oddaną kozę. Dziennikarski opis tej „kozy” dość brutalnie przerwał Hasior: - Ale to nie jest koza! - Dziennikarza zamurowało: - A co? - spytał zupełnie zbity z tropu. - To jest dzieło sztuki. Dziełem sztuki jest też na przykład rzeźba „Jajka sadzone” wystawiona w japońskim muzeum w Hakone. A co, jeśli rzeźba wygląda jak złom? Parę lat temu jedną z plenerowych rzeźb Amerykanina Richarda Nona „Milczący sojusznik” znajdującą się w pasażu Rubinsteina w Łodzi wywieziono na złomowisko, ponieważ uznano, że to zaśmieszające teren po-

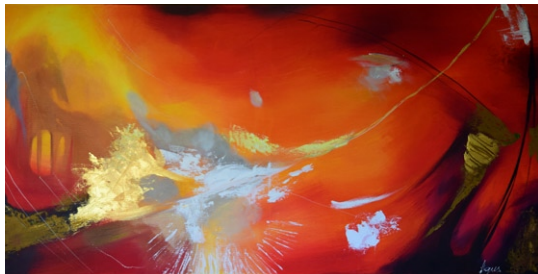
zostałości po jakiejś budowie, a może po prostu ktoś ukradł te kilka rur (bo tak ta rzeźba wyglądała) i sprzedał na złom?



Rzeźba nieznanego mi autora „Jajka sadzone” (Otwarte Muzeum Rzeźby w Hakone).

W moim pokoju wisi obraz kupiony przez Internet. Po prostu znalazłem w sieci stronę zajmującą się malowaniem obrazów na zamówienie. Założyli ją absolwenci, a może studenci jednej z uczelni artystycznych i oferują w swej ofercie malowanie obrazów dowolną techniką na dowolny temat. I to nie jakieś reprodukcje, wszystko malowane farbami olejnymi na płótnie, prawdziwa *hand made*. Z przedstawionych przykładów wybrałem jeden i po uiszczeniu stosownej opłaty (niewygórowanej) za kilka dni miałem w domu gotowy, świeżutki, pachnący farbą produkt w formie wcześniej przeze mnie wybranym. Ale czy ten produkt to dzieło sztuki? Może chociaż dziełko? Mam poważne wątpliwości. Ale żałuję, bo mogłem zamówić dwa, albo trzy - hurtowo byłoby jeszcze taniej. Można by jeszcze zadać sobie pytanie, co przedstawia ten obraz? Ale czy to takie ważne? Mnie się po prostu spodobał. Jest kolorowy, zdobi ścianę, ładnie wygląda. Ale czego ja się czepiam? Witkacy założył przecież także zakład produkcyjny pod nazwą „Firma Portretowa S.I. Witkiewicz”, oferując wykonanie portretów malowanych w pięciu precyzyjnie określonych gatunkach: Typ A - najbardziej wylizany i najdroższy; Typ B - charakterystyczny; Typ C - zbliżony do Czystej Formy, czyli z punktu widzenia krytyków i laików karykatura i deformacja. Wykonana przy użyciu C_2H_5OH . Typ D - to samo bez C_2H_5OH ; Typ E - intuicyjnie osiągnięty wynik typu A i B, bez kopiowania natury jako takiej. W regulaminie firmy były też takie paragrafy, jak:

§ 2. Model zobowiązany jest przed zaczęciem portretu złożyć zadatek w sumie 1/3 ceny. W razie odrzucenia portretu, model traci zadatek. § 6. Portrety kobiece z obnażonymi szyjami i ramionami są o jedną trzecią droższe od męskich i dziecinnych. Każda ręka kosztuje jedną trzecią ceny. A więc można - przynajmniej teoretycznie - tworzyć sztukę na zamówienie, wyłącznie w celach komercyjnych, dostosowaną pod indywidualne gusta i zasobność portfela odbiorcy.



Mój obraz zamówiony przez Internet, tytuł i autor nieznanymi.

Nie rozumiemy sztuki. „- To jest sztuka?” - słyszę nieraz. „- Ja potrafiłabym namalować to lepiej!”. Albo: „- Ja też bym tak potrafił”. Być może, ale jest to krytyka *post factum*. Jakoś nam nie przyszło wcześniej coś takiego do głowy. To artysta wpadł na taki pomysł, stworzył dzieło na ten temat, w takim kształcie, taką techniką. Kiedy słyszę tego rodzaju krytykę, mam ochotę powiedzieć: „- Skoro tak mówisz, to stwórz coś podobnego, a zobaczymy, czy spotka się z równie dużym uznaniem”. Nie spotka się.

Twórczość dla wielu artystów bywa procesem niezwykle wyczerpującym. Znamy przykłady, w których artysta w akcie tworzenia potrafił całkowicie odizolować się od otoczenia, nie wychodzić z pracowni przez kilka dni, nie jeść, nie pić, nie spać. Twórczość to niezwykle proces. Nie można go ot tak sobie przerwać, żeby napić się kawy, zrelaksować czy poczytać gazetę, a potem spokojnie wrócić i kontynuować pracę. Po takich trudach tworzenia, dla wielu jedynym sposobem na odreagowanie jest po prostu upicie się. I to przez trzy dni. Alkohol bywa częstym towarzyszem artysty (było już o tym coś przed chwilą). Niektórzy nawet nie potrafią malować na trzeźwo. Ale to nie znaczy, że ich obrazów nie można nazwać sztuką. Ale tak „na trzeźwy rozum” - osoba „pod wpływem” nie

może np. prowadzić samochodu, bo w tym stanie nie jest odpowiedzialna za swoje czyny. A „trzeźwy inaczej” artysta może tworzyć dzieła i mogą to być nawet dzieła wybitne. Alkohol to jedno, a narkotyki - drugie. Nie jest tajemnicą, że tych ostatnich próbował Witkacy. Odkrył on ich stymulujący wpływ na wyobraźnię, a przez to na zwiększenie swoich możliwości artystycznych. Poza zwyczajnym alkoholem czy tytoniem, eksperymentował z takimi substancjami jak kokaina, pejotl, meskalina, eter. Przez lata tworzył pod ich wpływem, malując portrety oraz pisał. Na swoich obrazach zaznaczał nawet pod wpływem czego powstały. Można więc tam znaleźć takie skróty, jak np. FBZ („fajka bez zaciągania”), FZZ („fajka z zaciąganiem”), cof. (pił kawę), albo wręcz konkretne nazwy narkotyków. Wspomnę jeszcze o van Gogh, który przecież nie obciążył sobie ucha, będąc trzeźwym i zdrowym na umyśle. W ogóle sporo jego obrazów powstało podczas pobytu w szpitalu psychiatrycznym w Saint-Rémy. Ale wcale nie są to jego gorsze dzieła, wręcz przeciwnie.



Vincent van Gogh, „Autoportret z zabandażowanym uchem i fajką”.

Sztuka wzbudza kontrowersje, oj, wzbudza. Jakie są granice sztuki, czy są inne niż granice dobrego smaku? Swego czasu głośna była sprawa rzeźby „La Nona Ora” („Dziewiąta godzina”) Maurizio Cattelana przedstawiającej naturalistycznie wykonaną z wosku figurę papieża Jana Pawła II przygniecionego meteorytem. Zaprezentowano ją w warszawskiej Zachęcie w 2000 roku. Można mieć różne zdania na ten temat, ale - wiercie mi

- to jeszcze nic takiego. A co powiedzielibyście na krucyfiks zanurzony w moczu, martwego konia z tabliczką „INRI”, ukrzyżowaną kobietę? To prace, które wzbudzały nie tyle kontrowersje, ile wręcz skandale religijne. Chociaż nie u wszystkich, byli też zwolennicy, którym się to podobało. Może nie powinno się o takich dziełach pisać sztuka, tylko „sztuka”? Chociaż, niezależnie od pobudek, jakie przyświecają artystom, trudno się im dziwić, że przeciwstawiają się wywieranym na nich naciskom i próbom ingerencji w ich dzieła, z cenzurą włącznie. A „Pasja” Doroty Nieznalskiej - podświetlana skrzynia w kształcie krzyża ze wstawionym zdjęciem męskich genitaliów? To może obrażać nie tylko uczucia religijne, ale i obyczajowe. Nietrudno znaleźć rzeźby czy obrazy przedstawiające nagie postaci. Mnóstwo ich jest choćby w... Kaplicy Sykstyńskiej. W nikim chyba nie wzbudzają zgorszenia. Podobnie jak słynna rzeźba Dawida - jedno z najbardziej znanych dzieł Michała Anioła, wykonane z niezwykłą dbałością o szczegóły, również te intymne. Kogoś jednak ten widok drażnił, bo w czasie wizyty we Florencji królowej Wiktorii, najbardziej męską część ciała biblijnej postaci zasłonięto listkiem figowym, choć - szczerze mówiąc - wystarczyłby tam listeczek.



Michał Anioł, „Dawid”.

Od fizjologii się nie ucieknie, również w sztuce. Jednym z artystycznych symboli Brukseli jest Manneken Pis - Siusiący chłopiec. Ale, dla równowagi, kilka ulic dalej jest tam też fontanna Jeanneke Pis - Siusiąca dziewczynka. Jeśli ktoś jest zainteresowany tego typu rzeźbami, na innej

ulicy tego szacownego miasta spotka Zinneke Pis - wykonanego z brązu psa sikającego na chodniku. To są rzeźby - dzieła sztuki. Przykłady możemy podawać też z polskiej ziemi - rzeźba gołego mężczyzny obok pływalni w Zielonej Górze, której nawet obcięto co nieco, czy pomnik gryfa w Mielcu mający, zdaniem wielu, zbyt pokaźne męskie atrybuty. A jak uczcili Czesi wejście do Unii Europejskiej? Obok Muzeum Franza Kafki w Pradze stanęła rzeźba Davida Černego „Sikający” przedstawiająca dwóch stojących naprzeciw siebie mężczyzn oddających się tytułowej czynności do basenu w kształcie Czech. Ich organy do tego celu przeznaczone, mało tego, że są dobrze widoczne, to nawet ruchome. Otwarta pozostaje kwestia interpretacji. „Autor miał na myśli”, że przedstawiona czynność jest przyjemna, tak jak przyjemne było wstąpienie Czech do Unii. Według niektórych, rzeźba ma przedstawiać stosunek czeskich polityków do własnego kraju.

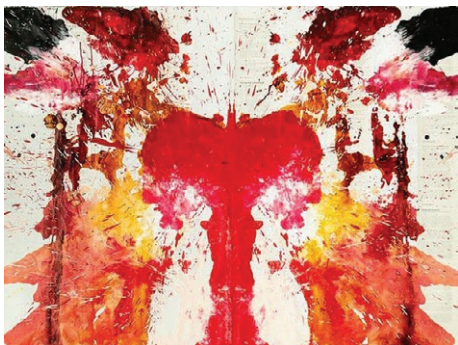


Manneken Pis w Brukseli.

Technika malowania może być bardzo różna. W dzisiejszych czasach trudno o oryginalność. Niekiedy nietatwo jest rozszyfrować, czy artysta tworzy z wewnętrznej potrzeby, czy chce po prostu zaszokować, wzbudzić zainteresowanie, za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Australijski artysta malarz Tim Patch (używający pseudonimu Pricasso) maluje swoje portrety, używając zamiast pędzla... no, wiecie czego. Podobnie szwajcarska artystka Milo Moire maluje swoje abstrakcyjne obrazy nago na środku ulicy, w sposób... no, nie, tu już naprawdę krępuję się napisać jak.



Picasso przy pracy.



Jedna z prac Milo Moiré.

Kontrowersje natury etycznej zakończę szokującym przykładem Niemca Gunthera von Hagensa. Tworzy on rzeźby z... ludzkich zwłok. Opracował metodę konserwacji i preparowania zwłok, nazwaną plastynacją. Von Hagens zainicjował cykl wystaw pod nazwą Body Worlds (Cieleśne światy), na których zwłoki ludzi, a także zwierząt lub ich części, poddane procesowi plastynacji, wykorzystywał jako eksponaty. Swoje wystawy prezentował na całym świecie, także w Polsce, wzbudzając z jednej strony ogromne zainteresowanie, z drugiej - gwałtowne sprzeciwy. Co więcej, po obejrzeniu wystawy zgłaszali się nawet chętni, którzy po śmierci chcą zostać dziełem twórcy.



„Szachista” - jeden z eksponatów wystawy Gunthera von Hagensa.

Sztuka bywa wielka, wspaniała i taka średnia, przeciętna. Są dzieła epokowe i takie, które nie przetrwają jednego sezonu. Sztuka dla mas - mniej wyszukana, i elitarna - dla znawców i koneserów. Sztuka przez duże i małe „s”. Książki Harlequin o dość płytkiej treści i niewyszukanej fabule, muzyka disco-polo - piosenki właściwie o niczym, albo wszystkie o jednym, w takim samym rytmie, słuchając, w pewnym momencie zastanawiamy się czy to już nowa piosenka, czy jeszcze poprzedni utwór, romanse Heleny Mniszkówny (choćby słynna „Trędowata”) - polskie harlequiny, socrealizm - sztuka podporządkowana prostym, robotniczym zasadom, niewymagająca wysiłku intelektualnego. Mamy nawet muzeum socrealizmu w Kozłówce. Nie cieszy się też zbytym uznaniem poezja zawierająca tzw. rymy częstochowskie. Nie wszystko, co wychodzi spod pióra, pędzla, czy dłuta artysty to od razu arcydzieła. Są artyści wielcy i mali, ale i wielkim przytrafia się słabszy okres. Czy każdy SMS wysłany przez słynnego pisarza to zaraz dzieło epistolograficzne? Nie każda piosenka znanego kompozytora staje się przebojem. Nie każdy obraz artysty malarza trafia od razu do Luwru. Jeśli ktoś maluje na płotach, ścianach domów, powiemy, że to wandal, ale możemy się mylić. Na ścianach malują też artyści. Istnieje nawet określenie ich twórczości - to murale, graffiti, albo z angielska street art (sztuka ulicy). W wielu miastach na pustych dotąd ścianach domów pojawiają się malowidła różnej wielkości, na różny temat, różną techniką. Niektóre z nich to prawdziwa sztuka.



Aleksander Kobzdej, „Podaj cegłę”, 1950.

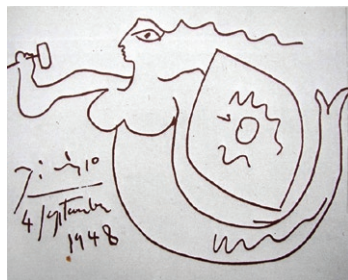


Mural przy al. Piłsudskiego w Białymstoku
„Dziewczynka z konewką”, autorstwa Natalii Rak.

Sławni artyści też nie mają lekko. W sierpniu 1948 r. na I Kongres Intelktualistów w Obrobie Pokoju we Wrocławiu przyleciał Pablo Picasso. Pewnego dnia, z nudów w restauracji narysował na serwetce słynnego gołąbka pokoju. Krótkie były losy tej serwetki, a ile byłaby dziś warta? Serwetki nie ma, ale symbol pozostał. Nieco inaczej mistrz Picasso postąpił w Warszawie. Zwiedzając nowo budowane osiedle na Woli, w jednym z mieszkań spontanicznie narysował węglem na białej, pustej ścianie warszawską syrenkę trzymającą w ręku młotek - symbol pracy. Małżeństwo, które tam zamieszkało, nie mogąc poradzić sobie z tłumami zwiedzających, po prostu... zamalowało ścianę. Zamalowali Picassa, bo im przeszkadza! Zgroza! Co za czasy?! Syrenka pozostała tylko na zdjęciach.



Pablo Picasso, „Gołąbek pokoju”.



Pablo Picasso, „Warszawska syrenka z młotkiem w dłoni”.

Trochę muzyki. Jest taki utwór pod tytułem 4' 33" („4 minuty 33 sekundy”). Skomponował go Amerykanin John Cage. Utwór, powiedzmy to sobie od razu jest rewolucyjny. Składa się z trzech części zatytułowanych: 30", 2'23" i 1'40". Partytura składa się... z samych pauz. To znaczy, że żaden z instrumentów nie gra tam ani jednej nuty. Powiecie - żart, kpina, szczyt nonsensu! Jeżeli napiszę jeszcze, że kompozytor pracował nad swym dziełem pięć lat, premiera odbyła się w 1952 roku w wykonaniu na fortepian, ale utwór może być i jest (!) wykonywany na dowolny inny instrument, także dużą orkiestrę, to tylko utwierdzenie się w swoim przekonaniu. No to jeszcze podam, jak wyglądało pierwsze wykonanie: pianista, a był nim David Tudor, zasiadł do fortepianu, rozłożył partyturę i wyjął stoper, by dokładnie odmierzać czas poszczególnych części. Opuścił pokrywę klawiatury i siedział bez ruchu 30 sekund. Podnosząc pokrywę fortepianu, dał tym samym znak końca pierwszej części. Po chwili znów ją opuścił na 2 minuty i 23 sekundy. I tak samo w trzeciej części utworu. Kiedy zakończył - wstał, uklonił się i... nie, nie było oklasków. Była wrzawa, gwizdy, irytacja. Publiczność nie zrozumiała przesłania utworu. Myśleli, że to 4 i pół minuty ciszy, a tymczasem okazało się, że... nie umieli słuchać! Cisza jest niezbędna do powstania dźwięku, tak jak biała kartka, by coś na niej napisać. Ale tak naprawdę nie istnieje coś takiego, jak cisza. Nawet w komorach dźwiękochłonnych słyszymy bicie swego serca, szum w uszach, pracę jelit. W takich warunkach każdy najmniejszy dźwięk urasta do miana muzyki. W czasie wykonywania utworu, przestrzeń sali koncertowej była wypełniona różnymi dźwiękami. Najpierw był to szum wiatru za oknami, potem bębniące o szyby krople deszczu, na koniec zachowanie publiczności - szepty, kręcenie się na fotelach, wstawanie,

a nawet wychodzenie. Nie było nut, a ile było w tym utworze dźwięków!? Często nie zwracamy uwagi na pewne szczegóły, nie zdajemy sobie sprawy z pewnych uwarunkowań, a przez to nie rozumiemy sztuki. Niezrozumienie nie jest powodem do odrzucenia. Czy po tych wyjaśnieniach nadal uważacie, że ten utwór to żart, kpina i szczyt nonsensu?

Od pewnego czasu pojawiają się na artystycznym rynku szczególnego rodzaju dzieła sztuki. Wywołują nawet spory, kto może rościć sobie wobec nich prawa autorskie. Bo są to obrazy malowane przez... zwierzęta. Okazuje się, że dobrze posługują się pędzlem słonie. Są inteligentnymi stworzeniami i podobno malowanie sprawia im przyjemność. A ich trąba, w której trzymają pędzel jest niezwykle precyzyjnym narzędziem. Trenowane przez artystów, malują swe obrazy przed publicznością, nie pozostawiając cienia wątpliwości, kto jest ich autorem. Obrazy namalowane przez słonie zostały wystawione w galerii w Edynburgu. Co najmniej równie inteligentne są szympansy. One nie są trenowane, więc malują tak jak chcą. Niekiedy ich obrazy trudno byłoby odróżnić od dzieł ludzkich artystów. Taki 37-letni szympanś Brent na przykład, najbardziej lubi malować językiem. O ile można zakwalifikować te dzieła jako sztukę, tak są odbierane, to problemem okazuje się kto może czerpać korzyści materialne tej twórczości. Właściciel zwierzęcia? Wątpliwe, ale zwierzę nie ma przecież takich praw, nie płaci podatków, nie ma konta w banku. Paradoxs - autor nie ma praw autorskich.



Autoportret namalowany przez słonia



Obraz namalowany przez szympansa Brenta

płacić od liczby zwrotek, może od rymów, a wiersz biały premiować za długość wersów? Wielka bzdura. Jak drogie powinny być książki? Może płacić od strony, może od liczby rozdziałów, albo przeliczać to na wyrazy? Zupełna bzdura. Ile powinien zarobić kompozytor? Czy płacić mu za nuty, czy za liczbę instrumentów zaangażowanych do wykonania, a może za czas trwania utworu? Kompletna bzdura. A rzeźbiarz powinien zarabiać w zależności od materiału, w jakim tworzy, czy od kilograma rzeźby, a może od wysokości? Totalna bzdura. Sztuki nie szacuje się w ten sposób. Tego nie można zważyć, wymierzyć, wyliczyć na kalkulatorze. Chyba najbardziej sprawiedliwa wycena opierać się powinna na założeniu, że sztuka jest tyle warta, ile ktoś jest w stanie za nią zapłacić. Wtedy bardzo szybko przekonujemy się, które dzieła są najbardziej wartościowe. A więc licytacja, a przynajmniej negocjacja, ale i w tym wypadku trzeba podać jakąś wartość wyjściową. Według mnie tę cenę powinien zaproponować kupujący, nie autor.

Czas na podsumowanie. Zadałem mnóstwo pytań. Większość pozostała bez odpowiedzi. Przedstawiłem sporo problemów, jakie niesie ze sobą sztuka. Większość pozostała nierozwiązanych. Zwróciłem uwagę na zagrożenia, kontrowersje. Wszystkie pozostały. Zastanawiałem się nad specyfiką różnych gatunków. Nic nie udało mi się wyjaśnić. Wniosek chyba tylko jeden: wszystko może nosić miano sztuki i każdy może stać się artystą. Najgorzej jest nie znać się, być ignorantem w tej dziedzinie, ale i znawcy miewają nieraz poważne kłopoty ze sztuką - z odbiorem, oceną, interpretacją. Bo sztuka taka właśnie jest.

Wiesław Krajewski

W ogóle to jak wycenić sztukę? Ile powinien kosztować obraz? Czy policzyć ile artysta zapłacił za płótno, ramy, ile zużył farb, może jeszcze jak długo malował? Bzdura. Ile kosztuje wiersz? Czy



Nowość

joguś

www.krasnystaw.eu



Jadwiga Sałaga - mieszkam w Krasnymstawie od 37 lat. Moja praca związana była z sektorem bankowym. Przygodę z malarstwem rozpocząłem 7 lat temu, po zakończeniu aktywności zawodowej. Do Stowarzyszenia Twórców Kultury PALETA prowadzonego przez znaną malarkę Bronisławę Żuk przystąpiłam w 2009 r.

Maluję na płótnie techniką akrylową. Tematyka moich prac jest różnorodna, choć dominują kwiaty. Malarstwo rozwija moją wyobraźnię i wrażliwość na otaczające piękno. Biorę udział w plenerach malarskich, a moje prace prezentowane są na wystawach zbiorowych.





Jadwiga Sałaga